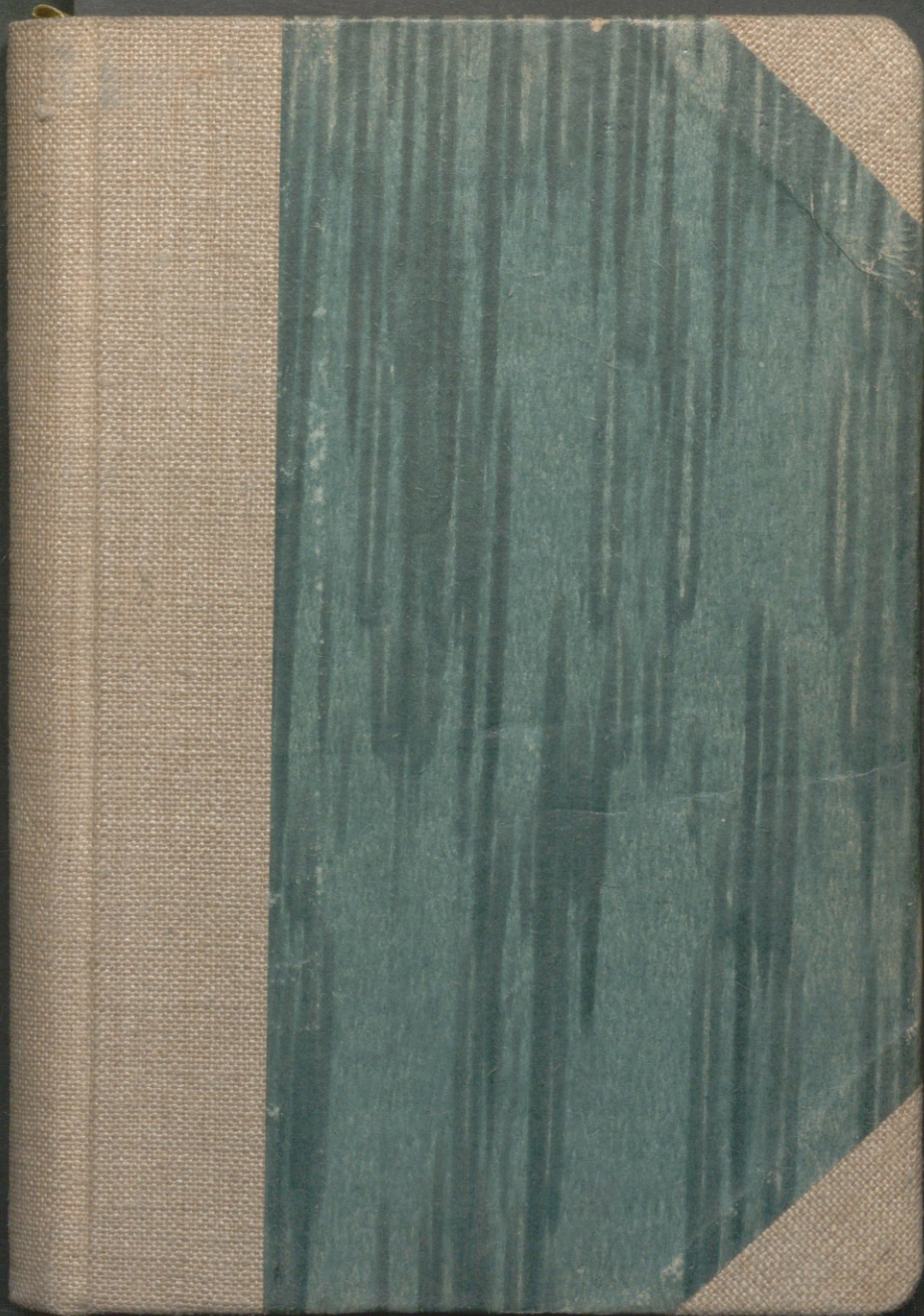
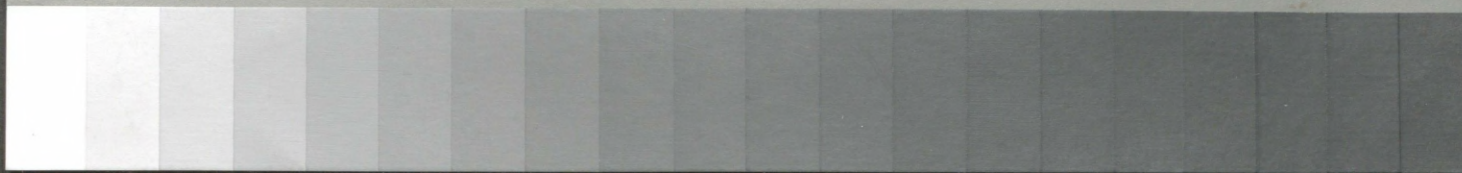




Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue

Cyan

Green

Yellow

Red

Magenta

White

3/Color

Black

Centimetres

Inches





Ostatni Batory.

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Polit. - Wych.

Mikołaj Jósika.

Ostatni Batory

Powieść historyczna
Uwieńczona przez Akademię nauk w Peszcie

z węgierskiego przełożył

Antoni Lange

z przedmową

J. A. Święcickiego.

— — — — —
Tom I.
— — — — —



WARSZAWA.
DRUKARNIA
A. T. Jezierskiego
47. Nowy Świat 47.

684-3. 8/09

5992/1

Дозволено Цензурою.

Варшава 14 Юля 1900 года.



l. min. 1407 ~~4405~~ 6674

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Polit.-Wych.

PRZEDMOWA.

Szybki wzrost literatury węgierskiej od r. 1825 przejawiał się zrazu prawie wyłącznie w utworach poetyckich, zarówno opisowych, jak i lirycznych; proza była w zupełnem zaniedbaniu. Wówczas, gdy na zachodzie Europy literatura powieściowa dosięgła swego rozkwitu, Węgrzy stawiali na tem polu dopiero pierwsze kroki, bardzo jeszcze słabe i nieudolne. Przyczyną tego objawu, było przedewszystkiem zepchnięcie języka węgierskiego w szkołach na plan ostatni, a potem namiętne upodobanie sfer inteligentnych w roman-sach i powieściach niemieckich, francuskich i angielskich. Poezya zagraniczna nie miała tego uroku, Wę-gier owej doby przekładał własną nad obcą, ale zato powieść cudzoziemska wszechwładnie królowała w całym kraju. Dopiero, gdy język ojczysty zapanował w szkole i zyskał prawo obywatelstwa wśród warstw inteligentnych, belletrystyczne piśmiennictwo węgierskie, zdobywając coraz świeże zastępy czytelników, rozwinęło się bujniej.

Jakoż na niwie powieściopisarstwa ojczystego występują kolejno czterej pisarze z talentem niepospoli-

tym, którzy, rozbudziwszy w społeczeństwie swoim zapał do literatury narodowej, wykorzenili manię chorobliwą lubowania się wyłącznego w płodach literatury zagranicznej. Rzecz szczególna, że trzej z tych pisarzy: Jósika, Eötvös i Kemény, jako baronowie, należeli do klasy magnatów, która dotychczas przodowała w krzewieniu cudzoziemczyzny, a tylko czwarty Jokai wyszedł z klas średnich.

Pierwszy z tej czwórki, baron Mikołaj Jósika, zwany „Walter Scottem” węgierskim, jest właściwym twórcą węgierskiego romansu historycznego. Pisarz ten urodził się w Torda, w Siedmiogrodzie, r. 1794. Jako potomek rodziny magnackiej, spędził młodość wśród tych kół, które nierównie więcej w języku, obyczajach i stosunkach towarzyskich zachowały wspomnień dawnego bytu narodowego, aniżeli właściwa arystokracja węgierska, w zupełności do nowych warunków dopasowana. Po ukończeniu studyów prawnych, Jósika wstąpił do wojska w r. 1811 i najprzód jako oficer kawaleryi odbył kampanię włoską, a następnie, jako pułkownik piechoty, walczył z Francją roku 1815. W trzy lata później, porzuciwszy służbę wojskową, której zawdzięczał poznanie wielu krajów i ludzi, ożenił się z Elżbietą Kallay, dziedziczką bardzo bogatą. Małżeństwo to, wkrótce rozwiązane, było dla Jósiki źródłem wielu zgrzyot i udręczeń, które nie pozostały bez wpływu na późniejszą jego twórczość literacką. Osiadłszy w majątku swoim na wsi, Jósika oddał się całą duszą studyom historycznym, a obok tego brał coraz żywszy udział w życiu politycznym swego kraju.

W r. 1836 ukazał się pierwszy jego romans historyczny p. t. „Abafi,” którym rozbudził zachwyty nie-

bywały wśród Węgrów i zniewolił krytyków do wyrzeczenia, że „na tem polu jest to utwór pierwszy i najlepszy od czasu, jak rozbrzmiewa język węgierski.” Treść do tego romansu zaczerpnął autor z czasów burzliwych Zygmunta Batorego, t. j. z epoki, gdy Turcy, Austriacy i Węgrzy intrygowali i walczyli o posiadanie Siedmiogrodu. Batory, z całą swoją potężną indywidualnością, wojownicy tureccy, baszowie i lud—oto tło osobiste dla bohatera powieści Olivera Abafi, który od rozpusty i bezprawia wznosi się do wyżyn poświęcenia.

W r. 1840 Jósika, pełen już sławy, wyjechał na stały pobyt do Pesztu, gdzie, oddając się coraz gorliwiej polityce, przez lat kilka walczył w opozycji, a w r. 1848/9 skończył na kierunku radykalnym. Po klęsce pod Villagos (1849) Jósika, skazany na śmierć za udział w rewolucyi, wśród przygód awanturniczych, zdołał przedostać się za granicę i tam, częścią w Brukselli, częścią w Dreźnie, pisał bez wytchnienia romanse historyczne. Jeszcze w r. 1847 ożenił się Jósika powtórnie z wielkiej miłości z baronówną Julią Podmanitzką i w tym związku znalazł szczęście zupełne. „Dopiero od chwili tego ożenienia — pisał Jósika — liczę swój żywot. Czem ona jest dla mnie — tego opisać nie zdołam; Bóg mnie obiema rękami pobłogosławił.” Julia, obdarzona również zdolnościami literackimi i wykształceniem niepospolitem, tłómaczyła powieści męża na język niemiecki, pisała artykuły do gazet, drobne nowelki, szkice z podróży, a także jeden dwutomowy romans p. t. „Ewa.” W pierwszych dniach niedoli ciężkiej na wygnaniu, chcąc mężowi swemu przyjść z pomocą, założyła w Brukselli skle-

pik z koronkami, który z czasem znaczne przynosił dochody. Jósika, pisząc do ostatniej chwili swego życia, umarł w Dreźnie r. 1864.

Był to pisarz nadzwyczaj płodny, prawie wszystkie jednak romanse jego z czasów wygnania noszą na sobie widoczne piętno pośpiechu, a zarazem i wpływu sensacyjnej literatury francuskiej.

Do najlepszych romansów Jósiki z przed rewolucyi należą: „Zólyomi,” „Ostatni Batory,” za który to romanse otrzymał autor od Akademii Węgierskiej 200 dukatów i puchar srebrny; „Czesi na Węgrzech,” „Poeta Zrinyi,” „Stefan Jósika, i inne. Pierwszy zbiór utworów tego pisarza, obejmujący 35 tomów zawiera także i kilka prac dramatycznych,

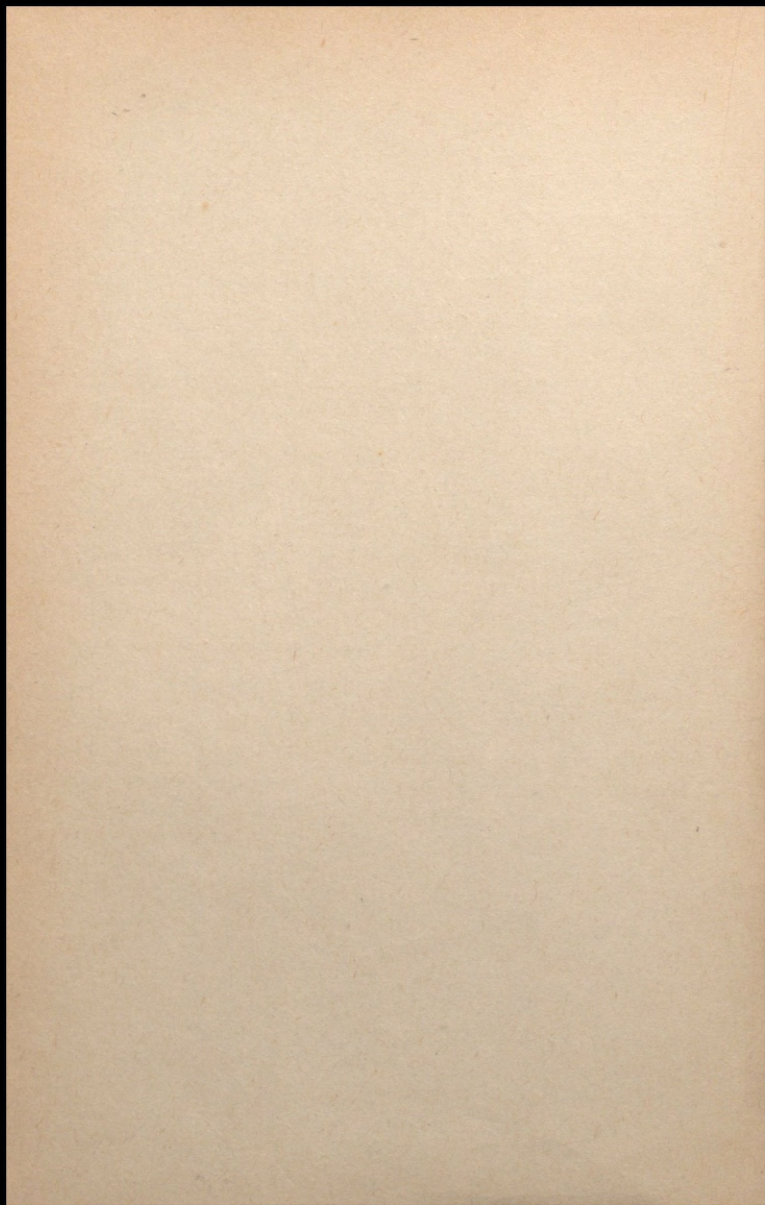
Na wygnaniu pisał Jósika i po niemiecku, ale wnet powrócił do języka ojczystego. Oto wybitniejsze jego utwory z tej epoki: „Ester,” „Sędzia Hermansztadzki,” „Czarownice z Szegiedynu,” „Franciszek Rakoczy II” i inne. Wydanie niemieckie dzieł Jósiki, napisanych w r. 1849, wyszło w r. 1859 w 18 tomach. Zostawił także Jósika „Pamiętniki,” wydane w Peszcie w 4-ch tomach r. 1865.

Pisarz ten zasłużył niewątpliwie na miano „Waltera Scota,” gdyż on to pierwszym był twórcą romanse historycznego w swoim kraju. Jak pisarz angielski odtworzył życie szkockich zamków i dworów, tak Jósika odzwierciedlił to życie w zamkach i dworach siedmiogrodzkich, ze wszystkimi jego tajemnicami i wspomnieniami. Słusznie jednak Emil Reich („Hungaria Literature,” London, 1898, str. 144) zaznaczył kardynalną różnicę w twórczości tych dwu pisarzy. Scot, pisząc swoje utwory, nie miał żadnych celów

politycznych na widoku, Anglia bowiem w owej epoce stała na wyżynach swojej kariery tryumfalnej. Utwory jego były *romantic pure and simple*. Tymczasem Węgry, w czasach Jósiki, jęczały pod ciężkim obuchem germanizmu; utwory więc tego pisarza musiały uleść zabarwieniu politycznemu, którego śladu w romansach Scota nie spotykamy. Pragnąc przez odtworzenie świętych obrazów przeszłości Węgier podnieść i ożywić obumarłą ich teraźniejszość, Jósika nie troszczył się bardzo o psychologię swoich charakterów historycznych. Posiadając inwencyę i fantazyę niepospolitą, przykuwał do siebie czytelnika więcej może bajką i umiejętnem powikłaniem wypadków, niż ich przedstawieniem artystycznym. Bohaterki stoją u niego nierównie wyżej od bohaterów, „rodzaj silny jest jego słabością, a raczej słaby—siłą.”

Dodatnie postacie kobiece przeważają u Jósiki nad ujemnymi, a opromieniane są zwykle wyjątkowym czarem i urokiem. Romanse historyczne tego pisarza potężną falą patryotyzmu orzeźwiły naród węgierski, który w bogatych wspomnieniach świetnej przeszłości czerpał otuchę do walki o byt narodowy.

J. Ā. Świącicki.



Słowo wstępne od autora.

Czasy Gabryela Batorego stanowią w rocznikach węgierskich epokę pełną wrzawy wojennej. Duch awanturniczy znajduje wśród ciągłych przewrotów politycznych szerokie pola działania. Miłość przybiera cechy gwałtownych namiętności, ambicya zdobywa potęgę. W gruncie rzeczy działo się tam może to samo, co i dziś się dzieje, ale charakter epoki kolorował to wszystko pełnemi romantyzmu barwami. Bieg wypadków nie był to cichy, po równinie z łagodnym szumem płynący strumień; warunki owoczesnego bytu pchały jego fale ku szczytom wyniosłych gór, tam on pasował się z przeszkodami, tam szalał, tam się stroił w perły i złota odblaski. Czy kto jest szlachetny, czy nikiemny, podniosły, czy nędzny—wszystko z głębi jego piersi wypływa. Szatan wstępuje w serce zazdrosne, gnuśność gnieździ się w obojętnem; śmiałość—jeżeli pozbawiona stanowczości, tworzy szydercę, boska potęga i siła poświęcenia żyje w sercu szlachetnem. Ten to świat wewnętrzny uczuć — cierpień i miłości odzwierciedla się w powieści niniejszej, nie przez ułudne obrazy wymyślonych położeń, ale w niekłamanej prawdzie zdarzeń życiowych, tak jak się rozwijały w rzeczywistości, i ukazuje, jak to człowiek szlachetny, mimo klęsk i rozczarowań, szlachetnym

pozostaje, jak mimo ponęty wdzięków, mimo otaczających go ze wszech stron ułud i pokus, zwycięża pod tarczą swego anioła i ideał swój osiąga.

Powieść ta dalej dowodzi, jak najszlachetniejsze, najwybitniejsze zdolności marnieją pod wpływem złęgo kierunku, jak drugostronnie miłość ziemi swojej i enota, z siłą ducha złączona, może dokonać cudów, jak wreszcie prawdziwie enotliwy mąż góruje nad wypadkami i próbami losu, nie zniżając się nigdy przed dziką i nieszlachetną naturą człowieka, który tylko materyalną, cielesną moc ma za sobą.

Czy powieść niniejsza okazała to wszystko, czy wierną pozostała charakterowi opisywanej epoki, czy ściśle historycznie przedstawiła działające postacie, o ile to w powieści jest możebnem — o tem autorowi sądzić nie wolno. To tylko wolno mu powiedzieć, że nie zbywało mu ani na dobrych chęciach, ani na dobrych celach.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ROZDZIAŁ I.

Toga i Sznur.

Byłem dziki, dzikszys niżli potok górski
I wolny—lecz niestety tylko pożądlivy!
*Vörösmarty*¹⁾.

W końcu czerwca 1609 r. mąż szanownej postaci wstępował zwolna po wązkich schodach, wiodą-

¹⁾ Vörösmarty. *Dél sziget* (Wyspa południowa).
(Przyp. Aut.).

cych wgląd ciemnego korytarza gmachu szkolnego w Koloswarze (Klausenburgu). Postać ta, zawróciwszy na lewo, mechanicznie kieruje się ku zamazanim drzwiom, które widnieją w słabym oświetleniu, jakiego udziela niewielkie okno w końcu korytarza. Mąż, który ku nim dąży, okryty jest w długi, do kostek dochodzący płaszcz, brodę ma rzadką, a na głowie jakąś szczególną mieszaninę czapki i kapelusza bez ronda; to wszystko przykrywa szeroka kapa. Jakkolwiek postać ta dziwną nam się wydaje, lecz w epoce naszego opowiadania każdy obywatel Kolosvaru, każdy mieszczanin i wszyscy życy zdalekaby poznali czcigodnego pana Demetera Kapornai, lub, jak się sam zazwyczaj ówczesną modą podpisywał: Dewmewtewra Kapornai.

Kiedy ten pracowity i punktualny nauczyciel szkoły koloswarskiej o godzinie drugiej po południu wstępował na schody, wiodące do sali szkolnej, dziwny hałas doszedł jego uszu. Słyszał dzikie świsty i głośny śmiech, krzyk i gwar, jak na jarmarku, wśród którego nie można było zrozumieć ani słowa.

Pan profesor stanął, głowę pochylił i twarz jego to żółkła, to czerwieńiała naprzemian.

— Tak! tak! — mruczał do siebie — to głos Dimona.

Gdy dalej parę kroków postąpił, ucichł nagle gwar, i słyszeć się dało, jakgdyby ktoś wygłaszał lekcję, to głos podnosząc, to go zniżając.

Wtedy to p. Kapornai nagłem poruszeniem klamki drzwi otworzył, wołając:

— *O, male feriat, pueri!* — spłoszył całą gromadę chłopców, otaczających katedrę.

W oka mgnieniu tłum małoletnich synów Muz zasiadł na drewnianych ławach, uciekłszy od katedry, tylko ten, którego Kapornai nazwał Dimonem, inicjator wszelkich nieporządków w szkole, stał na tem szanownem miejscu, z którego zazwyczaj Kapornai wykładał humaniora.

Należy wiedzieć, że imci pan Kapornai obok innych chwalebnych przymiotów, posiadał ten jeszcze, że był bardzo dobrym gospodarzem i bardzo oszczędnym człowiekiem. Pozostawił więc w szkole starą swą długą opończę, czyli togę, poplamioną i połataną, którą zazwyczaj kładł przed lekcją na siebie i w tem odzieniu ukazywał się przed zebraną klasą.

Tę to czcigodną suknię włożył na siebie nie szanujący nic świętego Dimon, i w tej, o łokieć za długiej dla siebie szacie, miał przemowę do otaczających go towarzyszków.

— Ruszaj ztąd, niedobry chłopaku! — były to pierwsze słowa, które w gniewnem oburzeniu mógł wyrzec czcigodny Kapornai.

Chłopcy, przestraszeni tym wspaniałym głosem, stali się naraz rzeszą tak cichą, jak żaby w stawie ukryte pod kamieniem; czy się nie wykrzywiali za plecami pana profesora, to już było wiadomem im i Bogu. Tylko nieszczęśny Dimon, znajdujący się wprost groźnego wzroku szanownego p. Kapornai, został za karę odesłany na trzecią, albo, inaczej mówiąc, oślą ławkę.

Teraz p. profesor zdawał się nad czemś namyślać. Wreszcie, surowo spoglądając na uczniów, zajął miejsce na katedrze i rzekł głosem pełnym godności:

— *O male feriatae coriphae!* Dimonie, nie ujmę ja z twego powodu poświęconego nauce czasu, ale wiedz o tem, że po ukończeniu lekcyi pójdziesz do karceresu!

— Nie dam sobie nic złego uczynić—odparł Dimon wyniosłe.

Dimon był sierotą i najlepszym uczniem w całej klasie, ale zarazem najniesforniejszym, najśmielszym i najobrotniejszym. Nikt tak chytrze, jak on, nie potrafił się z rozmaitych przygód wykręcać. Był to chłopak zawadyaka, zuchwały i ryzykowny, i mimo, że się uczył bardzo dobrze, uważać go było mo-

żna za prawdziwą zarazę szkoły. Miał już lat 17, co w owym czasie w wyższych klasach nie stanowiło rzadkości.

Pochodzenie jego było nieznanne. Kapornai wiedział tylko, że kilka lat temu przybyła do Koloswaru jego matka, piękna, lecz schorowana kobieta, i oddała mu syna do szkoły. Po kilku tygodniach umarła, Kapornai przyjął chłopca do siebie na wikt i mieszkanie i zaopatrywał jego potrzeby, czerpiąc z małej schedy, jaka Dimonowi po matce została. Należy nadto pamiętać, że był on właśnie w tym wieku, kiedy wszystkie zdolności najsilniej się przejawiają, najsilniej wybijają się na wierzch. Między innymi jego zaletami mieściło się i to, że prześlicznie pisał, ozdabiając ówczesną modą pismo swoje kolorowemi rysunkami i złożonemi floresami. Drugą jego umiejętnością była zdolność naśladowania ruchów, głosu i fizyognomii znanych mu osób, czem umiał pobudzać ludzi do śmiechu, lecz ośmieszonych drażniło to niepomierne, gdy się ujrzeli przedstawionymi w karykaturze. W piersi jego młodej biło przytem wiele niedobrych uczuć, był zuchwały, lubił szkodzić innym i zemstę krył w sercu głęboko, maskując ją szyderstwem.

W tej chwili obraził on wielce opiekuna i nauczyciela swego.

— *Taceas asine!*—odrzekł Kapornai na zuchwałą odpowiedź Dimona i spojrzawszy na listę uczniów, zawołał gromko:

— Łukasz Pap!

Na to wezwanie wstał z ostatniej już ławki wysoki, blady Wołoch, w czarnem ubraniu i otworzywszy książkę, położył ją przed sobą, aby chwytac od czasu do czasu jaki ustęp, i czekał na pytanie.

— Co wiesz o Andrzej Batorym?—zapytał pan Kapornai.

— Andrzej Batory — szybko zaczął mówić Łukasz Pap — potomek sławnego Oposa Batorego, który już w XI wieku za króla Salomona i Gezy szczęśli-

wie wojował z królem czeskim, Wratysławem, był synem...

— Czyim synem? — przerwał nauczyciel.

— Synem Andrzeja Batorego, bratem znakomitego króla polskiego, Stefana — recytował chłopak, lecz profesor przerwał mu nagle i wskazując na obok siedzącego malca, rzekł:

— Dalej...

W ten sposób chłopcy wyrecytowali przed nauczycielem swoim całą historię prześwietnego rodu książąt siedmiogrodzkich, historię Batorych, przyczem w miarę, jak udawało się młodemu mówcy wydawać tę lekcję historii ojczyściej bez jakaś i przestanków, lub gdy patrzył na profesora przełkniętymi oczyma, bąkając coś pod nosem, Kapornai odzywał się z powagą:

— *Bene! praestanter...* — lub gromił przełękłego historyka od osłów i hebesów.

Gniew jego wzrastał wtedy szczególnie, gdy Dimon, podnosząc się nagle ze swej osłej ławki, stawał wyprostowany i dźwięcznym, śmiałym głosem, bez zająknięcia i błędu wypowiadał jakaś część lekcji, której kolega jego wykrztusić nie mógł.

Kapornai wydał mu nieraz surowy rozkaz, aby siedział cicho, ale Dimon nie lubił biernej roli, na jaką został skazany, i jeżeli nie mówił głośno, to cicho podpowiadał kolegom, lub nagle z piekielną ironią w spojrzeniu zwracał się do szanownego Kapornai z zapytaniem, kryjącem w głębi taką zuchwałą krytykę jakiegoś historycznego faktu, lub dostojnej osoby, że nauczyciel, o czem on naprzód wiedział, nie mógł mu jak się należy odpowiedzieć. Zdawało się, że czuł osobliwą przyjemność w drażnieniu swego starego opiekuna, który nieraz aż pąsował z gniewu i na koniec stracił cały zapas posiadanej cierpliwości,

— Zbyt wiele pozwalasz sobie, zuchwalcze! — krzyknął na niespokojnego chłopca. — Będziesz też za to ukarany tak, jak jeszcze nigdy.

Dimon nie poprosił o przebaczenie i tak szyderczym wzrokiem spoglądał na gromiącego go nauczyciela, że inni chłopcy, wszyscy młodszy od niego, drżeli nad losem, jaki go spotkać musiał i zarazem podziwiali męstwo i odwagę Dimona, który wyrastał im w oczach na bohatera. Kapornai czuł, że tak jest, i wściekły gniew burzył mu się w sercu.

— Poczekaj ty nicponiu...—mówił w duszy, przyrzekając sobie, że słabym nie będzie i po końcu lekcji ukarze zuchwalca, w czym też nie zmienił zdania, gdy bijąca godzina czwarta zapowiedziała koniec lekcji.

— No...—rzekł, zstępując z katedry—teraz nadeszła chwila wymiaru sprawiedliwości...

Czy w piersiach Dimona nie uderzyło silniej serce? To przecież nie ulegało wątpliwości, że wszyscy jego towarzysze zadrżeli, ogarnięci niepokojem.

— Wstawaj z miejsca, niedobry, niekarny chłopcze — mówił dalej Kapornai, zwracając się do Dimona.—Darowałbym ci może obrazę własną, ale psujesz towarzyszy swoich, zatruwasz młode ich dusze jadem swego zuchwalstwa.

Dimon patrzył trochę niespokojnie ku drzwiom i oknu, jak gdyby szukał sobie drogi, którą mógłby salwować osobę swoją. Ale z osłej ławki nie było blisko ani tu, ani tam, a wezwany przez Kapornai profos, czyli kat szkolny, stał już wyprostowany, jako przepowiednia ciężkiego końca wesołej komedii, którą młody zuchwalec odgrywał przed towarzyszami, blady mi teraz z przerażenia.

— Wstawaj!—powtórzył Karponai i Dimon usłuchał go teraz. Wstał, ale nie po to, aby się wydostać na otwartą przestrzeń szkolnej sali. Wskoczył na ławkę, szukając sobie oparcia dla pleców, to jest muru ściany. Blady był, ale oczy mu się świeciły.

— Słuchaj—rzekł Kapornai.—Zuchwalstwo twoje nic ci nie pomoże, bo siła nie jest po twojej stro-

nie. Żywy, czy umarły dostaniesz się do karczeresu, z którego nie zaraz wyjrzysz na świat Boży, jeżeli upór zwiększy twoją poprzednią winę. Wzywam cię po raz ostatni chodź mi tu zaraz...

Dimon ani drgnął, ale był coraz bledszy i Kapornai trząsał się z gniewu.

— Wszystka moja cierpliwość już się wyczerpała — zawołał i obracając się w stronę profosa, krzyknął:—Bierz go, Kanya, i wiąż!...

— Mnie wiązać, mnie!...—zawołał dziko milezący dotąd chłopak—mnie brać!... Towarzysze, czyż pozwolicie na to?

Młoda rzesza uczyła się zelektryzowaną. Dimon był zawsze dobrym kolegą, czyż go mieli opuścić w nieszczęściu? Dzieciaki, bo po większej części były to dzieciaki, uczyły coś poruszającego się w ich piersi i uderzającego w sercach. Spoglądali po sobie, trzeba przyznać, że nieśmiało, ale to jeden, to drugi posunął się krokiem dalej i wkrótce cała gromadka znalazła się przed ławką Dimona, tworząc jak gdyby wał obronny. Chcąc go brać, trzeba było pierwiej ich odtrącić, a teraz niejeden już podniósł głowę i patrzył śmiało; choć kilku było zmieszanych i przestraszonych, inni widocznie postanowili bronić towarzysza i było coś heroicznego w tem postanowieniu malców, a Kapornai, który to czuł, rozgorzał tem większym gniewem na twórcę tej rewolucyi.

— Bierz go, Kanya! — krzyknął.—Bierz i wiąż... Masz łyko...

Dimon zaśmiał się, chłopcom serca biły; Kanya, *vulgo* kociak, jak go zwali chłopcy, posunął się naprzód, a plan bitwy jaki sobie ułożył, był prawdziwie koci. Podsunął się jakoś bokiem ku zgromadzonym obrońcom Dimona, i wiedząc, gdzie może być słabe miejsce tej żywej fortecy, przemknął się między dwoma młodszymi, tchórzliwie wyglądającymi chłopcami, a Wołoch Pap, lizus i donosiciel, któremu koledzy przyznali zaszczyt długich uszów, czyli szpie-

ga, sam mu miejsce zrobił, przyciskając się niby ze strachu do innych i wykonawca sprawiedliwości wyciągnął swe długie, chude ręce. Można się było domyśleć, że postanowił Dimona porwać za nogi i w ten sposób przewrócić, ale koncept był źle obrachowany, bo zmiarkował to winowajca i jednym potężnym sussem z ławki zeskoczył.

Dimon był barczysty i silnie zbudowany, czarny wąsik już mu się sypał nad górną wargą ust, które, trzeba dodać, były wcale niebrzydkie i jakby prawdziwie koralowe. Rysy jego nie były regularne, ani delikatne, lecz niepozabawione szlachetności, oczy miał duże i błyszczące, nos może za wielki, lecz greckiego kształtu, przytem był na swój wiek wysoki i jakaś bystra śmiałość patrzyła mu z oczu, z których wyglądał też spryt nielada i pojętność. Zrozumiał on podstęp przeciwnika i odrazu ułożył sobie, jak się z nim rozprawi; ponieważ wierzył w przysłowie, że śmiały wygrywa, nie czekał na atak, ale go uprzedził. Jak ryś z wysokiego drzewa skacze nagle na grzbiet niedomyślającej się tego sarny, tak Dimon równemi nogami skoczył na nieszczęsnego Kanya, który przewrócił się na ziemię, padając jak długi, i scena stała się naraz komiczną. Wszystkie chłopaki wybuchnęły też głośnym i wesołym śmiechem i rozsuwając się na boki, zrobili miejsce zwycięzcy, który postawił nogę na piersiach powalonego.

— Zostawiłbym ci piękną pamiątkę po sobie — zawołał ustami drżącemi od namiętnego gniewu — zdeptałbym cię jak robaka, złamał ci piersi, ale nie chcę tego...

Zanim Kapornai mógł oprzytomnieć i przyjść do siebie w tem niespodziewanie wytworzonem położeniu, zuchwały chłopiec szybciej od błyskawicy ku oknu skoczył i roztworzywszy je, stanął na gzymsie, trzymając się lewą ręką jednego ze skrzydeł okna. Z oczu jego patrzyła dzikość i stanowczość, a w ręku zabłysnął długi nóż, który z zanadru wyjął.

— Per amorem Dei et patriae! — wykrzyknął Kapornai, przerażony niebezpieczeństwem Dimona. Okno szkoły mieściło się wysoko, znajdowało się na wiele sążni ponad ziemią, a na dole był bruk kamienny. Życie Dimona wisało na włosku.

— Zejdź z tamąd, czarcie! — wołał przerażonym i gniewnym głosem nauczyciel.

— Nie zejść — odpowiedział Dinon, wysadzając jedną nogę w powietrze — dopóki nie otrzymam przebaczenia, *domine humanissime!* Na karcer, głód, pragnienie, na co się panu spodoba, zgodzę się, ale tylko jedno sobie zastrzegam — bić się nie pozwolę... i znów zuchwale jedną tylko nogą trzymał się jeszcze stałego gruntu gzymsu, a połowa ciała była już w powietrzu i Kapornai czuł, że włosy na głowie mu powstały.

— Stój, szatańskie dziecko! — krzyczał — Kanya! trzymaj go!... nie puszczaj...

Wezwany poruszył się nieśmiało, leniwie, ale cała gromada zaczęła krzyżeć:

— Nie chodź tam! nie tykaj go... zeskoczy zaraz! Nie da się tknąć...

— Pierwszy, co się do mnie zbliży — rzekł Dimon wyniośle — zginie od mego noża, jak mi Dimon na imię i jak od trzech lat jestem *primus eminens!* Towarzysze, bracia, krwi moja rodna! czyż pozwolicie, aby wasz *primus eminens* był tak znieważony? To też wam przysięgam, że śmierć jest mi miłszą od wstydu, a wiem, coby mnie czekało, gdybym się zdał na łaskę. Związanoby mnie, shańbiono!

Kapornai miał szum w uszach i krwawe błyski przed oczyma. Ten szalenciec — myślał z rozpaczą — gotów coś strasznego uczynić: albo nożem kogo pchnie, albo z okna zeskoczy i zabije się na kamieniach.

Zadrżał na tę myśl ostatnią, która przedstawiła mu straszny obraz roztrzaskanej głowy Dimona. Ach! nie może on przecież stać tak długo na gzymsie, wyniesionym o trzy sążnie ponad ziemią. Choćby nie

skoczył, a zdolnym jest to uczynić, to mur może się oberwać. A przytem jedno poruszenie... Straszny obraz skrwawionego ciała na bruku znów mu stanął przed oczyma.

— Dobrze! — jęknął raczej, niż wypowiedział, jakkolwiek silił się na powagę—ostatni raz ci przebaczam. Schowaj nóż i schodź z okna. Ale przyrzecz uroczyście, że nie będziesz czynił więcej nieporządków w klasie.

— Nie robiłem ich dotąd — rzekł Dimon wyniosłe. — Czasem lubiłem się zabawić, gdy było nudno w szkole.

— Nie zaprzeczaj słowom moim, zły chłopcze... Przyrzecz, czego wymagam od ciebie i co jest uczciwem z mej strony żądaniem. Psujesz innych, dzieci młodsze od siebie...

— Nie, nie psuję... Nie daję im tylko być zmo-kłemi kurami...

— Trzymaj się framugi!—zawołał Kapornai z nagłym przestraczem, bo znów Dimon zaczął próbować gimnastyki wiszenia w powietrzu. — Trzymaj się framugi!!

— Przebaczenie zupełne, *domine humanissime*, albo skoczę.

— Stój!—zawołał biedny profesor takim głosem, jak gdyby zuchwały chłopak już się ciskał z góry na dół.—Dobrze, na ten ostatni i jedyne raz ci przebaczam — dodał, wysilając się na sztuczną powagę — schodź ztamtąd zaraz.

— Czy przebaczasz naprawdę, *domine clarissime*?...

— Naprawdę... Schodź prędzej!

— A jak zejść, to co?

— Ach! lichy chłopcze, czyż ci nie dość słów moich!—wykrzyknął Kapornai.

— Skoczę, jeśli nie odpowiesz mi wyraźnie, *domine humanissime*—rzekł Dimon chłodno. Czuł się już teraz panem położenia i puścił znów framugę okna.

— Przrzekam ci, że nie tknie cię ręka niczyja — rzekł Kapornai pełen żalu, bo chłopak wydał mu się w tej chwili złym naprawdę. Czuł, że rachuje na położenie, które sobie zuchwale wytworzył.

— Dziękuję, *domine clarissime!* Teraz wierzę. Ale naprzód wyjdźcie ze szkoły wy wszyscy — ty Kanya pierwszy.

Kapornai postanowił należeć do tych „wszystkich;” pewno Dimon chciał mu podziękować, gdy będą sami, otóż pragnął tego uniknąć. Powiedział sobie, że to powinno być karą krnąbrnego chłopca.

— Wie on dobrze, w jakim położeniu mnie postawił i jeżeli ma sumienie, niech go to dręczy — rzekł sobie i wyszedł na czele gromady żaków, która na pożegnanie całowała mu ręce. I oni czuli, że biedny Kapornai został pokrzywdzonym.

Wtedy dopiero Dimon zeszedł z gzymsu okna, gdy w sali nie było już nikogo, gdy ucichły nawet w korytarzu odgłosy kroków. Chwilę jeszcze kręcił się po klasie wesoło, można było powiedzieć, że od-dychał i wypoczywał po przebytej walce, ale potem stanął na środku sali chmurny i zamyślony.

— Psie życie... — mruknął — czego ja się tu nauczę?...

Skierował się ku drzwiom, ale przed ujęciem klamki zatrzymał się i znów do okna powrócił. Patrzył na niebo i szeroki przestwór widnokregu, który mu się przed oczyma otwierał i wyglądał w tej chwili to bardzo posępnie, to bardzo wesoło. W końcu to ostatnie uczucie widocznie w nim przeważało, bo przegarnął sobie włosy z pewną fantazją, a za chwilę błysnęło mu w oczach coś, jak gdyby zamierzał jakiś nowy figiel wyplatać. Obrócił się ku drzwiom, gdzie obok wisiła na gwoździu owa szara opończa Kapornai, która stała się dziś mimowolną przyczyną awantury.

Dimon spojrzął na nią z uśmiechem szyderczym, ale nie bardzo złym, i bardziej drwiącym.

— *Domine clarissime!* — szepnął i ukłonił się starej sukni swego opiekuna — powiesz sobie pewno, że mnie porwał mój kamrat, dyabeł! Tamta zgraja głuptasów dopiero będzie otwierać żółte dzióbki... — dodał i wreszcie po jakimś rozmyśle, stanowczym ruchem skoczył znów na okno; poczem spuścił się powoli na dół, trzymając się tylko kamiennego gzymsu. Okno wychodziło na bezludne podwórze i nikt nie był świadkiem tego śmiałego czynu. Dosięgnął w ten sposób nogami ziemi, trzymając się wciąż gzymsu, a musimy dodać, że Dimon, obmyślając ten swój śmiały plan, nie zastanawiał się szczegółowo nad przedsięwzięciem swoim i jego następnymi skutkami. Rzucił się w przepaść zuchwale. Gdy był już bliski gruntu, z zadziwiającą odwagą skoczył na podwórze. Skok był prędko i krępe ciało chłopca stwierdziło prawo ciężenia Newtona. Ale Dimon ani na chwilę nie stracił przytomności umysłu.

Nazajutrz opowiadano sobie w Kolosvarze dziwną historję, a mianowicie, że przeszłej nocy w sypialni p. Kapornaja zjawił się nagle jakiś człowiek pokryty skórą zwierzęcą i zamaskowany, który stanowczym, jakby podziemnym głosem, zażądał od niego pewnej sumy pieniędzy, grożąc mu, że zabije jego i siebie, jeżeli żądaniu jego nie stanie się zadość.

Mnóstwo ludzi utrzymywało, że to był zły duch, gdyż miał na sobie skórę wilczą, ale sam Kapornai niechętnie o tym wypadku wspominał, choć nie mógł się wstrzymać, aby komuś z przyjaciół nie zwierzyć się, i w ten to sposób tajemnica, zapewne zmieniona co do akcesoryów, dostała się do wiadomości publicznej, jak wszystkie tajemnice, o których wie więcej, niż jedna osoba.

Dlaczego oszczędny ten człowiek przystał tak łatwo na rabunek i nie stawiał oporu — dlaczego nie

krzyczał i nie oddał złodzieja w ręce pachotków miejskich?—rozmaicie objaśniano to w Kolosvarze. Jedni mówili, że to wszystko bajka lub halucynacya; inni sądzili, że Kapornai stehórzył, a przez wzgląd na swoją powagę nauczyciela nie chciał się do tego przyznać; my przecież możemy zapewnić, że zupełnie inną była przyczyna, dla której Kapornai w cichości sprawę tę utrzymał, gdyż nocnym gościem nauczyciela był Dimon, który w szalony i zuchwały jak zawsze sposób przyszedł odebrać z rąk swego opiekuna spadek, jaki mu został po matce. Prócz trochę pieniędzy, znajdowała się u niego szkatułka z pismem zapieczętowanym w środku, które według woli matki powinno się było dostać synowi, gdy dwudziestego roku dobiegnie. To tajemnicze pismo skłoniło głównie Dimona do nocnej wyprawy: Bał się okazać opiekunowi w inny sposób, aby ten według rozporządzenia matki nie chciał zatrzymać go w szkołach do lat dwudziestu. Że nocnym gościem profesora Kapornai był Dimon, o tem mieszkańcy Kolosvaru dowiedzieli się przecież nierychło, gdyż po śmiałym swym czynie znikł on z miasta. Możliwy jest, że wprost ze szkół porwały go jakie duchy, gdyby nie gospodarz pewnego zajazdu, gdzie Dimon jadł wieczrę i miał spać w najętej na ten cel izdebce. Przecież było to wątpliwą rzeczą, skoro przypuścić trzeba, że odwiedziny u starego opiekuna musiały mu zabrać coś czasu, a wstać musiał o świcie szarym, prędzej niż otworzono bramę gospody. Wyniósł się też z niej przez okno, z którego podróż napowietrzna łatwiejszą była jednak, niż poprzednia, gdyż zajmowana przez niego izba mieściła się na dole. Tą drogą też zapewne wyszedł na swą wyprawę nocną i tą drogą do gospody wrócił. Dodać należy, że zapłata za nocleg i strawę znajdowała się na stole.

ROZDZIAŁ II.

Uczony i awanturnik.

Imię, które na chrzcie mi dano, jest fałszywem.
Szekspir.

W kilka dni po opisanych wypadkach młody wędrowiec dążył przez Barczasag do pobliskiego Köhalm (Kamienne wzgórze). Miało się ku wieczorowi. Słońce zachodziło, czerwieniąc się ostatnimi promieniami. Na stokach gór dęby usypiały, sącząc krople rosy z liści. Cichy dźwięk dzwonu wiejskiego kościoła słyhać było w oddali. Wędrowiec nasz był odziany w płaszcz podróżny, na plecach miał dość duży tłumoczek, ale stapał wesoło. Młody był i dobrze zbudowany, więc mógł dźwigać ciężar większy nawet bez zmęczenia się i szkody na zdrowiu.

A znajdował się on w tej chwili pod cieniem lipy; położywszy tłumoczek na ziemi, odpoczywał. Patrząc na góry, otoczone różową mgłą zachodu, uśmiechał się do siebie, jakby roił, a twarz jego wyrażała stanowczość i zadowolenie.

— Uszedłem szczęśliwie—rzekł sam do siebie.—Zobaczmy, jakie są moje zasoby pieniężne i prowizye—dodał, wyjmując małą torebkę z kieszeni i zaczął ją przeglądać.—Kawałek czarnego chleba to nie wiele!—mówił, śmiejąc się — a do tego 3 dukaty, otrzymane od szanownego Nadany.

Nagle twarz jego stała się ponurą.

— Tu jest węzeł tajemnicy!—zawołał—wszystko, co pozostało mi po matce! Ach! w mózgu mi wre! Pocom się na świat ten rodził? Wiem teraz, czemu krew mi uderzała do głowy, ilekroć wymawiano przy mnie imię mego ojca i brata! Boże! niema na świecie takiego króla, którego bym synem chciał zostać...

Twarz wędrowca przybrała wyraz goryczy, a oczy dziko i bezmyślnie spoglądały na siatkę, wśród której stary pajak siedział w krzaku agrestowym.

— Po co dostał się tu między liście ten potwór? — zawołał namiętnie. — Zniszczę go i wyzwolę krzew z jego obrzydliwej tkaniny!

Wyjął z zanadrza nóż i pochylił się ku gałęziom dzikiego agrestu, gdzie między liśćmi pajak rozpiął okrągłą, symetryczną, szarą siatkę, wyglądającą jak plama śród jasno-zielonych gałązek. Nagle wstał. twarz jego nabrała szatańskiego wyrazu i cofnął nóż.

— Mnie—mówił głosem bezdźwięcznym—grzech wydał na świat! Szatan więc dał mi życie, a Bóg mu na to pozwolił! I ja, ja mam zabijać pajaka truciciela? Nie, nie powinienem cię prześladować, bo i ty także jesteś dziełem szatana. A nie czyni on nic na próżno. Dlaczegoż liście te nie mają zostać pokryte czarną, brzydką pajęczyną, czyż one jedne pod słońcem będą skalane i oszpecone? Ach! dlaczego coś nie zamazało listu, który mnie matka zostawiła? Nie bez przyczyny przecież taki los mi został zgotowany. Tak! tak! ty nędzna, żółkła kartko, zapisana wyrazami, które łyzy moczyły, będziesz ty służyć mi jak żórawie Ibikusa — odkryjesz, gdzie i jak mam się mścić mego wstydu? Może niejeden byłby rad temu, co mnie gryząca wściekłość w pierś wlewa. Tego, co wiem, już zapomnieć nie mogę nigdy i duszę moją napelnia razem dumą i gniewem. Ale się zemszczę! O! dlaczegożem nie umarł pierwej, nim poznałem imię mego ojca!...

Wędrowiec zamilkł, twarz jego poblądła, pierś podnosiła się wzburzona.

— Nie będę tu bawił dłużej — rzekł sobie po długim milczeniu—wrócę do obozu myśliwców. Mam jeszcze coś do powiedzenia Nadany'emu.

Ruszył w drogę. Po kwadransie usłyszał za sobą tętent konia; obrócił się i ujrzał jeźdźca, który znajdował się w pewnej odległości od niego, i wędro-

wiec patrząc, jak się przybliżał, uśmiechnął się mimowoli.

— Dalibóg! tej pary koni nie oddałbym za żadnego rumaka na ziemi — rzekł, uderzając się po nogach. — Jeżdżę na nich szybciej niż ten, co się tam wlecze.

Kiedy ów pieszy śmiał się, jeździec zdziwił się szybkim krokiem pieszego, którego nie każdy koń mógł doznać.

Początkowo wędrowiec zdawał się jeźdźcowi mało godnym uwagi. Później jednak przypatrzył mu się bliżej, i pod jego nędzną odzieżą, ujrzał twarz inteligentną i niepozobawioną szlachetności.

Spiąwszy konia ostrogami, popędził szybko i w gnieniu oka podróżni zrównali się z sobą.

Wtedy wędrowiec przystanął i śmiałym wzrokiem obejrzał się, mierząc jeźdźca i konia od stóp do głów. Potem, wzruszywszy ramionami, poszedł dalej.

— Stój, chłopcze! — zawołał jeździec. — Kto jesteś?

Ton był rozkazujący i było w nim coś, co zmusza do posłuszeństwa.

Wędrowiec stanął i położył tłumoczek na ziemi. Nie mówiąc nic, pogłaskał konia, lecz jeździec pochwał miecza jego rękę odepchnął, dając mu do poznania, że jest między nimi przedział. Mimo to wędrowiec miał w swojej twarzy coś wyniosłego i niezwyčajnego, co skłoniło jeźdźca, że długo patrzył na niego.

A i on był godnym tego, aby oczy ludzkie spoczęły na nim i przyjrzały się prawdziwie męskiej postawie i rosłej, kształtnej kibici, pięknej twarzy. Była ona młoda i imponująca; oko patrzyło przenikliwie i mądrze: broda była czarna, bujna, włos krótko przycięty, wijący się zlekka, kruczej także barwy, Na ramionach miał rycerz płaszcz ciemno-purpurowy, futrem wydrzem okładany. Piękność i regularność rysów, które zdawały się być mieszaniną greckiego typu z rzymskim, uderzyły wędrowca.

Twarz rycerza dyszała też jakąś królewskością; była w niej pewność siebie i dobroć; była w niej wesołość młodych lat, pełnych siły i niezmaconych żadnymi troskami. Postać jego, o ile sądzić można było z tego, jak na koniu siedział, była postacią atlety, a każdy ruch jej był pełen wdzięku i godności. Nie mniej pięknem było ubranie rycerza; wyglądający z pod płaszcza, aż do kolan sięgający dolman jedwabny, tkany w złociste kwiaty, łosiowe krótkie spodnie, wpu-szczone w wysokie palone buty, odznaczały dokładnie piękne linie ciała; nad dolmanem spływający ów płaszcz purpurowy z wylotami, spadał mu z bark okazale, a na głowie czapka bogata lśniła drogiemi kamieniami. Koń jego, ciemno-kasztanowaty, z wypukłemi, wesołemi oczami, rosły i silny, był tureckiego pochodzenia. Głowa jego sucha, nie tak cienka, jak u koni arabskich, była kształtną i piękną, jak do malowania. Nogi miał tęgie i mocne; ogon długi, grzywę bujną, czarną, która, gdy jeździec puścił się kłusem, jak gaza przezroczysta unosiła się w powietrzu.

U boku jeździec wisiął długi, w bogatej, zdobnej pochwie miecz, a w olstrach mieściły się dwa pistolety, których rękojeść była z kości słoniowej, nabijanej perłami.

— Kto jesteś?—powtórzył jeździec wesołym, lecz rozkazującym tonem.

— Jestem wędrowny student—odrzekł zapytany, śmiejąc się.

— Student, stare księgi wertujesz! Rozumiem cię, lecz jeżeliś uczony, powiedz, czegoś się nauczył, co umiesz?

— Ho, ho! umiem ja nie mało! umiem pisać tak ładnie i wyraźnie, jak nikt w Siedmiogrodzie.

— Bardzo dobrze. Cóż dalej?

— Dalej: znam historję Węgier i Siedmiogrodu od Daków aż do Gabryela Batorego.

— A cóż myślisz o tym księciu?

— Myślę tylko, że przyszedłoby mu więcej ze mnie, niż z Imrefiego, Tylko, że ja nie mam żony.

Jeździec roześmiał się, lecz dodał, patrząc mu w oczy.

— Księżę nie bardzo tęskni za mędracami, pisać sam umie, a historię Węgier i Siedmiogrodu zna, bo sam oto ją tworzy. Dla księcia, aby mu służyć, kochany panie uczony, trzeba być człowiekiem pokornym, roztropnym, użytecznym, mężnym i wiernym.

— Mężnym, jak lew, to dobrze, ale wiernym... Jak to rozumieć, szlachetny panie, czy wiernym być trzeba jak pies?

— Nie sądzę. Można też być wiernym, jak lew, t. j. być skórą księcia.

— Miły panie bracie — zabrzmiała odpowiedź wędrowca—gdyby i nasz Gabryś tak myślał, znalazłby we mnie człowieka, jakiego mu trzeba.

— Gabryel, mów śmiałku! — wykrzyknął rycerz gromko.

— Ciszej, ciszej, panie!—odparł z ironią wędrowiec.—Zygmunt do śmierci pozostał Zygmusiem, a Elżbieta Erzsi, ale o niej nie mówmy lepiej.

Jeździec zagryzł wargi i, jak się zdaje, wyraz jego twarzy powiedział wędrownikowi więcej, niż może jeździec sobie życzył.

— Jesteś więc odważny?

— Bardzo! Choćby z olbrzymem mogę bić się w każdej chwili.

— Słuchaj! — zawołał rycerz. — Miłoby mi było spróbować twojej siły i odwagi.

— Owszem!—odparł pieszy i odrzuciwszy kijem płaszcz, zakasał rękawy koszuli i pokazał silne, żyłaste ręce, otoczone jędrnymi mięśniami.

Rycerz wyjął z kieszeni duży, pękaty zegarek, co w owym czasie było rzadkim sprzętem, i spojrzął na niego.

— Nie mam czasu — rzekł i chowając go znów

na piersi, dodał: — Kiedy indziej spróbuję się z waszeczka...

— Bardzo mi miło będzie służyć ci, panie rycerzu—rzekł wędrowiec, przyglądając się bacznie jeźdźcowi. — Jeżeli o czas chodzi, to lepiej rozprawę odłożyć, bo zdaje mi się, że ciągnęłaby się długo nierozstrzygnięta.

— Przypuśćmy! — odparł jeździec ironicznie. — A tymczasem, panie uczone, zachowaj tę kieskę talarów, jako zadatek owej przyszłej próby sił.

Chłopiec wziął podarek, bo były to czasy, w których rycerz mógł go bez ujmy dla obdarowanego czynić. Jednak oblicze biorącego młodzieńca nie wyrażało ani zbytcej radości, ani niskiej uniżoności żebraka.

— Teraz — odezwał się rycerz — objaśnij mnie, panie studencie, dokąd idziesz?

— Sam nie wiem, może się udam do imci pana Weinraucha, sędziego królewskiego w Kohalom, jeżeli jeszcze żyje. Idę tam na wieczerzę i nocleg.

— Do Weinraucha? Dążymy więc w jedną drogę. Ja jednak ani na wieczerzę, ani na noc tam nie jadę—rzekł jeździec z wesołym uśmiechem—jadę tam w bardzo ważnej sprawie.

— Słyszysz, chłopcze! podobałeś mi się—dodał potem — i jeżeli lubisz ruch, lubisz być na nogach w dzień i w nocy, to znalazłbym ci dobre miejsce przy dworze księżęcym?... Cóż powiesz, gdybym ci obiecał to nawet, że książe przyjmie cię do osobistej swej służby?

— Cobym powiedział? — odrzekł student, a lica zabarwił mu rumieniec — że życie moje mu oddam! Na Pana Boga w Niebiosach! nie pożalowałyby chyba nigdy, gdyby mnie wziął do swego boku!

— A w jaki to sposób mógłby książe skorzystać z twoich zdolności, z twojej nauki, z twojej siły, którą się chlubisz i którą, jak sędzę, posiadasz?... Mów, słucham.

— Mógłby korzystać z tego bardzo wiele, szanowny panie. Umieję ja to, czego nie każdy dokona: Szybko załatwiać się z tem, co mam do uczynienia i spełniać wiernie poselstwa, a na polu bitwy płatać mieczem tych szczególnie, którzy najwięcej ufają w swą siłę.

— A czy umiałbyś, na przykład, weisnąć się do miasta, pełnego wrogów księcia? Czy umiałbyś zrachować, ilu tam jest tych, którzy na księcia sztylety ostrzą i uczynić to wszystko w cichości i tajemnicy?

Chłopiec myślał chwilkę.

— Dlaczego nie? — odparł w końcu. — Możemy spróbować. Serce moje jest tu oto w piersi nie zimne, nie zdradliwe, ale go jeszcze nie oddał nikomu, więc waząc życie, nie oglądałbym się w tył za nikim, a szperać lubię i nawet jest to moją namiętnością.

— Bardzo dobrze. — zawołał jeździec, zwracając się w stronę Köhalom. — Czy widzisz dymy, unoszące się tam w końcu doliny?

— Widzę. Tam jest obóz myśliwski Gabryela Batorego; jest tam Gabryel Betlen, Baltazar Kornis, Stefan Kamuti, Farkas Kamuti, Imrefi i wielu innych, razem jest myśliwych koło trzydziestu. Książę ma pięć koni; między innymi jest tam Ali, którego książę dostał w zeszłym roku od sułtana. Wczoraj wieczorem książę dostał adres od Sasów Siedmiogrodzkich, na adresie podpisany był Weisz, oraz Albinus.

— Stój, szatanie! Zkąd wiesz to wszystko? Czyś widział księcia!

— Księża! Gdybym go znał, nie powiedziałbym tego. Sądzę, że i łaskawemu panu wiadomem to jest, że w obozie nie wolno księcia po imieniu nazywać! Czyż trzeba wszystko widzieć, o czem wiemy?

Jeździec coraz bardziej zadziwiony, szybko zwrócił konia ku piersiom wędrowca.

— Jeżeli nie będę miał z ciebie sługi—krzyknął,

trzymając w ręku pistolet — wyprawię cię wprost do Lucypera. To będzie pierwsze twoje poselstwo, których umiejętnością chlubiłeś się przed chwilą.

— Panie! jesteśmy tu we dwóch tylko! — rzekł dumnie pieszy wędrowiec.

— Do szatana! — krzyknął jeździec, a krew mu do głowy uderzyła.

— Czekał, panie! Gniew zawsze szkodzi zdrowiu. Ja idę tam do jaśnie wielmożnego sędziego na kawalek pieczeni i szklanek piwa, jest mi tu zatem wszystko jedno, co ktoś o tem powie. Ale pan?...

Jeździec, zdawało się, że poczuł jakiś zabobony strach przed tym wszystkowiedzącym wyrostkiem.

— Dosyć—rzekł ostro.—Zostajemy razem. Powiedz mi swe imię.

— Dimon—rzekł zapytany.

— Dimon? Cóż to za imię? ani węgierskie, ani szeklerskie, ani saskie, ani wołoskie nawet?

— Nijakie, panie, nijakie, jak i jego właściciel— odrzekł chłopiec i dodał nie bez celu—krewnym moim jest Demon, duch, który też bywa zły i dobry.

— Imię znaczy nie wiele—rzekł jeździec, śmiejąc się mimowoli. Niechże ci będzie Dimon. Słuchaj, Dimonie, pośpiesz przeto do obozu. Przedstaw się Imrefiemu, powiedz tylko, że cię Ecsedi przysłała. Jeszcze dziś, choć późno, zobaczę cię. Śpiesz, chłopcze! Może księciu więcej jeszcze się podobasz, niż mnie. Niech ci się szczęści. A jeżeli początek wypadnie dobrze, wtedy...

— Wtedy?—pytał Dimon.

— Wtedy los twój zapewniony na zawsze; może szczęście tak ci będzie sprzyjało, że znajdą się tacy, którzy zazdrościć ci będą tego, jak to zwykle się dzieje. Idź więc. Ja śpieszyć muszę; boję się, żalim się nie spóźnić więcej, niżbym chciał. Dziś jeszcze się zobaczymy.

Ecsedi spiął konia ostrogą i wkrótce potem do-

jechał do miasta Köhalom, którego dachy ciemniały na wysokiem płaskowzgórzu.

Dimon zęgnął go ręką zdaleka.

— W imię Boga, pędź, dzielny zuchu! Na koniu, z mieczem i przy ostrogach jest ci bardzo pięknie! Idę zatem w górę! Któż mi w tem pomaga? Syn Stefana Batorego z Ecsedu! Ha, ha!

Na wargach Dimona błysnął jakiś uśmiech demoniczny.

— Zobaczymy, czy który z Batorych znajdzie we mnie wiernego i poświęconego mu przyjaciela. Nie będę się już wahał. Los mój musi się prędko rozstrzygnąć... tak! tak! Ale nie za małą cenę stanę się czartem. W górę, wysoko w górę, Dimonie, czy Demonie!

ROZDZIAŁ III.

Celesta Albina.

Dziwiętnaście lat miałem, dusza moja śniła,
I nadzieje śpiewały mi utudy złote,
I gwiazda mi błyszczala. I byłam ci bóstwem,
O serce me jedyne!

Wiktor Hugo.

Köhalom leży na skalistem wzgórzu; panowała nad niem, dziś już w gruzach leżąca, lecz piękna jeszcze twierdza, na którą patrząc, żałujesz, że już nie ma ludzi, co takie twierdze zdobywali.

Wieczorem tego dnia, kiedy Ecsedi spotkał się z Dimonem na drodze köhalomskiej, za mięsem pod macierzyńskim cieniem starej lipy siedziały dwie kobiety. W rękę starszej jest książka, przed młodszą stoi kołowrotek. Pierwsza czyta pocichu pisma Lutra, który już wówczas rozszerzył swą naukę, druga przędzie, ciągnąc nitki i poruszając pedał kółka prześliczną, maleńką nóżką.

Starsza z dwóch kobiet była odziana w ciemną suknię, nie podług węgierskiej mody uszytą; nie miała ona szamerowań i pętlic ozdobnych; była to suknia gładka, taka, jaką w uroczyste dni nosiły Saksonki — ciemna, ale strojna w barwisty rysunek kwiatów, chrząszczów i motyli. Na głowie miała biały, jak śnieg, czepek. Twarz jej była świeża i zdrowa; jasne, gęste włosy spadały na ramiona, miała ładne niebieskie oczy, pełne życia i wesołości; rysy nie tyle regularne, ile wdzięczne; na różowych ustach ciągle spoczywał uśmiech i całe oblicze wyrażało jakieś wewnętrzne zadowolenie.

W rysach drugiej, w jej postaci, zarówno jak odzieży, znać było osobę wyższego stanu. Wysoka i wysmukła, kibić miała kształtną i dziwnie udatną, a cała postać przywoływała na myśl kreacje Rafaela, tak była niepowszednia, tak czysta i urocza. Ręce miała białe, jak marmurowe posągi, a nóżki tak maleńkie, że dziwiłeś się, jakim sposobem takie nożęta unieść ją mogą.

— Jakże długo mąż mój rozmawia z Sewerem — rzekła starsza kobieta. — Co za wieści przywiózł on z sobą? Myślę, że dobre i proszę Boga, aby tak było. Czy sądzisz, że tak jest?

— Tak, zapewne, tak — odparła piękna panna, widocznie, aby coś odpowiedzieć. Wargi jej były ściśnięte, a oczy patrzyły w dal; w spojrzeniu ich był niepokój.

— Sewer zdaje się być bardzo wesoły — dodała po chwili kobieta. — Z tego sędzę, że poszło wszystko dobrze...

— Jest on zawsze wesoły...

— Znak czystej duszy, ale jak ci się zdaje, Celesto, czy twój ojciec nie lubi go więcej niż innych? A ty, co o nim myślisz? Godny to młodzian...

— O, bardzo! bardzo godny, poważny, uczciwy...

wiem to i nie przeczę ci, ciotko, w pochwałach od dawanych Sewerowi.

Znów nastąpiło milczenie. Na ustach p. Idy widniał nieznaczny uśmiech. Dziewczyna, jakby unikając jej wzroku, spoglądała w inną stronę. Nagle nitki jej przędzy poplątały się, zmęczona noga przestała poruszać kółko.

— Ach!—westchnęła w duszy.—Nie wytrzymam dłużej...

Miała wyraz twarzy smutny, a czasem pośepny. Towarzyszka jej nie zauważyła tego.

— Patrz Celesto — rzekła—słońce już zachodzi, spuszcza, się po za dolinę, a tarcza jego rumieni się, jak twarz dziewczicy, czekającej lubego...

— O, mylisz się, ciotko — rzekła dziewczyna, którą starsza kobieta nazwała Celestą — mylisz się. — Ja się nie rumienię dlatego, abym była zakochana w kimś, lub niespokojna... O nie... to tak, tak tylko...

Celesta źle słuchała słów towarzyszki i nie odpowiedziała też stosownie. Widocznie ucho schwyciło kilka wyrazów, gdy myśl była gdzieś daleko.

— Czas na to przyjdzie—odparła p. Ida z uśmiechem.

Roztargniona odpowiedź Celesty bawiła ją.

— Ach! — odpowiedziała dziewczyna pełnym tęsknoty głosem — skoro raz powiem sobie stanowczo, iż kocham... wiedzieć musi ten, kogo wybiorę, że to już na zawsze. Komu oddam serce, temu oddam życie!

— Ja wybrałabym ci takiego rycerza, którego już znamy. Ecsedi jest przybocznym księcia i ma piękną drogę przed sobą. Jeżeli nie jest już panem, to może nim zostać niezadługo.

Dziewczyna milczała. W kilka chwil potem ten, o którym rozmawiające wspomniały, Sewer, wyszedł z bramy miejskiej i zbliżył się ku nim.

— Życz mi szczęścia, Celesto! — rzekł wesoło, zwracając się do dziewczyny.

— Z całego serca zawsze ci go życzę — odrzekła Celesta, szybko zmieniając wyraz twarzy, z której zniknął niepokój, w oczach błysnęła serdeczność i widać było, że miłym jej jest ten, do kogo mówi.—Czy przecież wolno mi wiedzieć, z jakiej przyczyny żądasz odemnie tego życzenia?—dodała.

— Zostałem mianowany komendantem Hermanstadtu. O, Celesto! może niezadługo otworzy mi się droga do pokazania ci, jak kocham mój naród i jak wdzięczny jestem tym, którzy mnie, tak młodego, na takie stanowisko wynieśli!

Celesta uśmiechnęła się słodko i zwróciła oczy na młodzieńca. Sewer miał lat 23—24, był średniego wzrostu, mocnej, męskiej budowy ciała, postawę miał szlachetną, znać było po nim, że jest silny, a zdrowie tryskało mu z oblicza. Jasno-blond włosy wiły się w lekkie pierścienie na kształtnej głowie, duże i żywe oczy były błękitne, a piękne blond wąsy nadawały jego twarzy wyraz męzki i energiczny.

— Ojciec mój — mówiła z uśmiechem Celesta—będzie bardzo zadowolony. Tak cię pieści, że aż psuje.

— Prawdziwie kocham tego szanownego męża—mówił Sewer z powagą. — Lecz nie należę do tych, którzy łaskawość innych względem siebie uważają za swoją zasługę. Wiem, że twój ojciec, Celesto, kocha mnie, a to dlatego, że zna gorącą mą miłość dla dobra ogółu—i oto cała moja zaleta!

— Dobry Sewerze! — rzekła Celesta — jest to uczucie, które przynosi ci zaszczyt i szacunek wszystkich serc szlachetnych.

— Wiem—mówił dalej wzruszony Sewer—komu stanowisko otrzymane zawdzięczam. Celesto! ojciec twój jest szlachetnym człowiekiem, a lepiej jeszcze poznają go ludzie, gdy zostanie ich głową, ich wodzem. Myślę, że zbliża się chwila, w której go poznają.

— Tak sądzisz?—z rumieńcem na twarzy zapytała Celesta.—Mówiłam już ojcu o tem w czasie buntu wojewody Raduła. Mało ja cenię tego, co narusza pokój. Przenoszę tego, co wojnę kończy.

— Słusznie—dodał Sewer.—Wojnę, gdy nie jest konieczną dla dobra kraju, nazwać można rzezią ludzi i barbarzyństwem.

Gdyby kto był słyszał rozmowę Sewera z Celestą, a nie widział ich, sądziłby, że to nie młodzieniec w pierwszym kwiecie wieku rozmawia z piękną dziewczyną, lecz dwaj mężowie postarzeli w krwawych przejściach wojennych i niebezpieczeństwach zachwianego losu ich ojezyczny.

Weinrauchowa zamknęła książkę i spoglądała w milczeniu to na Celestę, to na Sewera, czekając, czy z ich ust nie wyjdzie jakie słowo czulsze:

— Raduł—ozwał się Sewer—przrzekł księciu wypłacić 8,000 fl., ale dotychczas nie oddał ich i jak sądzę, długo trzeba będzie czekać na uregulowanie tego rachunku. Sakwy biednego wojewody są próżne.

— O!—przerwała p. Ida — ma on dosyć pieniędzy, tylko ich oddać nie chce.

— I ja tak sądzę — dodała Celesta — lecz nawet ten postępek nierzetelny nie jest dostateczną przyczyną zerwania pokoju. Ach, Boże! jakże to ciężko pomyśleć o wojnie, która tyle ofiar za sobą pociąga.

— Polegajmy na pośle Albinie, któregośmy wysłali—rzekł Sewer—ułoży on rzeczy najlepiej, o ile będzie można.

— Już odchodzisz?—ozwała się Celesta, widząc, że Sewer sięga po czapkę, którą zdjął był z głowy—już nas opuszczasz!

— Muszę — odparł Sewer, tłumiąc lekkie westchnienie, a spojrzenie jego spoczęło na Celeście z niewymowną tkliwością najlepszego brata.

— Jeżeli musisz — odparła mu dziewczica powa-

źnie—to iść powinienes. Jesteś w tej chwili na drodze do spełnienia wielkiego dzieła, masz w rękę obronę pierwszego miasta prowincyi i biednej ludności, którą wojna zawsze w nędzę spycha.

Sewer spojrział na nią okiem pełnem blasku.

— Tobie, Celesto, zawdzięczam, że duch mój podniósł się i uszlachetnił, tyś mi go budziła w pierśi—rzekł.—Ty to byłaś mojem natchnieniem w pojęciu prawdziwej miłości ojczyzny. Oh! nie sami tylko rycerze i panowie, siedzący w pysznych zamkach, stanowią naród. Jest jego częścią żywotną ten, kto pracuje, czy to kmieć, pracowity rolnik, czy mieszczanin, który kuje młotem i zalewa się znojem u warsztatu—ci także go stanowią, o nich też myśleć należy. Ty, Celesto, pierwsza to rzekłaś, odgadując tę wielką prawdę przez dobroć swego serca.

— Rada jestem temu, jeżeli coś dobrego przyszło ci przezemnie, Sewerze, bo cenię cię jak brata. Stanowisko, jakie się przed tobą otwiera, niech ważnością swego zadania przejmie całą twą duszę, tak, aby imię twe rośło w chwale i szacunku u wszystkich ludzi. I Celesta będzie między nimi, będzie pierwszym głosem, który cię uwielbi, jako dobrego syna swej ziemi.

Sewer czuł, co dziewczyna powiedzieć mu chciała: mówiła jak siostra i mówiła mu tylko o uczuciu wdzięczności, jeżeli będzie pożytecznym ludu opiekunem, lecz potężny czar ogarnął jego serce; koń, który stał po za nim, spoglądał ku miejskiej bramie, grzebał ziemię kopytem i rżał niecierpliwie.

— Koń — rzekła z uśmiechem Celesta — wzywa cię już, Sewerze, w drogę. Komendant Hermanstadtu—dodała po chwili z tklivoscią siostrzaną—zabawia rozmową swoją kobiety, ale kto wie, czy wkrótce nie spotka się gdzie w wąwozach z zastępami Wołochów, aby zwalczyć Raduła, jak bohater.

— Nie tak to prędko takie rzeczy się dzieją,

Celesto—rzekł Sewer.—Ale czas mi już w drogę rze-
czywiście i przypominasz mi o tem.

— Ach, Boże! — dodał z westchnieniem—odjazd
mój smuci mnie jednak z jednego powodu. Nie będę
mógł być spokojnym.

— Dlaczego?—zapytała Celesta prawie wyniośle,
a głos jej stał się nagle chłodnym.

— Oby najpiękniejsza kobieta na świecie nie
została zawiedziona w nadziejach swoich — to będzie
modlitwa moja do Boga. Celesto! wiem, że w tej
chwili czekasz na kogoś, że wyglądasz go niecierpli-
wie, oby tylko ten człowiek był godnym skarbów, ja-
kie twoje serce, twoja czysta dusza zawiera! Wtedy
dopiero będę spokojny, gdy się o tem przekonam.

— Dość, dość—przerwała Celesta, z twarzą za-
rumienioną od wzruszenia.

— Ach! przebacz mi, Celesto, ale mi się to
wszystko z pod serca wyrwało. Bo jakżeż ufać mogę
temu, który jest tak blizkim Gabryela Batorego?

Celesta niespokojnie patrzyła przed siebie i nie
odpowiedziała ani słowa.

— Czy nie znasz księcia, p. Sewerze?—zapytała
Weinrauchowa, nagle powstając.

— Z czynów aż nadto dobrze, choć ośobiście nie
mam tego zaszczytu.

— Nie złego, o ile wiem, nie zrobił dotych-
czas—rzekła kobieta, jak gdyby gromiąco.

— A cóż uczynił dobrego? Nic nie robić, tylko
hałasować i wszczynać awantury, to chyba nie zasłu-
ga? Zeszłego roku, gdy był w Kronsztadzie, a z nim
żołdacka świta jego, ludzie poważni byli pełni smu-
tku. Może kobietom mało dał powodów do skargi, bo-
tańczył, szalał, wydawał uczyty. Ale ojcowie ojczyzny
nie uważają Gabryela za władcę, któryby zapewnił
szczęście narodu. O! nie... i nadejdą może niezadługo
złe czasy.

Celesta wciąży się rumieniła.

— Wybacz, Sewerze, że ci powiem prawdę —

rzekła naraz. — Są chwile, w których człowiek widzi wszystko w barwach czarnych, które czynią go posępnym. Nie było tu mowy o księciu, i ja go nie znam. Byłam właśnie z ciotką w Kronsztadzie roku zeszłego, lecz nie widziałam w czynach księcia tyle złego, ile mówią ludzie. Może on ma błędy, ale ztąd wyprowadzać wnioski, stanowczo go potępiające, jest jeszcze większym błędem, przeciw któremu powstają.

— Przebaczania, Celesto! — rzekł smutnie Sewer. — Uraziły cię moje słowa. O, na Boga! nie chciałem tego! Niebo mi świadkiem, że życiebym oddał za twój spokój! Jeżeli mówiłem to wszystko, to dlatego, żem uważał za rzecz konieczną, abys znała prawdę, choć bolesną. Pragnąłem otworzyć ci oczy i pokazać, czem to jest książę i ci, co go otaczają.

Pani Ida z niezadowoleniem słuchała tej rozmowy i po chwili też odezwała się dość szorstko:

— Mylisz się pan, panie Sewerze, w swoim sądzie o księciu; jest on młody i ognisty, mąż pełen siły, który błędzi może wskutek zbytku szlachetnych przymiotów męzkich. Rycerz to jest przedewszystkiem, więc butny, trochę rozrzutny, burzy się w nim niekiedy krew gorąca, przecież prócz tego, nic tak złego o nim nie wiemy. Lecz jeszcze większą jest omyłka pańska co do Ecsediego, nie znasz go wcale, panie Sewerze, bo właśnie zeszłego roku nie było go w Kronsztadzie.

Sewer nie zdawał się słuchać tego, co p. Ida mówiła.

— A jakże usprawiedliwić grabież 25,000 fl., które książę wycisnął na ludności tej prowincyi? — zapytał Sewer gorzko.

— To był podarunek — przerwała Celesta namiętnie. — Ofiarowaliśmy sami te pieniądze władcy Siedmiogrodu, który i nam panuje. Nie możemy tu żyć na wyłącznych jakichś prawach, skoro przybyliśmy tu, obierając sobie tę ziemię za nową ojczyznę naszą.

Celesta zaczęła naglić ciotkę, aby powróciły do domu. Słońce ostatniemi blednącemi promieniami zachodziło za góry, zimny wieczorny wietrzyk wiał między gałęziami lipy. Obecność Sewera widocznie zaczęła ciężyc pięknej dziewczynie, której serce widać uraził—dotknął ją w to miejsce tego serca, które było snadź drażliwem, więc zabołało teraz. Sewer to czuł...

— Czemuż ja tu stoję, jak wrosły w ziemię?— pytał młodzian sam siebie z żalem wielkim.

Chciał iść, lecz nie mógł, nie miał siły, a czuł, że pozostać też nie może.

Podobny był do tych gości nudziarzy, którzy wstają z krzesła, biorą czapkę i żegnają się, przecież pozostają jeszcze godzinę całą, nudząc gospodarzy domu.

— Ciotko—rzekła Celesta—zaczyna być zimno, i proszę cię, chodźmy już do domu.

— Jeszcze nie pora na to, aby dusić się w domu—odparła p. Ida, która miała widocznie cel ukryty pozostania tu dłużej. — Słońce dopiero zachodzi — dodała.

— Szczęścia i powodzenia z całego serca życzę ci, Sewerze! — rzekła w tej chwili Celesta poważnie i już z dawną dobrocią, ale żegnając go stanowczo.

Zrozumiał też, że przedłużanie smutnej dla niego chwili nie prowadziło do niczego, że trzeba mu pożegnać się i odjechać samotnie. Dziękując za życzenia, siadł na konia i ruszył w drogę.

Pani Ida patrzyła za nim.

— Patrz, Celesto — zawołała nagle — patrz i przyznaj się, że to ja miałam słuszność, a nie ty. — Patrz...

Twarz dziewczyny nagle zajaśniała radością, lecz prędko spoważniała i ozwała się spokojnie:

— Pół godziny później, niż obiecał, przybywa. Lecz skoro już jest tak blisko, to zostanmy tu.

Patrz, ciotko, spotkał się z Sewerem i Sewer mu się kłania.

— Ecsedi nie oddaje mu przecież ukłonu — mówiła p. Ida, patrząc na drogę.

— Ach! Sewer musiał go może kiedyś obrazić — rzekła żywo Celesta. — Stają oto, patrz ciotko, jak ich ruch jest surowy.

— Nie sędzę, aby Sewer coś niestosownego uczynił, bo młodzieniec to rozumny i stateczny. Ecsedi to raczej w gniewie mógł coś takiego powiedzieć, co obraziło Sewera. Ecsedi jest jak płomień, nie mogę inaczej się wyrazić.

— Tak, o! tak! — przerwała Celesta z żalem, który drżał jej w głosie — pewno tak było, jak to, ciotko, mówisz słusznie. Ecsedi jest dumny. Nie zna Sewera i on musiał wywołać zatarg.

— Gdyby go znał, szanowałby go niewątpliwie — dodała i unilkła, aby przecież zawołać zaraz ze wzruszeniem:

— Rozłączają się! Ecsedi galopem śpieszy do nas. Wnet dowiemy się o wszystkim.

ROZDZIAŁ IV.

Oczekujący i oczekiwany.

Jak listki wierzby chwiejne, powiewne,
Srebrzystem światłem księżycy płoną:
Tak się kołyszą sny nasze rzewne,
Wiążąc nam duszę wstęgą złoconą.

K. Kisfaludy

W kilka chwil potem Ecsedi, zatrzymawszy się w bliskości bramy miejskiej, zsiadł z konia, dał go do pilnowania stojącemu obok strażnikowi i zwrócił się ku starej lipie. Stał wkrótce przed temi, które

go czekały. P. Ida szybko powstała z siedzenia i, rzeć można, z uszanowaniem schyliła się przed przybyłym, witając go z uśmiechniętem obliczem.

Celesta skinęła głową przyjaźnie, lecz poważnie. Ecsediego twarz pałała, spodziewał się widać czulszego powitania. Stał też długo przed piękną dziewczyną w milczeniu, lecz wreszcie zdjawszy kapelusz, położył go na ławce obok Celesty i poprawił włosy. Chwilę trwało milczenie.

— Celesto!—wyrzekł wreszcie—tyś smutna, cóż ci się stało złego? Liczę minuty, zanim wybije godzina, w której się z tobą zobaczę; godzina, w której jedynie jestem prawdziwie szczęśliwy, widząc blask twoich oczu niebieskich, słysząc dźwięk twego srebrnego głosu — godzina, w której jestem szczęśliwy, że mogę ci powiedzieć, jak cię kocham. A ty stoisz przedemną smutna i z wyrazem goryczy w spojrzeniu. Powiedz, o ty duszo moja, dlaczego cierpisz?

Celesta nie bez wzruszenia słuchając tej mowy, podniosła oczy na rycerza, który swoją wyniosłą postać robił wrażenie kolumny, stojącej obok delikatnej, drobnej, marmurowej statuy—Celesty

—I ty milczysz? Ach, jam się spóźnił! Może dlatego usta twe zamknięte są i miłość twa milczy Celesto, aniele mój! Może ty nie dlatego cierpisz, że przybył, ale dlatego, że się spóźnił?

Pani Ida z nieznacznym uśmiechem skinęła głową.

Ecsedi, siedząc obok Celesty, pochwycił silnie jej rękę.

— Czym zgadł?—mówił—a twarz zapłonęła mu, a oczy zabłyszczały.

— O najdroższa, jam nie dostał dotąd od ciebie ani jednego pocałunku! O, to grzech śmiertelny przeciw miłości naszej. Niemasz chyba kobiety tak surowej, jak ty. Można by pomyśleć, że nie kochasz. O, niech pierwszy ten pocałunek będzie pocałunkiem 'pokoju—słodki i wonny, płomienny i radosny. O, Ce-

li moja, dopókiś nie dała i nie wzięła pocałunku — nie żyłaś!

Celesta zdawała się być teraz spokojniejszą, a przecież od czasu do czasu na jej gładkiem czole pokazywały się zmarszczki i chmurki.

— Więcej niż godzinę siedzę tu i czekam na ciebie — rzekła. — A wiedz, że czekać wypada raczej mężczyźnie, aniżeli kobiecie kochającej kazać czekać na siebie.

— Na drodze miałem przygodę, dobry mój aniele, przygodę niespodzianą! Gdyby jej nie było, byłbym tu o pół godziny wcześniej.

— W takim razie — rzekła z uśmiechem Celesta — chcę być łaskawszą, niż surowemu sędziemu wypada, i przebaczam.

— A pocałunek pokoju?

— Pozostanie na przyszłość.

— Myślałam, żeś jest mniej surową — rzekła do niej Weinrauchowa.

— I pani też uważa za konieczne utrwalić zgodę zwykłym między zakochanymi sposobem. Błagam, przemów pani za mną.

— Dość — rzekła Celesta — odsuwając się od Ecsediego, aby ten się do niej zbyt nie zbliżył.

— Któż to był ten młodzian, którego na drodze spotkałem? Ząd właśnie wracał?

— Był to Sewer — rzekła Celesta — komendant twierdzy hermansztadzkiej. Dzielny, uczciwy i rycerski człowiek.

— Nie widziałem w nim tego — rzekł lekceważąco Ecsedi. — Sądziłem, że to jaki oficerek pachółków miejskich.

Celesta znów spoważniała.

— Nie — rzekła krótko. — Tyś tak nie sądził...

Ecsedi uśmiechnął się leciutko. Sądysz, że tak bardzo szanownie wygląda? Od kiedyż znajduje się w Hermansztadzie?

— Został komendantem od kilku dni dopiero.

— A, więc to świeży komendancik. Rozumiem. Z tego powodu tak dumny.

— Młodzieniec ten to nie zły człowiek — wtrąciła Weinrauchowa — trochę niepozorny, ale po bliższym poznaniu dochodzi się do przekonania, że jest uczciwy.

Ecsedi milczał.

— Ty coś kryjesz przedemną — rzekła Celesta. — Tajemnica! Ty wiesz, że między nami być jej nie powinno. Wyście spotkali się i mówiliście coś z sobą. Widziałyśmy to dobrze.

— Bardzo krótka była między nami rozmowa — odparł dumnie Ecsedi — nawet nie wiem, o czym mógłbym dużo mówić z tym panem Sewerem.

— Ręce jego poruszały się groźnie.

— Może muchy odganiał, Celi moja — mówił Ecsedi śmiejąc się. — Młodzieniec odważny wszędzie znajdzie pole do popisu.

— Nawet wobec much? — spytała, śmiejąc się, Weinrauchowa.

— Właśnie wobec muchy — odparł Ecsedi.

Celesta teraz bardziej pochmurniała.

— Gabryelu — rzekła z powagą, lecz i z niezrównaną słodyczą — tyś mi nie powiedział prawdy i to mnie martwi. Lecz ja znam cię lepiej, niż mi się chcesz przedstawić. Wiem, że mężny, rycerski Ecsedi nie będzie nienawidził innego rycerza, który jest równie mężny, równie dzielny. Nie myślę się, jak sądzę, co do ciebie, Gabryelu! Powiedz mi więc, co znaczy ten wyraz goryczy na twojej twarzy, którego nie chciałabym widzieć.

Ecsedi milczał, usta jego szyderczo zadrżały.

— Celesto moja — odrzekł — nikt się nie zawiódł na mnie, otwierając mi swe serce.

— Więc z Sewerem pokój, prawda?

— Ja się nie gniewam na niego. Na to trzeba czasu, aby nieco podrośł. Należy on obecnie do tych ludzi, którzy stoją po za granicami mego gniewu.

— To duma!—rzekła Celesta — lecz uczuciu temu mógłbyś tylko wtedy pozwolić na wydostanie się z serca, gdyby to był jaki nędznik, niegodny szacunku ludzkiego. Sewer przecież jest człowiekiem zawnym, o którym nic złego słyszeć nie chcę.

Rumieniając się, Celesta dodała po chwili:

— Tak, powinien on być po za granicami twojego gniewu, bo nie mogę przypuścić, abys chciał przykro dotknąć mego krewnego.

— Krewny twój! Nie wiedziałem o tem, ukochana—odparł Ecsedi, marszcząc czoło.

— Jest on moim krewnym. Ojciec mój wziął go do swego domu, jako biednego sierotę; wychowywaliśmy się razem i jest między nami pokrewieństwo serc.

— W każdym razie ma on przywilej, że o nim wspomnieć źle nie można. Prześtańmy zatem mówić o nim.

Weinrauchowa niespokojnie siedziała na krześle, a oczy jej spoglądały raz poraz na Ecsediego. Zdawało się, że takie zakończenie dyskusji nie było dla niej dostatecznem. Co zaszło między Gabryelem a Sewerem, nie było rzeczą dla niej wyjaśnioną. Że przecież coś było, o tem nie wątpiła. Dowodziły tego namiętne ruchy obydwu młodzieńców, gdy przemawiali do siebie. Na twarzy Ecsediego była wciąż jakaś gorycz, a każde jego słowo, dotyczące się Sewera, pełne było nieprzyjaznego usposobienia. Widocznie kryła się po za tem jakaś tajemnica, a Weinrauchowa nie była zwolenniczką tajemnic. Zapytała więc rycerza:

— Sewer powiedział coś, co się wam, panie, miłem nie wydało. Tak, jest to rzecz pewna i myśmy to widziały zdaleka.

— Nic mi nie powiedział—odrzekł Ecsedi, udając spokój, albo coś, co równało się niczemu.

— A więc przyznajecie mi, panie, że powiedział coś—pytała dalej badawczo p. Ida.

Celesta miała niespokojny wyraz twarzy.

— Prześniemy już mówić o tem—rzekła—i zmieniając tok rozmowy, zapytała:

— Czy prawda, Gabryelu, że księżę jutro odjeżdża?

Weinrauchowa miała na twarzy wyraz zamyślenia i zdawało się, że nie słucha tego, co rycerz i siostrzenica jej mówią z sobą.

— Tak — odrzekł Ecsedi. — Polujemy teraz na sarny i jelenie i mieszkamy w namiotach myśliwskich, jak nasi ojcowie, gdy ziemię tę zdobyli. Lecz wszystko ma swój koniec, Celi moja! Księcia w Teheswarze ważne sprawy czekają. Raduł w cichości się zbroi i nam wypada być w pogotowiu. W tych dniach księżę objawił radzie, że pragnie Wołoszczyznę do Siedmiogrodu przyłączyć, aby zgnieść gniazdo wiecznego niepokoju. Sądzę, że plan ten, jakkolwiek wykonalny, nie jest łatwym do osiągnięcia i że mieczom naszym trzeba będzie silnych rąk do ujęcia.

— Siedmiogród powinien raczej wewnątrz się przetwarzać, aniżeli rozszerzać przez wyprawy wojenne—rzekła Celesta.—Siedmiogród rozrywają walczące z sobą stronnictwa, równie potężne i sprzeczne we wszystkim, a tęskniące za pokojem, naprzykład jak Sasi.

— Ale nie Szeklery—wtrącił Ecsedi.—Lecz jedni i drudzy znoszą tylko nieszczęśliwe skutki swoich grzechów przeszłości.

— Skutki grzechów? — zawołała gorąco Celesta. — Czyż Sasi nie przyjmowali udziału w każdej ofierze na rzecz kraju? Czy nie otwierali swych skarbów, gdy pieniędzy było potrzeba? A gdyby ich nie było, cóżby począł Siedmiogród bez pracowitej i najużyteczniejszej ludności?

— Nie przeczę — przerwał Ecsedi, lekko zaciskając usta. — Są oni bardzo użyteczni; ale nie przedstawiają dostatecznej rękojmi co do swej wierności dla wspólnej naszej ojczyzny. Zygmunt ich się nie lękał, ale późniejsi Batorowie nie mogli się zanadto

pochwalić dobrem rządzeniem tą ludnością. Wciąż oni tęsknią i marzą o niemieckiej swej ojczyźnie. Choć dotąd pomiędzy nami cicho, ale, o ile wiem, jest wśród nich wielkie stronnictwo, które przeciw księciu knuje intrygi i czeka tylko sposobności do jawnego buntu.

— Te słowa w twych ustach, Gabryelu! Tyś oskarżycielem, a nawet wrogiem moich współrodaków! Cóż' to się stało, że dziś wszystko wydaje ci się tak ponurem? Kto ci powiedział o Sasach tyle złego? Czyż nie została zawarta przysięga między trzema narodami? A komuż bardziej leży na sercu jej zachowanie, niż nam, najświeższym w kraju tym przybyśsom? Przebóg! Geza i Andrzej wezwali nas, abyśmy opuścili nasze równiny i przyszli zamieszkać tu z wami! Stulecie nie minęło, a waszą ziemię, nieuprawną i dziką, ojcowie nasi w prawdziwy raj zamienili.

— To prawda! lecz zostało tu jeszcze dość lasów, gdzie mogą spiski urządzać.

— Ach!— rzekła Celesta. Ty, tak mówisz. Narada ludzi, którzy mają wspólne pragnienia, nie jest spiskiem. Oh! nie niewierność to Sasów sprowadza na Siedmiogród ciągle klęski, ale rządy, które książęta siedmiogrodzcy źle nad tym krajem sprawują. Mieszka w nich jakiś duch dziki, nie liczą się wcale z krwią i znojem ludu, wiecznie z ręką u rękojęści miecza, prowadzą wojny, które służą tylko ich ambicyi i są polem ich rycerskich zapasów; a kraj cierpi i ludy jego są nieszczęśliwe, prócz może rycerskiego stanu. Gdyby nie ta wieczna żądza boju, która w nich wre, niepotrzebniiby byli strażnicy na murach miejskich, nie lękalibyśmy się, aby głodne wilki wołoskie napadały na nasze siedziby, a krwawe kopyta ich koni nie tratowałyby naszych złotych kłósów. Każdy zbiera to, co sieje i to już jest pewnością, że ludzie nie są tu szczęśliwi.

— O!—zawołał Ecsedi—jak gorąco bronisz tych ludzi. Obraz ich przedstawia ci się w barwach ja-

snych i czystych, a tymczasem my znamy inne jego strony: wiemy, że Sasi nie złączyli się dotąd z narodem, że utrzymują stosunki z cesarzem, z Wołoszczyzną, że trzymają z wrogą nam szlachtą węgierską.

Celesta pochyliła głowę w zamyśleniu, Weinrauchowa milcząc, spoglądała, jak ta najpiękniejsza z kobiet, której usta stworzone były do pocałunków, a uszy do słuchania wyznań miłosnych, mówi o zatargach frakcyj politycznych, o wojnie i pokoju.

— I wszystkiemu, podług ciebie, winni Sasi — mówiła dalej Celesta — lecz nie znajduję się i między Węgrami dość takich, którym jest źle i którzy zaczynają się z tem odzywać? Czyż przeznaczeniem człowieka jest wieczna walka i czy nie ma innej rozkoszy nad szczęk broni i tryumf wojskowy? Nie tem stoją narody — i buta, to jest tylko to, od której ciężko cierpi ludzkość. Uciekł na chwilę szczęk mieczów, lecz znów, jak to już czuję, nanowo zabrzmiał oręż, nanowo zapłonęły chaty, nanowo zapłaczą matki! Któż nie tęskni za pokojem? Książę powinien o tem pamiętać, że naród to nie garsć wojennych jego towarzyszy, którzy pragną tylko harcować na koniach i odychać dymem wojennym.

— Lecz — przerwał jej Ecsedi — potęga narodu polega jednak na tych, którzy, jak widzę, miłymi ci nie są. Lud dołem zbity, cóż to jest? Czy zastawi on piersiami swojemi kraj, czy daje mu blask i sławę u postronnych? Musi więc słuchać i być pokorny.

— Nie! — zawołała Celesta żywo. — Pracuje on na chleb swego narodu, co nie jest małą rzeczą, co nawet nazwałabym rzeczą wielką! Dzieła pokoju ważniejsze są od dzieł wojny, i lud...

Umilkła, aby może nie dotykać rycerza zbyt silnem przedstawieniem tego, co nie dążyło do wywyższenia go, a raczej zniżało jego stanowisko społeczno.

— Cóż lud? — zapytał Ecsedi.

— Lud ma swoje prawa bytu, których książę nie nie waży.* Do czego ta nowa wojna z Radulem, której nie chce nikt, prócz niego, a której skutki spadną na kraj przecież i zacieżą na nim okrutnie? Książę jest despota, książę nie waży sobie cierpień ludzkich, jest srogi w rządach swoich.

— Celu — zawołała pani Ida, łamiąc ręce. — Mówisz z nazbyt małym szacunkiem o księciu siedmiogrodzkim. Jesteś w swej miłości biednych i ubogich zbyt gorąca, a nadto nie mówisz prawdy, bo wiem, że inaczej myślisz o księciu i dziś czyś nie odpierała zarzutów, które mu czyniono?

— Niech szanowna pani pozwoli jej mówić swobodnie — rzekł Ecsedi. — Nie jest to teraz Celesta, łagodna gołąbka, anielska dziewica, w której oczach niebo się odbija, a w głosie słodysz się rozlega! Ona teraz jest córką swego rodu, Saksonką!

— Nie! — odparła żywo Celesta. — Jestem córką tej ziemi i nie o samych Sasów mi chodzi. Wszyscy cierpią w całym Siedmiogrodzie.

— Że nie siedzą przy ciepłym piecu! — odparł Ecsedi też żywo. — Nie, nie... to tylko Sasi burzą się i zatruwają buntem umysły, co jednak na nie im się nie przyda, bo książę wie, co powinien czynić, i spiski unicestwiać; rozkazywać, nie prosić, oto jego prawo. Nasz terażniejszy władca wie, co mu przystoi dla jego i kraju godności. Nie ustąpi cudzej woli, nie zwróci uwagi na szmery, które się z dołu wznoszą, na niskie dążenia, myśli, żądania! Czynić będzie to, co sam uzna za dobre!

— Ależ to tyrania! — zawołała Celesta. — Gabryel Batory powinien być wykonawcą praw i stróżem paktów zawartych między nim i narodem. Samowola, to pierwszy stopień jego upadku.

Weinrauchowa mileżąca siedziała na ławce, spoglądając od czasu do czasu na Ecsediego. Kręciła głową, aby pokazać, że jest innego zdania, niż Celesta.

W kilka chwil potem Ecsedi dał jakiś tajemny Weinrauchowej, która wnet, zamknąwszy książkę, wstała z miejsca i cicho oddaliła się do miasta.

— Dokąd idziesz ciotko? — zapytała Celesta.

— Natychmiast powrócę — odrzekła pani Ida, dając jednak oczyma znaki Ecsediemu.

— Zimny wieczór — rzekła Celesta z obliczem, które promieniło jeszcze wzruszeniem gorącej rozprawy. — Nie pójdziemyż, Gabryelu, do domu? Sędzia królewski skończył już pewnie urzędowe swe zajęcia i czeka niespokojny na nasz powrót.

— Pozostań! — rzekł Ecsedi tak krótko, jak gdyby rozkazywał. Ton był taki, jakiego dotąd nie użył do niej nigdy.

Celesta, która mówiąc ostatnie słowa, powstała, siadła znów prawie mimowoli.

Młodzieniec teraz się rozpozodził.

— Czyż ci to nie jest rzeczą miłą, że będziemy sami? — zapytał łagodnie. — Czyż ci dałem powód, abys się mnie lękała. Celi moja?

— Abym się lękała? — zapytała Celesta z dumnym podziwieniem. — Dlaczegoż miałabym się lękać ciebie? — Jesteśmy przyjaciółmi, choć się sprzecząmy czasem — dodała już bardzo słodko, lecz zaraz wkrótce twarz jej zaszała jakby chmurą. — Postępowanie ciotki jest dziwne — rzekła.

— Jakto?

— Odchodzi, jak gdyby nymyślnie, abyśmy pozostali we dwoje tylko. Wiem, że jest twoją przyjaciółką, ale nie lubię tego.

— Cóż w tem jednak jest złego? Przyznam ci, że mnie najmilej jest wtedy przy twym boku, gdy nikt trzeci nie stoi między nami. Gdy jest ten ktoś, niepożądany nigdy dla mnie, nieraz sprzecząmy się z sobą, gdy jesteśmy sami, zawsze jesteśmy w zgodzie.

— To dlatego — rzekła Celesta z uśmiechem — że przedmiot, o którym mówimy wtedy, miłość serc

naszych dla siebie, nie daje nam powodów do sporu. Ale postępowanie ciotki daje do myślenia, jakby... — tu Celesta zamilkła sploniona.

— Jakby chciała uczynić stosunek nasz bliższym? Cóż w tem złego, ukochana? Słowa miłości płyną goręcej, gdy ich nie słucha nikt trzeci, trzeci jest zawsze zbyteczny i przeszkadza tym, którzy się kochają. Ciotka twoja to wie, wie, jak serce moje jest przepełnione miłością, więcej może, niż ty sama.

— Niż ja — zawołała dziewica — to nie prawda Gabryelu! Kochałabym cię może, gdybym ci nie ufała nawet, bo miłość jest nieświadoma, lecz wtedy nie powiedziałabym ci tego; a patrz, ja mówię z radością: Kocham ciebie!... ciebie, któryś jest szlachetnym!

— I zawsze będziesz mnie kochała?

— Zawsze, do ostatniego tchu mego na ziemi.

— I zawsze tak zimno, jak dotąd?

— Zimno? — spytała urażona Celesta. — Czegoż chcesz, abym ci miłości swej dowiodła? Ach! gdybyś w serce moje mógł spojrzeć.

— Jakież dowody miłości dałaś mi dotychczas? Ja goreję, pragnę twego widoku, jak zbawienia, a ty przyjmujesz mnie, jak wszystkich innych. Jeden pocałunek, jeden uścisk uniósłby mnie w niebo, a ty!

— Ja — rzekła Celesta — czuję miłość mą w sercu. A przytem ty wiesz, kiedy dziewicy wolno jest dać i przyjąć pocałunek!...

— Ach! Celi, ty jednak zimną jesteś... Miłość twoja nie porywa cię tak i nie unosi, jak mnie, namiętnie, gorąco, po za granicę suchych rozumowań! Przyjaciółki, ojciec, każde dziecko ma do pocałunku twego prawo, ja tylko jeden jestem wyklęty, nie mogę ust zbliżyć do ust twoich...

— Ach! bo... — rzekła Celesta, rumieniąc się, i zamilkła.

— Bo?

— Ach, pocóż się pytasz? Dziecko, krewnych, przyjaciółkę całują usta, a ciebie Celesta, kochająca

kobieta, pocałowałaby inaczej... Dusza cała spłynęła-by mi na usta i rozkosz pocałunku przecięłaby mi życie na dwoje.

— Celesto! — zawołał Ecsedi — najczystsza i najszlachetniejsza ze wszystkich cór ziemi, czyż się lękasz, aby życie twoje nie spłynęło się z mojem? Ach to właśnie jest tą rozkoszą, tym upajającym szalem pocałunku! Przystają już być dwie istoty; staje się z nich jedna! O Celi...

Posunął się, wyciągnął ramiona, ale ona cofnęła się poważnie w tył.

— Gabryelu — zapytała — czyż dobrze jest tak tracić siebie w istnieniu drugiem, gdy życia nie są jeszcze połączone z sobą? Ach! i tak nie jestem ja już tą samą, co niegdyś... Moja swoboda dawna, mój spokój słodki, odbiegły z duszy mojej, w której była niegdyś cisza głęboka. Teraz, gdy serce me oddałam tobie, ciągnę niepokój tkwi we mnie. Minuty liczę, nim nadejdiesz; godziny mkną jak chwile, gdy jestem z tobą; dni są dla mnie teraz, jak ptaki skrzydlate i wtedy tylko zdają mi się nieskończone, gdy czekam ciebie, a ty nie przybywasz... I jeżeli miłość twa dla mnie jest prawdziwą i taką, jak moja dla ciebie, nie chciej nic takiego, aby dusza moja jeszcze więcej pokoju utraciła.

Ecsedi uśmiechał się poważnie i łagodnie do lubego dziewczęcia, które czyniło z nim co chciało. Może być, że on, który znał już siły uścisków i ognie pocałunków, nie widział w nich tyle niebezpieczeństw, co Celesta. W biegu życia tracimy wiele z pierwszych wzruszeń serdecznych, a on nieraz już pewno wyznawał miłość swą kobiecie; nieraz już może powtarzał te same prośby i słyszał te same odpowiedzi, i dlatego wydawało mu się, że jest w tem trochę ceregieli dziewczęcych, za które przecież nie obrażał się; przeciwnie, Cela jego wydawała mu się tak uroczą w tej chwili, że czuł do niej za ten opór jakby wdzięczność.

Ecsedi silnie, ale ruchem poważnym pochwycił obie ręce dziewczycy i pociągnął ją cokolwiek ku sobie. Twarz Celesty pałała. Było coś tęsknego, coś marzyckiego w wyrazie jej oczu i tak samo patrzyły oczy Ecsediego, gdy spojrzenia ich spotkały się z sobą i utonęły w sobie. Był to pocałunek dusz i biedna dziewczyna nie wiedziała, że był on niemniej niebezpieczny dla jej spokoju, jak pocałunek ust.

— Gabryelu—rzekła, jakby ze snu zbudzona. — Czas już powracać do domu. Czy odjeżdżasz, czy zostaniesz u nas na wieczerzy?

— Mogę dziś zostać i długo. Dostałem od księcia pozwolenie. Jeżeli chcesz, zrobimy wycieczkę naokoło miasta, albo może na harfie mi zagrasz, zaśpiewasz jaką pieśń, lecz nie niemiecką, ale węgierską, która tak słodko dźwięczy w twoich ustach. O północy dopiero odjadę.

— Naprawdę? — zawołała wesoło Celesta. — Jakżem rada, o jak rada!

Jak dziecko wesoło klaskała w dłonie i oparłszy się na silnem ramieniu Gabryela, skierowała się z nim razem ku ciemnym murom miasta.

Nim oni zajdą do domu królewskiego sędziego w Köhalom, objaśnimy czytelników, że mąż pani Idy z równymi jak i żona jego honorami przyjmował u siebie Ecsediego.

Celesta tłumaczyła sobie to w sposób bardzo prosty. Weinrauch był już wysokim urzędnikiem, był więc rad temu, że przyjmuje w swym domu Ecsediego, który był przybocznym dworzaninem księcia, więc starał się okazywać mu przyjaźń i życzliwość. Tą drogą, jak może sądził, zdobędzie wyższe stanowisko; tembardziej, że młodzieniec szczyił się przyjaźnią księcia i znał wiele jego tajemnic.

Ecsedi poznał Celestę przypadkiem, gdy przejeżdżał raz przez miasto i od pierwszej chwili owładnął jej sercem. Silny, wesoły, nieco butny, ale odważny i piękny rycerz, wywarł na młodej siedmna-

stoletniej dziewczynie silne wrażenie. Była to pierwsza postać męzka, obca, którą napotkała w życiu. Miłość ją oczarowała.

ROZDZIAŁ IV.

Dawne piękne czasy.

..... walczą dwaj bohaterowie,
Już nacierają na siebie w galopie,
Już lecą iskry od ich groźnych mieczów.
Vörösmarty.

Wrzawa dnia i odgłosy wieczoru umilkły powoli.

Droga Köhalomska była pusta i wita się w koło gór ciemną wstęgą. Zdala błyszczące ognie iskrzyły się czerwono i wśród mroku gęstwin leśnych wydawały się jak latarnie na dachach ciemnych domów. Baczniej się przyjrawszy, poznalibyśmy, że te płomienie oświetlają obóz książęcy, że te czerwone łuny pochodzą od ognisk, które się palą w namiotach myśliwskich.

Naraz uroczyste milczenie nocy przerwały dźwięki muzyki, ale nie były to miękie dźwięki harfy eolskiej, lecz z wesołym rzeniem rumaków złączone granie myśliwskich rogów, drażniący wrzask kobzy i pieściwe tony cymbalów. Panowie w obozie weselili się widać, choć już się północ zbliżała.

Owczesne życie księcia nie może być porównane z dzisiejszem życiem panujących monarchów. Dziś mieszkają oni w wielkich pałacach, marmurowe schody prowadzą do ich komnat; gdy dźwięczy im muzyka, jest ona artystycznie piękna i poważna. Twarze, ruchy, kroki, wszystko jest przepisane i obrachowane. Szczerłość, swobodna wesołość, głośny śmiech—zostały usunięte po za granicę tego wyniosłego istnienia na

szczytach społecznych. Wszystko bierze tam postać uroczystą, godności pełną, wspaniałą i wytwarza w koło siebie niedostępność. Książęta dzisiejsi są jak bogowie ziemscy, a ich pałace, jak wyspy nieznanne dla tłumów.

W epoce naszego opowiadania działo się inaczej. Była jakaś wrzawa, bił jakiś blask wspaniały od życia ówczesnych wielkości.

Książę Gabriel Batory przemieszkował najwięcej w Teheswarze, komnaty jego pałacu lśniły rzesystemi blaski. Przy stole nigdy nie był sam, liczni goście w przepysznych na pół wschodnich strojach przesiadywali naokoło niego. Książęta zwykle dzielili stół i uciechy życia z tymi, którym panowali. Dni i tygodnie całe bawili na dworach znaczniejszych panów, przyjmując udział w ich zabawach i zajęciach. Kobiety, jak kwiaty wiosenne, zdobiły promieniami swych oczu ten korowód świetny, pełen szczerzej wesołości, śmiechu, wrzawy i blasku. Książęta siedmiogrodzcy nie oddzielali się chińskim murem od narodu, ale zbliżali się do niego, dzieląc jego radości i troski, poznając się z sobą wzajemnie.

Lecz co najbardziej odróżniało życie dworskie ówczesne od dzisiejszego, to ciągłe obozowanie, ciągłe łowy, współubieganie się w dziełach męstwa, siły i rycerskich zręczności. Śród gąszczy ciemnych lasów bukowych, na zielonych równinach, na malowniczych szczytach gór skalistych—upływało życie rycerzy z orszaku Gabryela Batorego, a przebywanie pod namiotami silniejsze budziło życie, niż pod purpurowymi oponami pałaców, niż w blaskach złotonych pajaków.

Pod cieniem wiejących swobodnie śród lasu choraży swobodna gromada myśliwców zmieniała się często w pełne wrzawy zebranie, wesołe i zdrowym ruchem urozmaicone.

Naokoło księcia w niewiele mniejszych i niewiele mniej zhytkownych namiotach mieszkali inni rycerze. Jakkolwiek blisko siebie stały namioty, było mię-

dzy niemi więcej przestrzeni, niż między pokojami, jakie nowoczesnym bogaczom dają ściany ich kamienic i pałaców.

Na malowniczych słupach dębów i buków lśniły przed namiotami czapraki, siodła, trenzle i oręż, we dnie migotały w nich złote promienie słońca, w nocy czerwone blaski ognisk leśnych.

A jak wesołe życie wrzało naokół! Rycerze byli odziani w żywe, świetne barwy, a każdy miecz miał u boku. Niezliczona służba znajdowała się w ciągłym ruchu, zawsze gotowa na rozkazy.

Znajdowały się tu i wozy, pokryte dachem płóciennym, ale to bardzo rzadko i dla kobiet tylko. Piękne, ręczne konie, arabskie lub tureckie, we wspaniałych rzędach rżały wesoło, galopując wśród lasów wonnych i świeżych, choć mrocznych, lub stojąc nad łożami pełnymi pożądanego obroku.

Wszystko wyglądało żywo, zdrowo, wesoło, wszystko miało cechy rycerskie. Wszędzie dźwięczała muzyka, nogi harmonijnie uderzały o ziemię w takt, a z rąk do rąk krążyły złociste puchary.

Tylko w czasie wojen i klęsk obozy przyjmowały charakter poważniejszy; lecz i wtedy były one bardziej ożywione, głośnie, dzielne, spokojne wobec niebezpieczeństw każdej chwili. Dziś w obozach żołnierza, idącego na bój z wrogiem, mieszka cisza i nieruchoma powaga; w tamtych czasach był tam ruch i ciąga muzyka, ciąga wrzawa.

Nieraz książęta w czasie wojny, odkładając na bok ciężkie sprawy, oddawali się łowom po lasach i trzęsawiskach.

Otoczenie Batorych, jak naówczas, było wspaniałe. Imponujące zamki, których ruiny dziś jeszcze zdumiewają, dowodzą, że Batorowie byli nie tylko dzielnymi rycerzami, ale także posiadali wykształcony smak i zamiłowanie w wytwornej architekturze. Śród błotnistych łąk zbudowali oni wspaniały zamek Ecsed,

którego kamienne ściany tworzyły jak gdyby wyspę, wśród otaczających go trzęsawisk.

Gabryel Batory, ostatni potomek znakomitego i starożytnego rodu, niemniej lubił ów blask i wspañiałość, które później jeden tylko Gabryel Betlen wśród szlachty Siedmiogrodu starał się, jeżeli nie naśladować, to przynajmniej zachować. Młody władca, ostatni ze swego rodu, trzymał liczny dwór i kogo lubił, tego bogato darzył darami i zamkami, a że mimo wszystko, co mu zarzucić można, miłym był dla ludzi, cała magnaterya cisnęła się do niego. Że przytem młody książę był dziarski i pełen rycerskości, zrobił z polowania zabawę towarzyską. W czasie, od zajęć państwowych wolnym, namiętnie oddawał się łowom w coraz innej stronie Siedmiogrodu.

Chował się i wyrósł na rycerza przy boku ojcowskim na Węgrzech, ze słyszenia więc tylko znano go w Siedmiogrodzie; dlatego też, gdy go na księcia wybrano, zamierzał obejrzeć powierzone rządowi swym ziemie; ale młody i romantycznej natury, co nie było rzadkością między rycerzami owego czasu, chciał objechać kraj pod zmienionem nazwiskiem; trudnem było to jednak do pewnego stopnia, bo szlachta niemal cała poznała go już w stolicy. Chciał przecież jechać swobodnie, bez owacyj, poznać bliżej ludność miejscową, może wreszcie miał jakie jeszcze powody do zatajenia nazwiska—może chciał się dowiedzieć o nadużyciach i zbadać stosunki, ukrywane przed nim? Przytem godność książęca ciążyła mu. Gdy znalazł się w towarzystwie, gdzie nie miał potrzeby kłaść na twarz maski książęcej powagi, wtedy wyjawiał całą swoją istotę: był wesoły, żartobliwy, lubił wino, uczyty, toasty. Niezmacona, szczerza, swobodna radość tryaskała wtedy z jego zdrowej, silnej twarzy i kto wie, czy młody Gabryel był wdzięcznym losowi, że go uczynił księciem, gdy jemu byłoby dość być magnatem i rycerzem — młodym, silnym, pięknym mężczyzną, takim naprzykład jak ten, który około północy

galopował drogą wiodącą od Köhalom. Zbrojny był ostro ów rycerz; u boku jego lśnił miecz trójkątny, jakiego w owym czasie używano do pojedynków i lżejszej walki przygodnej, a w olstrach mieściły się dwa pistolety. Rycerz przystanął chwilę i spojrzął wokoło. Księżyc jasno świecił. Rycerz wyjął pistolety i obejrzał je, poczem wyciągnął długi miecz, który od światła księżycowego błyszczał srebrnymi promieniami.

— Dumny wrogu!—szeptał półgłosem—spóźniasz się, jak widzę! Pono łatwiej jest mówić wyniośle, niż się bić... Widzę ja, że do tych bohaterów należysz, mój bracie.

Rycerz oglądał się dokoła, i mimo tego, co o wrogu myślał, czekał go jednak.

— Kto on jest? Kto on jest?—łamał sobie głowę myślami. — Czy to nie *on*? Tak, *on* to niewątpliwie *on*... Ecsedi.

— Będę czekał choćby do świtu — dodał młodzieniec i zeskoczył z konia, przywiązał go do drzewa i zaczął chodzić po łące, a czytelnik pewno już odgadł, że to Sewer, zatrzymany w początku podróży przez spotkanie z Ecsedim, którego się też domyślał w wyniosłym rycerzu, spotkanym w pobliżu bram miasta. Sewer jeszcze nie zdążył pomyśleć, kto to być może, gdy machinalnym niemal ruchem ukłonił mu się, choć nieznanemu, bo taki był obyczaj ówczesny. Drogi nie były jeszcze wtedy tak pełne podróźnych, jak obecnie i spotykający się na nich ludzie pozdrawiali się wzajem, jeżeli nie słowem, to ukłonem, którego jednak dumny rycerz oddać mu zapomniał.

— Hola! — zawołał wtedy Sewer—czyżbyś miał, rycerzu, być dotknięty ślepotą?

— Widzę ja to przynajmniej, że jesteś, mój panie podróźnym, Szwabem—odparł mu Ecsedi.—Ustąp mi z drogi, bo nie mam żadnego interesu do ciebie.

— Ale ja go mam zawsze do tych, którzy są

zuchwali!—wykrzyknął już teraz w uniesieniu namiętnem Sewer i wkrótce przyszło do wyzwania. Że się domyślał w spotkanym Ecsedi'ego, wzburzyło mu to krew goręcej i uczyniło gwałtowniejszym. Rycerz przecież odmówił walki w tej chwili i dał do niej termin o północy, na tej drodze samej, gdzie nastąpiło wyzwanie. Sewer stawiał się na słowie, ale wyzwany przez niego opóźniał się i już niecierpliwość zaczęła ogarniać młodego Sasa, gdy nareszcie dał się słyszeć w oddali głuchy tętent konia.

— A! jest przecież! — mruknął Sewer i rzeczywiście Ecsedi ukazał się wkrótce. Jechał tak spokojnie i tak powoli, jakby wybrał się na spacer. Ale ujrawszy Sewera i on się poruszył.

— A! — krzyknął zdaleka. — Toś to zatem ty, waleczny i mądry, jak Salomon, komendant hermanstadtzki! Podoba mi się to, żem cię tu już zastał... Teraz też kłaniam się i ja waszmość panu.

Sewer milczał, tylko położył rękę na głowicy miecza.

— Poczekaj waś chwilę—rzekł Ecsedi—zdejmę tylko płaszcz, aby mi było lżej rąbać się z tobą. Możebyśmy próbę zrobili, bijąc się najpierw z konia. Ale jak widzę, panie komendancie, przypasałeś sobie do boku miecz, a ja mam tylko coś jak rozenek...

Śmiejąc się, rycerz węgierski wy dobył z pochwy długi pałasz i podjechał koniem wprost na Sewera.

— Jak się podoba! — odparł Sewer, któremu dworskość słów Ecsediego wydawała się ironią i impertynencyą.

— Zatem na konia, łaskawy panie! — zawołał wesoło Ecsedi, zdejmując płaszcz i odrzucając go daleko.

Sewer szybko skoczył na konia.

— Oręż — rzekł, wyciągając swój miecz trójkątny—mamy jednakowy. W chwili naszego spotkania, spojrzalem na twoją szablę, rycerzu, i poszukałem sobie takiej samej.

— Wszystko mi jedno—przerwał Ecsedi i ściągnął konia uzdą tak, że ten w jednej sekundzie znalazł się naprzeciw Sewera.

— Jeszcze jedno słowo—zawołał ten dumnie.— Przed walką odwołaj obelgę, jaka się kryła w głosie twym, rycerzu, gdyś mnie nazwał Szwabem. Czynieć tak jest zwyczajem rycerskim.

— Bardzo dobrze—odrzekł Ecsedi.—Słowo, które mi z ust wybiegło, było mimowolnym wykrzykiem. Już to każdy Węgier, chcąc nie chcąc, choć szepnie je sobie, ujrzawszy Sasa.

— Bez objaśnień! — przerwał Sewer i spiął konia ostrogą tak, iż skoczył on ku Ecsediemu. Ten cofnął się nieco w bok.

— Słyszysz, waszmość, jak tam w obozie wesołą się panowie myśliwi — rzekł. — Wolałbym być i ja wypić u Weinraucha jeszcze jeden kielich słodkiego wina, niż tu z waszmością się rozprawiać. Ale jest tu nam za ciasno. Może znajdziemy nieco dalej szersze pole do walki.

— Owszem! — odrzekł Sewer—i konie zrównały się z sobą, a dwaj młodzieńcy, jak najlepsi przyjaciele, jechali obok siebie, póki nie natrafili na obszerną łąkę.

— Oto właśnie czego nam trzeba — rzekł Ecsedi.

Zjechali w bok i stanęli naprzeciw siebie. Długie ich miecze błyszczały w srebrnych promieniach księżyca. Z rzadką zręcznością i szybkością skoczyli ku sobie, zadając razy i odbijając je. Szło to żywo i obie strony były w grze tej równe sobie. Krzyżujące się miecze szczękały, tworząc śród tej nocy jasnej, śród ciszy głębokiej muzykę dziwną i przenikającą.

Walka przeciągnęła się dość długo bez żadnego rezultatu.

— Nie mamy szczęścia — rzekł Sewer, dla któ-

rego byłoby może rzeczywistym szczęściem utopić miecz w piersi Ecsediego.

— Piesz się spróbujemy—dodał.—Czyż nie jesteś zgoła rannym, rycerzu?

— Nie—odpowiedział dumnie Ecsedi—i mam nadzieję, że tego nie będzie. Zatem piesz?

Więc ściągnęli uzdy, i obaj szybko zeskoczywszy z koni, przywiązali je do drzew i stanęli naprzeciw siebie.

— Spocznij waszmość chwilę—rzekł Ecsedi.

— Nie! nie jestem zmęczony—odparł Sewer.

I rozpoczęła się walka z podwójnym zapałem. Po ręce Ecsediego spływała krew, ale miecz ani na chwilę w niej nie drgnął.

Nagle Sewer, nieostrożnie pierś odsłoniwszy, uczuł w niej zimno stali przeciwnika i raniony upadł na ziemię.

Ecsedi szybko pochylił się ku niemu.

— No!—rzekł—czy żyjesz jeszcze?—zapytał nie bez drżenia w głosie.

Sewer otworzył oczy.

— Tak—rzekł po chwili—ale wiem, że miecz wasz zadał mi raz niebezpieczny. Oddycham z trudnością, chwile moje są policzone.

Ecsedi, miecz oczyściwszy cokolwiek z krwi, rozciął suknie Sewera i szeroką jego szarfą zatamował upływ krwi.

— Czy mógłbyś wasze dojechać do Köhalom?—zapytał Ecsedi łagodnie.—Ja ci dopomogę, będę przytrzymywać...

— Nie wiem—szepnął Sewer słabo.

W tej samej chwili dał się słyszeć w pobliżu szelest gałęzi i gwizdnięcie dziwne, jak gdyby jakiegoś nieznanego ptaka.

— Cóż to jest? — pomyślał Ecsedi, pochylony nad Sewerem. Ale nie odwrócił głowy i nie badał; zapomniał zupełnie o sobie, troskliwie zajęty Sewerem, którego głowę dźwigał, podłożywszy mu rękę

pod plecy. Czynił to delikatnie, uważnie, jak brat lub przyjaciel.

W tej chwili też wysmukła postać szczupłego chłopca znalazła się obok niego.

— Jestem ci do pomocy, rycerzu — rzekł nowo-przybyły.

— A, to ty, Dimonie! Coś tu robił i czego chcesz? Możeś szpiegował?

— Może być — odparł chłopak. — To jest może być, że mając dobre oczy, widziałem z mego noclegu, vulgo tego tam drzewa, co się działo w okolicy.

— Łotrzel! — zawołał Ecsedi, ale urwał, bo podniósł o tyle Sewera, że ten siadł.

— Wasza wysokość pozwoli...

— Coś rzekł i do kogo tak mówisz? — krzyknął Ecsedi.

— Do szatana — odparł Dimon — do szatana, panie, bo on to przyprowadził mnie drogą złych duchów, inaczej mówiąc, po wierchołkach dębów na tę łączkę.

— Pomóż mi, wszystkowiedzu. Może wiesz, jak się zawiązują rany? Przewiąż szarfą, którą tu oto masz, tego rannego wojownika.

Dimon nie bez zręczności zabrał się do roboty. Rana Sewera była ciężka, lecz nie niebezpieczna. Miecz nie naruszył szlachetnych części ciała, tylko bok przebił. Kiedy Dimon przewiązywał Sewera szarfą, jak bandażem, Ecsedi jedwabną swą chustką ocierał delikatnie krew spływającą z rany.

— Dlaczego siedziałeś na drzewie? — zapytał po chwili Dimona — czego tu chciałeś?

— Znudzilem się w obozie, pan jego nie przybywał, zapóźniając się dłużej, niż zwykle. To pozwoliło myśliwym weselić się ochotniej. Więc wypróbnili wiele puharów za jego zdrowie i powodzenie w miłości.

— Milez! — zawołał gniewnie Ecsedi.

Po śmiertelnie bladej twarzy Sewera przeszedł różowy płomień.

— Celesto! — jęknął — jakież to usta mówią tak lekko o tobie...

— Cicho bądź, waszmośó — nakazał z nagłą powagą Ecsedi. — To, co się dziś stało między nami, powinno zostać zapomnianem. Rana nie jest niebezpieczną; wnet przewieziemy waszmośó do miasta, wyzdrowiejesz wkrótce.

— Czyś tu tylko jest sam jeden? — zapytał chłopca. — Nikogo z tobą niema? Mów tylko prawdę i nie kłam.

— Panowie — rzekł Dimon — byli trochę niespokojni. Przypuszczali, że może jaka przygoda spotkała was, panie. Ale nie było nikogo, coby mógł iść na zwiady. — Nogi ich chwiały się, a głowy ciążyły jak ołów. Musiałem więc ja się wybrać.

— A dlaczego siedziałeś na drzewie?

— Usłyszałem tętent kopyt końskich, lecz zdaleka nie poznałem waszego płaszcza, panie, wszedłem więc na to przez naturę zbudowane obserwatorium...

— Aby mnie podglądać... Na ten jeden raz ci przebaczam. Ale jeżeli raz jeszcze będziesz kroki moje śledził, powieszę cię na pierwszym obserwatorium, zbudowanym przez naturę. Książę dowie się też o tem — dodał po chwili milczenia.

Dimon uśmiechnął się.

— Książę, który jest w Siedmiogrodzie zastępcą Pana Boga, a zatem wszechwiedzącym, już to wie — rzekł.

W duszy jego walczyły rozmaite myśli, duma Ecsedi'ego nic go nie obrażała. W oczach jego błyszczał jakiś ogień rzeczywiście piekielny. Jakiego był on rodzaju? może nie wiedział dowodnie i on sam, ale w każdym razie wypadało mu milczeć. Przecież strachu, obawy, natura jego nie знаła.

— Dziękuję wam, panie, za mieszkanie tak wy-

sokie—dodał też.—Gdybyście jednak, panie, przychyliłi się do moich życzeń, to wolałbym zostać na dzisiejszą noc na ziemi. Ale cóż pocniemy z tym kawalerem? Rana dostatecznie zawiązana, chłód nocny jej nie dosięga, krew już nie płynie. Konno przewieziemy rannego do miasta; tam łatwiej i prędzej się wyleczy.

— Trzymaj rycerza! — odparł gromko Ecsedi, i podawszy rękę Sewerowi, rzekł:

— Muszę wracać do obozu, bo tam czekają na mnie,—a potem zaraz zwrócił się znów do Dimona:

— Zawieziesz rannego do Köhalom, lecz nie do miasta, tylko do wioski, i oddasz go hanowi, to jest sędziemu królewskiemu w imieniu księcia, pozdrów od niego sędziego i wszystkich w tym domu. Już ja powiem o tem księciu, a ten zapewne zgodzi się na to, com zrobił.

Dimon milczał i trzymał za wędzidło konia Sewera, na którym ranny został umieszczony przez Ecse-di'ego, który teraz siadł na swego rumaka.

— Jeszcze jedno — zawołał na Dimona — skoro skończysz robotę, czekam cię w obozie, będziesz mi potrzebny.—Żegnam was, panie—dodał, zwracając się do Sewera.

I spiąwszy konia ostrogą, popędził naprzód przez ciemne gęstwiny, zarosłe berberyseem i dzikim agrestem.

Ucichł odgłos kopyt oddalającego się konia; Dimon zaś powoli prowadził chorego, którego koń uderzał ziemię nogą, jak gdyby cieszył się z powrotu do domu.

Na twarzy Dimona znać było niepokój. Jak mu się zdawało, trudno było ukryć tajemnicę w tym lesie, dość uczęszczanym. . .

— Jak się mamy?—rzekł w końcu Dimon, który nie lubił milczeć i którego krótka, ale męcząca droga do Köhalom zaczęła już nudzić.

— Słaby jestem—odparł Sewer.

— Możemy jednak rozmawiać, a właśnie chciałem was, panie, o coś zapytać.

— Chętnie odpowiem.

— Powiedz mi waszmość, kiedy spodziewają się powrotu Weisza od wojewody Raduła?

— W końcu tego miesiąca powróci.

— Jesteś, panie, Sasem, jak mi się zdaje.

— Tak.

— Dobrze. Ja też powiem panu o sobie. Los mną rzuca na wszystkie strony, jak piłką. Gdyby Weiss potrzebował kiedy takiej piłki, znajdzie ją we mnie.

Sewer uważnie przyjrzał się mówiącemu; jakaś myśl przysłała mu do głowy. Dość długo milcząc, przypatrywał się Dimonowi, wreszcie nie chcąc się z czemś wymówić—rzekł:

— Weiss nigdy usług nie zapomina.

— Ja — rzekł Dimon — jestem obecnie w orszaku księcia, a raczej będę, mogę jednak uważać to już za fakt. W jakim stosunku jesteście, rycerzu, z Weissem?

— W bardzo ścisłym, w takim, jaki komendantta Hermansztadu może wiązać z najznakomitszym wśród obywateli konsztadzkich, który prędzej, czy później zostanie burmistrzem tego miasta.

— A! więc mam honor rozmawiać z komendantem Hermansztadu, imci panem Sewerem, jak go zwać ogólnie.

— Tak. A cóż to może obchodzić dworzanina książęcego?

— Nic. Zatem Weisz powraca w końcu tego miesiąca. Czy nie mógłbyś mi, panie komendancie, wyświadczyć łaski i zapoznać mnie z dzielnym Weiszem?

— Dlaczego nie? Cieszę się zaufaniem Weisza; możesz waszmość mówić ze mną swobodnie.

— Czy mogę mówić o czemś, co interesuje Sasów?

— O Kronsztadzie i Burzenlandzie?

— O tem, że Weisz staje się coraz popularniejszy w całym kraju. Co przecież, według was' panie, myśli o tem książę?

— Książę? Szczególne pytanie w ustach księżęcego sługi?

— Sługi? — zawołał dumnie Dimon — lepiej się wyrażałeś, rycerzu, poprzednio, zowiąc mnie dworzanninem. Mogę być powiernikiem, jeżeli ta rzecz się stać może, a nawet zdrajcą, ale nigdy sługą. Do czarta! Nie byłbym posłał do piekła Belzebubowi cyrografu na moją duszę, gdybym miał sługą zostać.

— Nie znałem tak dobrze waszmości. Ale chcę wiedzieć, o co idzie ci ostatecznie?

— Rozumiem! — rzekł chytrze Dimon — jesteś, rycerzu, po sasku ostrożnym i mądrym. Dlatego mowa wasza jest ostrożną. Piękny to przymiot, ale nie można się nim rządzić zawsze. Mówmy więc otwarcie, ja zacznę. Książę nie bardzo mi się podoba. Młody jest, prawda, może z niego być człowiek dzielny, jak Stefan, ale może być również taki okrutnik i awanturnik razem, jak Zygmunt. Ma on jedną wielką wadę: nie umie ludzi dobierać.

— To żart. Mówisz sam przeciw sobie.

— To się nie pisze w regestr, szanowny panie. Jestem dziś na dworze księcia kureczakiem, ale mogę stać się orłem, gdy się wypierzę ostatecznie. A wzrok już dziś mam orli, lub blisko tego, umiem patrzeć i wszystko widzę — wszystko. Znam już tak dobrze wszystkie stosunki i sprawy dworu, jakbym się tam urodził i wyrósł; ledwie 4—5 godzin jestem w obozie, a już doskonale znam się ze wszystkimi panami.

Sewer słuchał samochwalstwa chłopaka, lecz nagle cierpienie skrzywiło mu usta.

— Rana mi się jątrzy, febra zaczyna mnie trząść,

a oczy kleją się do snu. Czy długą jeszcze drogę mamy przed sobą?

— Średnio, średnio długą. zacny panie.

— Powiniennem co prędzej spocząć, bo może przyjść gorączka.

— Jest w Kōhalomie stara lekarka, która wam pomoże, panie. Tylko chwila cierpliwości. Skracajmy jej długość, jak można, to jest rozmową, którą chcę was, panie, bawić. Otóż jest tam przy dworze niejaki pan Imrefi, dumniejszy od księcia, choć ten każe wszystkim klękać przed sobą. Drugi, nazwiskiem Kamuli, to wszędobylski i ręce ma długie, sięgające wszędzie. Obaj ci ludzie, to moje wrogi: pyszniejsi od tatarskiego chana, mają miny tak butne, że nie powstrzymam się, aby im kiedy głupstwa nie powiedzieć. Tych dwóch ludzi poznałem odrazu lepiej niż księcia.

— Rzeczywiście, dużoś wasze postąpił w znajomości ludzi i rzeczy książęcego dworu przez czas kilku godzin, ale odkryłeś to, co jest wszystkim znane. Ale cóż Gabryel Betlen?

— Gabryel Betlen bardzo zacny, bardzo bogaty pan, i jako taki, ma prawo i nadzieję iść coraz wyżej w górę. Mnie osobiście nie podoba się on zbytecznie, nawet mniej, niż tamci dwaj.

— Nie? a dlaczego? Zdaje mi się, że i on nie jest przyjacielem tamtych.

— Nie zaprzeczam temu, ale jest bardzo mądry, a na świecie, zwłaszcza zaś na dworze książęcym, niema nic nudniejszego nad człowieka bardzo mądrego.

— A jak, wasze, sądzisz, czy to uczciwy człowiek?

— Uczciwy... różnieby mówić o tem można, ale to już jest pewnem, że jest ostrożny. Zważ, rycerzu, że gdyby tu w Burzenlandzie ktoś ośmielił się mówić, iż Weisz nie jest człowiekiem uczciwym, zabiłbym go na miejscu ja, lub wy, panie.

— I słusznie—odrzekł Sewer, którego gorączka zaczęła ożywiać.

— To znaczy — ciągnął Dimon — że miara cnót ludzkich jest zmienna, jak powietrze wiosenne. Powiedźcie mi, panie, szczerze, czy Weisz chciałby, aby książę wiedział o wszystkim, co robi on i inni uczeni ludzie w Burzenlandzie? A... zadziwiliście się, panie, ale to tak bywa przy zawieraniu znajomości, i nanowo pytam: czy Weisz chciałby, aby książę wiedział o wszystkim? Zrozumiejcie mnie tylko, panie, co ja nazywam „wszystko,” bo wszystkość bywa rozmaita. Otóż zacznijmy ją rozbierać. Do tego, co jest „wszystkiem,” należy i ta okoliczność, iż na dworze Pato-rego jest pewien mąż nazwiskiem Nadanyi, bardzo dobry pisarz.

— Do szatana!—wykrzyknął Sewer.—Czart przez ciebie mówi, chłopcze.

— Spokojnie, panie, spokojnie... Mówmy teraz dalej. Ale oto pierwsze domostwa. Tu jest dom hana, jak myślę, bo stoi przed nim szubienica i pręgierz.

Dimon potężnie walnął we wrota domu hana. Po chwili, trzeba dodać, nie krótkiej, usłyszano głos, który krzyknął po sasku:

— Bodaj cię dyabli wzięli...

Sam han, to jest sędzia, otworzył drzwi i z gniewem odmówił gościnności. Ale gdy usłyszał od Dimona, że przybywają tu na mocy rozkazu księcia, i gdy Sewer w narzeczu saskiem przedstawił mu swoją godność, wnet han we dwoje zgięty, przyjął Sewera na nocleg. Sam nawet pośpieszył na wieś poszukać starej saksonki, która praktykowała czarodziejską sztukę Eskulapa.

ROZDZIAŁ IV.

Gywła Feyerwar.

Gdzie dawna wrzawa?
 Gdzie dawna świetność?
 Niema już z tego nic...
Kazinczy.

Nazajutrz rano ledwie jakie takie ślady mogły świadczyć wśród lasu, że był tu wczoraj obóz książęcy. Namioty zniknęły, nie rżały konie, nie dźwięczała muzyka. O świetle oddaliła się porządnym truchtem kawalerya, a za nią szły ciężko naładowane wozy. Na małym zwinnym kucu jechał Dimon. Choć po bezsennej nocy, był tak wesoły, tak rozmowny, tak żartobliwy, jakby ją przespał na miękkim puchu.

Książę skierował pochód do Fehérváru, gdzie szczególnie lubił przebywać.

Gdy książę Gabryel po swojej fantastycznej podróży po kraju zawitał do Fehérváru, znajdowało się w tem mieście wiele znakomitych rodzin.

Między mężczyznami bezwątpienia najdzielniejszym i najpiękniejszym był sam młody książę, ale pięknych kobiet było tu niemało i to niepospolitych. W pańskich rodzinach Siedmiogrodu kwitnęło dużo kwiatów cudniejszych od róż i lilij. A książę był wielkim wielbicielem tych wdzięcznych tworów bożego ogrodnictwa, wydawał zatem wspaniałe uczyty i urządził romantyczne festyny. Kobiety uwielbiały też księcia. Gdyby którejkolwiek powiedział, że jej pragnie na towarzyszkę życia, każda bez namysłu i z radością zgodziłaby się na to. Dotychczas jednak żadna z dziewic nie zwróciła jego uwagi.

Mówiono trochę, że się kocha w pięknej kasztelanowej Imreflowej, z której uporem miał długo walczyć, aż podobno w końcu pozyskał sobie to harde dotąd serce niewieście. Mówiono przecież, że już

ochłódtł teraz, bo go zachwycać [zaczyna Farkasowa Kamuli.

Gabryel Batory był tak dla kobiet uprzedzająco miły, jak dla mężczyzn dumny i nad miarę wyniosły, i dotąd nie wyróżniał nikogo z pomiędzy panów Siedmiogrodu i nie wybrał sobie nikogo za przyjaciela. Przecież dwór jego był i tak zawsze liczny. Gabryel Betlen długo przebywał na dworze, a był to jeden z najbardziej zasłużonych mężów Siedmiogrodu.

Średniego wzrostu, postawy silnej, nie był on takim, aby go nazwać było można pięknym mężczyzną. Ale jego ruch, chód i zachowanie się imponowały; oczy miał żywe, niebieskie, rysy nieregularne, lecz miłe. Po księciu uważano go za najwybitniejszego człowieka w Siedmiogrodzie. Lecz o ile książę górował nad Betlenem królewskością postawy i pięknnością twarzy, o tyle ten potomek starego rodu dzielnych ludzi i mężnych rycerzy przewyższał Batorego nauką i doświadczeniem. Wszystko, co dotyczyło spraw i zarządu kraju, znał on gruntownie, a nadto posiadał wysoki rozum prawdziwego męża stanu. Umiał obok tego dobrze mówić o wszystkim; był więc w towarzystwie nader miły, choć niezbyt ożywiony. Na ustach jego igrał zawsze uśmiech ironiczny.

Batory go nie lubił i bacznie go pilnował, gdyż był on po osobie księcia najbliższym siedmiogrodzkiem tronem, jako blisko po kądzieli spokrewniony z domem Batorych.

Istniała jak gdyby ukryta rywalizacja pomiędzy Betlenem a Gabryelem Batorym. Książę lękał się surowego i bezwzględного zdania przeciwnika o sobie; podejrzewał go o chęci i zamiary nieprawe i w ciichości go nie lubił.

Betlen przeciwnie, lubił Batorego. On to pierwszy podał myśl powołania Gabryela na Księstwo Siedmiogrodzkie. Widział w nim wiele zalet i cnót właściwych rodowi Batorych, ale znał też i wielkie jego przywary. Z dwóch powodów miał też Betlen żal do

Batorego: najprzód, że omylił się co do jego zdolności rządzenia krajem, a powtóre, że ksiązę odsuwał od siebie ludzi rozsądnych, umiarkowanych i uczciwych, a dawał posłuch małodusznyim nędznikom, którzy kierować go chcieli na takiego tyрана, jakim był Zygmunt. A było dwóch takich niebezpiecznych ludzi na dworze Batorego: pierwszy z nich, Farkas Kamuli, bogaty pan rozległych włości, gracz szczęśliwy, który wszelkiemi sposobami starał się w łaski księcia wkupić. Wobec wyższych pokorny, dla maluczki pełen pogardy, zdzierca i despota, stawał się obok słabości charakteru, lekkości i młodego wieku księcia osobą niebezpieczną, mogącą na szali losów Batorego i Siedmiogrodu nieszczęśliwie zaciężyć.

Powierzchniowość jego była tak niemiłą, jak duża mała szlachetna: był wysoki, otyły, twarz miał wiecznie czerwoną i nędznie napuszoną. Drugim, nielepszym od pierwszego, faworytem księcia był Imrefi. Ten należał do tych ludzi, o których wiemy napewno, że wobec własnego interesu nie cofną się przed żadną nikiemnością, że na ich wierność liczyć nie można; że ich słowu wierzyć nie wolno; ludźmi tego pokroju pogardzamy tak, że nienawidzić nawet ich nie możemy; ale Imrefi umiał oszukiwać tych, których chciał sobie pozyskać; był przystojny, twarz jego była zawsze wesola, postawa piękna, zachowanie się miłe. Mówić umiał dobrze. słowa z ust jego płynęły lekko i obficie, jak woda, w sporach na słowa był niezwyciężony, zato w sercu tchórz to był i gnuśnik. Rozprawiał zawsze głośno i wesolo: gdzie Imrefi wchodził, znikala ztamtąd powaga, bo umiał on w każdej rzeczy wynaleźć strony śmieszne i najpoważniejsze kwestyje w żart obrócić.

Księcia zdawał się ubóstwiać; był jego powiernikiem i stołownikiem ciągłym. Umiał mu zawsze dogodzić, pochlebić, ośmieszyć innych, zdobyć sobie serce ufne go młodzieńca i kierować nim, w którą chciał stronę.

Ale więcej, niż jego, lubił ksiązę jego piękną żonę, drobną, wesołą kobietę, która charakter swój kształciła na wzór męża i pod rozkosznym uśmiechem kryła złe i niskie instynkty.

Było w owym czasie wiele dostojnych pań w Fehérvárze, ale na pierwszym miejscu stawiano i słusznie, Baltazarową Kornis, która choć nie była piękną, w zwykłym znaczeniu tego wyrazu, lecz tak miłą, tak bardzo miłą, że przywiązywała do siebie ludzi w sposób rzadki, bo zarazem to było wielkie uszanowanie i wielkie umiłowanie dla kobiety niewypowiedzianie pociągającej.

A nie była ona posępną, na ustach jej spoczywał zawsze niewypowiedzianie miły uśmiech; gdy milczała, półotwarte usta, do półuśmiechu złożone, pokazywały szereg białych, perłowych ząbków. Nie było mężczyzny, któremuby krew nie popłynęła szybciej na jej widok. Z całej jej postaci promieniało szczęście i spokój.

Ksiązę wyróżniał ją wśród innych i chętnie przedstawiał w jej towarzystwie nietylko u dworu, ale nawet u niej w domu; i nietylko teraz, ale i przedtem, gdy przebywała u brata, Stefana Kendiego. Jadwiga Kornisowa hołdy te przyjmowała nie tak, jak to czyniły inne kobiety; Kornis sam, bardzo miły i wesoły człowiek, należał do gorących stronników księcia, a żona ubóstwiała męża i wierzyła w niego, jak w bóstwo.

Drugą kobietą, która jaśniała na dworze księżęcym, jako gwiazda pierwszej świetności, była Stefanowa Kendi. W Fehérvárze, a nawet w całym Siedmiogrodzie, uważano ją za najpiękniejszą kobietę, choć nie tak dostojną, jak pani Jadwiga Kornisowa. Był to jak gdyby ożywiony posąg greckiego dłuta — posąg Junony. Rysy twarzy były doskonale czystych linii i regularne bez zarzutu. Oczy błyszczały wyniosłe i mimo wielkiej piękności, Stefanowa Kendi podobiała się nietylko mężczyznom, jak kobietom, które się

nią zachwycały. Uważały ją za najpiękniejszą pomiędzy sobą, tylko sercu jej odmawiały uczucia. Mówiono, że to marmur biały, szklisty, lecz twardy i zimny.

Jak Jadwiga Kornisowa była śniada i oczy miała czarne, tak ona biała, z oczyma złotawo-ciemnymi. Kornisowej każdy ruch, każde spojrzenie było pełne wdzięku, swobody, szczerości. U Kendiowej wszystko było jak gdyby nakazane z góry, a obok dumy, w twarzy jej czytać było można cichą tęsknotę i jak gdyby tajone niezadowolenie. Kornisowa była czysta i nieposzlakowana, ale nie mówiła o tem wcale, uważając to za rzecz zupełnie naturalną. Była dobra i rozsądna, sama o tem nie wiedząc, dlatego nigdy nie podejrzewała o zło nikogo i względem siebie jedynie była surowa. Przebaczała innym lekkomyślność, nie okazując im pogardy. Była tak dobrą, jak Kendiowa dumną: ta pragnęła w odzieży, w klejnotach, we wszystkim, co ją otaczało, blasku i świetności, dążyła zawsze do tego, aby budzić uwielbienie i nie cierpieła opozycyi. W sporze była gorącą i nie odstępowała nigdy od swego zdania, choćby się w przekonaniu zachwiała. Była surową i wyniosłą, ceniła głównie siłę i godność, słabymi gardziła, niższym dawała uczuć, że stoi wyżej.

Kendi kochał i szanował żonę, choć go razita w niej pycha; ona również kochała męża i była szczęśliwa, gdyż stanowisko jego było wysokie jako rycerza i ohywatela.

Trzecią osobą, ważną na dworze księcia, była Janowa Imrefi. Nie było pewnie wówczas w całym Siedmiogrodzie drugiej kobiety, o którejby tyle, co o niej mówiono; że chciała w sieć swą złowić Batorego, to było pewnością. Należała ona do tych kobiet, których słowom i oczom wierzyć nie można. Namiętność i obłuda, wesołość i tęsknota łączyły się w niej razem. Czy pozwoliła księciu kochać się w sobie—nie wiadano.

Poświęciła już dobre imię swoje i zaczęła się

lękać, czy nie nadaremno, bo spostrzegła, że księżę raczej unika jej teraz, niżeli szuka, że wyżej ceni inne kobiety, że ma dla nich widocznie cześć wyższą. Ale nie dawała za wygraną i pysznie cisnęła się na widownię dworu książęcego.

Kiedy ona tańczyła i bawiła się, Imrefi ucztował wesoło wśród kielichów i toastów. Nigdy jednak miary nie przebrał i pilnie baczył na to, co robi ta próżna kobieta.

ROZDZIAŁ VII.

Sznur pereł.

W kilka dni po przybyciu księcia do Fehérváru, Jadwiga Kornisowa ubierała się w gotowalni. Miała na sobie wedle mody ówczesnej i gustu swego białą suknię z ciężkiego jedwabiu, haftowaną w kwiaty. Węgierki lubują się w szatach białych, które uwydatniają ich śniadą cerę i blask oczu, zwykle pięknych i dużych.

I tak też było z piękną Jadwigą, piękniejszą jeszcze stała się w tej pysznej bieli drogich jedwabi; na bogate splety włosów miała zarzucony także biały, złotem szyty welon z białej gazy. Sama go sobie haftowała w czasie nieobecności męża, który musiał jechać za księciem, i myślała z przyjemnością, czy mu się w nim podobać będzie, czy jej powie, że jest ładną?

Pokojowa jej, Marta Szynleyowa, zaczęła ją pierwsza chwalić.

— Ach, jak pani jest piękna w tej gazie błyszczącej! — zawołała. — Nad czołem ułożyła się niby książęca korona, a draperya, która dołem splywa, to jak płaszcz książęcy! Piękność pani godna też marnszego stroju!

Piękna Jadwiga roześmiała się.

— Zaczynasz być pochlebnicą, Marto. Na kogo innego gniewałabym się za takie słowa, ale ty jesteś tylko nieroztropna i mogłabyś takimi komplementami zawrócić głowę komu innemu, ale nie mnie...

— O! pani jest tak skromna, za skromna nawet; nie tak jak inne panie, które umieją wyszukaną sztuką podnieść swą urodę. Ale pani i tak pięknie we wszystkim i doprawdy żal pomyśleć, że połowa czasu upływa pani na wsi, gdzie nikt nie widzi tej urody...

— Jakto nikt? A mąż mój...

Marta się zmieszala.

— I pan tak często wyjeżdża — wybąkała. — Oto teraz nie było go tak długo i pani pędziła dni smutne w samotności.

— Nie jest mi nigdy wesoło tam, gdzie męża mego niema ze mną, ale nie byłam znów tak wielce smutną. Wiedziałam, że Baltazar wkrótce powróci i myślałam o nim, czekałam go. A to także jest przyjemnością wyglądać ukochanej osoby. Serce wyrzywa się naprzód i leci już witać, zanim to się stanie w rzeczywistości.

Pokojówka podniosła oczy na mówiącą i miała pewne zmieszanie w twarzy. Zamilkła na chwilę, jak gdyby nie wiedząc, co ma mówić dalej, ale odważyła się znów wrócić do przedmiotu:

— Drugiej takiej żony jak pani niema chyba na świecie. Nic pani nie waży tego, że nie używasz młodości, piękności swojej tak jak inne, które mniej na to zasługują, bo nie są tak piękne i w dziesiątej części.

— Marto! proszę cię, przestań... Zkąd ci się to wzięło? Prawdziwie, zdaje się, że gadasz jak podmówiona.

Kobieta zaczerwieniła się.

— Oh! któżby mnie miał podmówić?—zawołała— mówię, co czuję i co czują inni. Toż na wsi niema

i połowy tych przyjemności, co w mieście, przy dworze zwłaszcza. Książę nasz jest pan młody i umie się bawić.

— Daj Boże, aby nie zanadto...

— Jakto zanadto! Człowiek dwa razy nie żyje i dwa razy młodym nie jest. Na wsi wciąż jedno i to samo... Pan powinienby wziąć jaki urząd przy dworze i wiem, że gdyby tylko zechciał, otrzymałby godność najwyższą.

— Mąż mój nie uważa urzędów dworskich za godności najwyższe. Najwyższa to godność wtedy, gdy się służy ojczyźnie orężem, czy radą.

— To też w radzie księcia.

Pani Jadwiga się śmiała.

— Wyszłaś na polityczkę, Marto, i jestem pewna, że to ktoś włożył ci te wszystkie słowa w uszy, a ty je powtarzasz.

— Ach, ja panią tak kocham i dlatego takbym pragnęła...

— Abym świeciła na dworze. Nie, to nie należy do gustów moich, a zwłaszcza Baltazara. Mężowi memu trudno być radą księcia, bo inaczej on patrzy na wiele rzeczy. Przypnij mi ten fałd, Marto.

— Złotą szpilką?

— Dobrze, może być złota, to odpowiada haftowi. Widzę, że rzeczywiście dobrze mi w tej gazie.

— Ślicznie! ach jak ślicznie! Dla tej to piękności, która jest isticie anielską, tak ludzie się dziwią odosobnieniu się pani, jej pobytowi na zapadłej wsi. Poznałam właśnie jednego młodzieńca...

— A widzisz, żem odgadła. Ktoś ci zamącił głowę i czy to nie ten wysmukły kawaler, którego widziałam, gdy wychodził z bramy i kłaniał ci się jeszcze bardzo układnie. Kto to jest?

— Dworzanin księcia. Zwie się Dimon.

— Szczegółne nazwisko, tak jak i człowiek. Nie jest brzydki ani pospolity, a jednak prawie się go złęklam, gdy się wpatrzył we mnie. Ma dziwne oczy.

Czy znasz jego rodzinę? Zdaje się, że jest z jakiegoś wyższego rodu.

— O nie... bo ród jego jest niewiadomy i nie wiedzieć nawet, czy jest szlachcicem. Poznałam go niezbyt dawno i przypadkiem, sama nie wiem nawet, jak się to stało, żeśmy się zaznajomili. Ale jest to chłopiec dowcipny i mądry, był w szkołach i umie więcej niż inni, wyżej położeni od niego. Na dworze księcia jest niedawno, ale pewno wypłynie z czasem na wierzch, bo książę go lubi.

— Mnie ten młodzieniec się nie podobał. Ma wzrok zuchwały i ognisty, patrzy nim tak śmiało...

— Piękność pani rozpala wzrok wszystkich młodzieńców, wszystkich mężów, którym dano jest panią ujrzeć. Dimon uczynił to tylko wyraźniej, aniżeli inni, i może miał do tego przyczynę.

— Przyczynę... Jakaż mógł mieć przyczynę, prócz zuchwalstwa, że wlepił we mnie źrenice, palące jak węgle?

— Ach! gdybym śmiała pani coś powiedzieć?

— Gdybyś śmiała? Toż przecież rozmawiasz ze mną... I cóż to być może, co wymaga szczególnej śmiałości. Może ten twój znajomy ma prośbę do mnie o jakie wstawienie się za nim do męża.

— O nie... gdybym śmiała, to powiedziałabym coś...

— Jesteś dziś dziwną, Marto. Pewna jestem, że to w gruncie rzeczy będzie jednak prośba, że ten Dimon czegoś chce! No, mów, o cóż to chodzi?

— O tajemnicę... i wielką tajemnicę...

— O tajemnicę... którą mi chcesz powierzyć...

— Tak... pragnę tego, ale nie śmiem. Boję się gniewu pani, która jest tak...

— Tak zła...

— Nie! pani jesteś dobrą jak anioł, ale są rzeczy, w których zbyt drażliwa jesteś, nie widzisz pani w sobie tego, co widzą wszyscy — czarującej swej urody.

— W jaki sposób uroda moja może się łączyć z tem, co nazywasz tajemnicą i w co ów sługa Gabriela Batorego zdaje się być wmieszany? Mówże, już powiedziałaś tyle, że teraz chcę wiedzieć wszystko.

Marta bladła i czerwieniła się. Posunęła się krokiem do swej pani i głosem trochę załężnionym opowiedziała jej, że Dimon jest u księcia w wielkich łaskach i wie dużo więcej, niż kto inny.

— Wie jakąś tajemnicę?

— Tak pani, wie...

Urwała, pochyliła się i cichym a szybkim szep-tem dodała:

— Dimon wie, że księżę uwielbia panią, że...

— Marto!...

— Że płonie dla niej, że gotów byłby na wszystkie ofiary...

— Cicho, kobieto! Ten Dimon jest Demonem, a ty zuchwała.

— O pani! Księżę byłby gotów podnieść cię najwyżej, aż do tronu swego i gdybyś rozwiodła się...

— Milcz!—powtórzyła Jadwiga Korinowa z mocą. — Przy pierwszych słowach pokojowej zarumieniała się silnie, ale teraz pobladła już, a nawet była bardzo bladą. — Och, to będzie więc taki drugi Batory, jak Zygmunt!—jęknęła.

Potem obróciła wzrok na kobietę przestraszoną głosem i wzrokiem tej zwykle łagodnej pani.

— Marto—rzekła już spokojniej, ale zawsze ze wzruszeniem wielkiem—musisz opuścić mój dom... zaraz, dziś jeszcze!

Kobieta przestraszona, jak gdyby usłyszała nagle wydany na nią wyrok śmierci, najpierw wpatrzyła się w panią swoją okiem osłupiałem, potem padła jej do nóg:

— O pani! — zawołała — cóżeś wyrzekła. Ja mam z twego domu iść, od twego boku, od ciebie się oddalić...

Jeszcze nie dowierzała, choć trwoga wielka brzmiała w jej głosie, ale przekonała się zaraz, że wyrok wydany na nią był nieodwołalny.

— Musisz — oparła jej pani głosem, który był smutny, ale brzmiał stanowczością niewzruszoną. — Musisz...

— O, przebac, przebacz pani mnie nieszczęśliwej — jęczała sługa, padając jej do nóg.—Winna jestem, czuję to teraz dopiero, ale przebacz... bo jesteś dobrą. Jak anioł ratujesz ludzi ubogich, błagasz o darowanie winy przestępców, jak to nieraz widziałam, gdyś się wstawiała za winowajcami do męża swego—wybacz i mnie... wybacz i niech to usta twoje wygłoszą zaraz, bo czuję, że nie wyżyłabym godziny w niepewności.

Jadwiga Kornisowa uczuła, że oczy jej wilgotnieją, ale usta nie wymówiły słów pożądaných przez nieszczęśliwą, która klęczała przed nią.

— Nie—rzekła—przebaczyć ci nie mogę... Gdyby wierność twoja zachwiała się dla mnie, uczyniłabym to, ale tyś zdradziła męża mego i przebaczenia za tę winę niema u mnie...

— Nie ma—powtórzyła, a wtedy kobieta uczuła przestрах niewymowny. — Cóż ja pocnę, co uczynię?—jęczała.—Czyż zabić się mam?

— Ja cię nie opuszczę i na nędzę nie skążę—odpowiedziała pani łagodnie.—Do śmierci mojej i twojej będę opatrywała potrzeby twoje, tylko nie możesz już żyć pod jednym ze mną dachem.

— O pani! to jest właśnie wyrok, 'który mnie zabija. Ja cię czczę, ja cię kocham i nie płaczę po straconym losie moim, ale po straconej dla mnie twojej obecności, po straconej twojej łasce. Umrę, gdy mnie oddalisz.

— Oddalę cię jednak, niebogo, stało się! serce moje ścisną się także, ale uczyniłabym to samo, postąpiłabym tak samo, gdybyś była moją siostrą... gdybyś była nawet matką moją! Tyś jest w oczach mo-

ich zdradą męża mego, a wiesz, że kobieta przysięga u ołtarza wiarę temn, komu ślubuje.

— Namówiono mnie nieszczęśliwą. Podszeptano mi to, powiedziano, żeś ty, pani, warta najwyższego losu, dostojęństwa, korony książęcej i nierozumna uleżałam tej namowie.

— Dimon! ach! zły duch, to jest... zły duch...

— Zły duch... tak... który otwiera wrota zgubie ojczyzny naszej.

— Marto — dodała poważnym głosem Kornisowa — trzeba mi cię pożegnać w tej chwili, bo już się nigdy nie zobaczymy z sobą. Patrz, ta kiesa, którą ci oto daję, zawiera złoto. Jedź do nas na wieś, powiedz ludziom, żeś chora i nie możesz dłużej pełnić przy mnie służby. Masz moją rękę do ucałowania, abyś wiedziała, że ci przebaczona została wina w sercu mojem, ale nie może być innego jej zmazania, jak przez rozłączenie się twoje ze mną, odsunięcie twoje od mego boku. Jeżeli jesteś tak przywiązana do mnie, jak wierzę w to, uczyni to z dobrej woli i chętnie, bo widok twój jużby mi był ciągłą torturą. Przypomniałby mi obrazę i zniewagę, jaka mnie dotknęła, i serce moje przepęłniłoby się żółcią. Musimy się więc rozstać...

Przy śniadaniu, gdzie oprócz męża była i Helena Imrefiowa, wzuszona silnie kobieta potrafiła nic po sobie nie pokazać; była tylko poważną, choć nie ponurą.

Tylko mąż, który znał ją dobrze, czuł, że jej coś dolega.

— Pewno mi powie potem — mówił do siebie i nie pytał się żony o przyczynę smutku.

Helena Imrefiowa, która zwykle wiedziała jakieś nowinki, wspomniała, że książę w tych dniach czeka powrotu obywateli kronsztadzkich Weisza i Beknera, że jest na wojewodę Raduła mocno zagniewany, że to może złe skutki pociągnąć za sobą.

— Posprzeczali się o bułanego konia — dodała ze śmiechem Helena;—mówiłam Batoremu, że to drobnostka, nie warta gniewu.

— O bułanego konia! Jest to pozór tylko, ale w każdym razie mam coś na myśli — rzekł Kornis.— Droga moja — dodał, zwracając się do żony — jak sądzisz? Chcę dać księciu mego Hozdala?... Nie gorzy od Harnyika wojewody.

— Zgadzam się na to, zrób jak pomyślałeś... Książę nieraz mu się przyglądał.

Imrefiowa trochę oczy spuściła.

— Batory—rzekła — chętnie przyjmuje podarunki, szczególnie od ładnych kobiet—dodała złośliwie— radzę, abyś ty, moja przyjaciółko, ofiarowała mu tego konia od siebie.

— Ale cóż za myśl!

— Bardzo dobra! Batory jest naturą wdzięczną. Czy pamiętasz, że gdy Kamuli dał mu miecz turecki, który też księciu się spodobał, zrobił to przez żonę, a nazajutrz na szyi Kamulowej widzieliśmy sznur najpiękniejszych pereł, jakie kto posiadał kiedykolwiek w Siedmiogrodzie.

— Gdybym nie wierzyła, że żartujesz — rzekła na to trochę wyniośle gospodyni domu—mogliabym rozgniewać się na ciebie.

Kornis wyjął z zanadrza piękny woreczek i dał go żonie.

— Zajrzyjno tu — rzekł—sądzę, że te perły nie są gorsze od pereł Kamulowej. Szczęśliwy jestem, że mogę ci z nich zrobić podarunek.

Żona jego otworzyła woreczek i wyjęła sznur pięknych pereł wschodnich: wielkich, równych, czystych i w których, jak w wodzie, łamało się światło słoneczne we wszystkie barwy tęczy. Imrefiowa z zadowoleniem przyglądała się bogatemu darowi.

— Prześliczne! — zawołała Jadwiga z tą żywą radością, jaką każda kobieta czuje na widok pięknych klejnotów,

— Rzadkiej piękności perły—mówiła piękna Helena, uważnie im się przyglądając. Lecz zdaje mi się, że już gdzieś widziała. O, tak! ten wielki szmaragd śród pereł nie pozwoli zapomnieć o tym skarbie temu, kto go raz widział.

Twarz jej zarumieniła się, a wargi drżały dziwnie.

— Kupiłem to u handlarza klejnotów — rzekł obojętnie Kornis. — Zapewne też nie jestem pierwszy, któremu je pokazywał.

— I jakaż cena? — pyta Imrefiowa z dwuznacznym, badawczym uśmiechem.

— Rzeczywiście nie wielka, daleko mniejsza, niż sądziłem, że handlarz zażąda i niż są warte. Ale to rzecz błaha, ile kosztują, gdy dar mój podoba ci się — rzekł Kornis zwracając się z wesołą twarzą ku żonie.

— Od handlarza i tak bardzo tanio ocenione! — przerwała Imrefiowa. — Żałuję bardzo, ale muszę przyjaciółce mojej zaćmić niewinną radość i ciebie, panie Baltazarze, pozbawić przyjemności. Ale musicie prawdę wiedzieć, ażeby uniknąć większych nieprzyjemności.

Kornis uważnie przyglądał się oczom Imrefiowej, lecz jego piękna żona, która z rozkoszą przyglądała się przepięknym perłom, odsunęła je nagle od siebie.

— Radość moją zaćmić? — zawołała żywo — co to znaczy?

— Perły te — rzekła Helena z trudno ukrywaną złościwą radością — są skradzione.

— Skradzione? — zawołał osłupiały Kornis. — Ależ pani kasztelanowa się myli, z pewnością się myli.

— Nie, o nie! — odparła żywo Imrefiowa — te perły widziałam w zamku Ecsedzie, w skarbcu Batorych. Należały one kiedyś do Elżbiety Batorowej. Pamiętam dobrze tę ich czystość, tę piękną, czystą ich wodę. Jedno słowo mogłam rzec, a byłabym je posiadała.

Jadwiga była blada, jak lilia.

— Mężu—zawołała namiętnie—ileś zapłacił za to handlarzowi?

— Rzeczywiście bardzo mało — rzekł mąż. — Dałem mój stary pas lity, ten, który ci się tak nie podobał, i 150 weneckich dukatów.

— Sto pięćdziesiąt dukatów i stary pas! ho, ho, ho!—zaśmiała się Helena—za książęcy klejnot! Upewniam pana — dodała szyderczo — że na żadnym jarmarku tak tanio nie dostanie.

Smutne spojrzenie Jadwigi wskazywało, że ten wypadek był dla niej daleko cięższym, niż Imrefiowa przypuszczała.

Kornis przerwał krótkie milczenie.

— Dzieciństwo—rzekł.—Nie smuć się tem, moja droga. Sprawa wnet się wyjaśni. Pokojowa mojej żony wie, gdzie mieszka ten handlarz, i zaraz ją tam poślę—dodał, zwracając się do Imrefiowej.

— Ona? Marta! wie o tem?—zawołała dziwnym dźwiękiem głosu Jadwiga, ale wnet zamilkła, jakby żałując tych wyrazów.

Imrefiowa uśmiechnęła się ironicznie.

— O!—rzekła dwuznacznie — jeżeli Marta zna jego mieszkanie, to już sprawa wyjaśniona. Ja jednak radzę, zamilczeć lepiej o wszystkim.

— W żadnym wypadku! — zawołał Kornis namiętnie.

— Może być — ciągnęła dalej Imrefiowa — żem się omyliła. Ale bardzo życzyłabym sobie, aby imię moje w całym tem śledztwie zostało zupełnie zamilczane.

— Jak pani sobie życzy — rzekł Kornis — ale w ten sposób nie będziemy mogli sprawę zbadać.

— O!—odrzekła Imrefiowa—bardzo łatwo. Dziś wieczorem na bal u Batorego niech Jadwiga włoży ten sznur pereł. Jeżeli Batory go pozna, rzecz pewna, że są skradzione. Jeżeli nie, to się omyliłam. A może Batory wie o całej sprawie... to jest źle się wyraziłam: może Gabryel sam ten klejnot sprze-

dał; gdy go na księcia obierano, potrzebował dużo pieniędzy.

Było to w oczy, że piękna Helena nazywała zawsze księcia to po imieniu, to po nazwisku, poufale, nie tak jak o panującym się mówi, ani nawet jak o obcym mężczyźnie wyrażać się powinna młoda kobieta, to też każdy mógł śmiało przypuszczać jakiś bardzo bliski stosunek. Czy to mimowoli? Ludzie mówili, że nie... Helena tak ceniła tryumf swej piękności w podbiciu księcia, że pragnęła to pokazać, zapominając, iż się plami sama.

Ostatnie jej słowa ubodły gospodynię domu, a i Kornis sam, przeczuwając jakieś chytre zamiary pod słowami mniemanej przyjaciółki, gniewny już, rzekł surowo i dumnie:

— Moja żona nigdy nie włoży na siebie rzeczy, o której powiedziano mylnie choćby, że jest ukradzioną. Ja zaś sam postaram się zbadać tę sprawę.

Jadwiga była pogrążona w myślach, sprzeczne uczucia walczyły w jej piersi. Marta, ta kobieta, którą ona dobrodziejstwami obsypywała, którą nazywała przyjaciółką, przekupiona, uczyniła jej podłą propozycję. Teraz zaś tajemniczym sposobem do rąk jej męża dostał się sznur pereł od handlarza, którego znała tylko ta Marta — i perły te pochodziły ze skarba księżęcego. Była chwila, w której boleść tak przepęliła serce biednej kobiety, że w zwątpieniu zawołała:

— Boże mój, za jakież grzechy każesz mi pić z tej czary goryczy?

Należała ona do tego rodzaju kobiet tkliwych, które cierpienie przenika do głębi. Była przytem względem siebie surową i nieubłaganą. Badała zawsze, czy w tem, co jej boleść przynosiło, niema własnej jej winy.

Dzień nie najweselej się zaczął. Sam fakt kupienia pereł ukradzionych, okraszony jeszcze przez Imreflową złośliwymi, dwuznacznymi przycinkami, co raz to bardziej i bardziej ją ranił.

Marta była niewątpliwie winna, ale kobieta prosta słysząc, że jej pani, do której była prawdziwie przywiązana, może zasiąść na książęcym tronie, uległa zawrotowi głowy. Najwięcej jednak lękała się biedna Jadwiga złej przyjaciółki, która częstokroć mieszała się w rzeczy, które kobieta z godnością odtrąca od siebie. Gorzej nie sądziła jej Jadwiga, sama dobra i uczciwa. Nie myślała, jak próżność kobieca, podsycając zalotność, może doprowadzić nad brzeg przepaści, a nawet zepchnąć ją w głębię. Ale wiedziała, że Helena lubi intrygować, że uważa to za dumę swoją, że wszystko wie i w każdej sprawie macza ręce. Teraz do tego przekonania o lekkiej kobiecie Jadwiga dodała sobie to jeszcze, że była ona nie tylko lekko-myślną, ale i serce miała niedobre. Zazdrość dla innej pięknej kobiety mogła ją łatwo doprowadzić do nikczemnego czynu zniesławienia niewinnej, byle tylko za tę cenę wziętego na duszę grzechu usunęła z drogi swojej rywalkę. To już Jadwiga poznała teraz jasno, jakkolwiek sama uczciwa i dobrego serca, z trudnością przypuszczała taką nikezemność w drugih.

Jak przecież miała postąpić? Nie można było powiedzieć mężowi o tem, co ją spotkało rano, jak przecież wytłómaczyć oddalenie dawnej i zaufanej sługi? Trzeba będzie w połowie tylko prawdę odkryć. Ach! nie, lepiej wszystko zamilczeć.

Tak jedna myśl spychała drugą. Wreszcie przyszło ostatecznie postanowienie, co ma uczynić. Sądziła, że gdy Martę ze służby swej wydali, książe, który niewątpliwie o tem się dowie, zrozumie, jaką daje mu odpowiedź.

Sama zaś postara się męża nakłonić, aby wyjechali, opuścili dwór i miasto, jego uciechy, zapomnieli w cichej, wiejskiej samotności o intrygach, nie żałując ludzi niskich, ani zazdroszcząc pysze wielkich, którym się zdaje, że prawa ogólne ludzkiej uczciwości nie mają mocy nad niemi.

Wkrótce potem przybył mąż, na twarzy jego znać było gniew i niepokój.

— Marta odjeżdża, droga moja!—rzekł, zbliżając się do żony.—Powiedz mi szczerze, czy z twojej woli się to dzieje?

— Tak jest—odparła żona.

— Czy mogę wiedzieć przyczynę?

— Jest już spracowana długą służbą, chcę jej dać kawałek ziemi, gdzie będzie mogła wieść życie spokojne. Do śmierci będę o niej pamiętać. Nie lekaj się o jej los, będzie szczęśliwą nawet — dodała, rumieniając się—ona sama kontenta, że odpocznie.

Twarz mówiącej zdradzała, że słowa jej były nieprawdą i że to zdarzało się jej pierwszy raz w życiu.

— Ach, jak to ciężko kłamać—myślała.—Czemuż taję się z tem, czemu winną nie jestem? Czy nie lepiej powiedzieć wszystko? Zdawało się jej, że mąż wątpi o tem, co wmówić w niego chciała.

Kornis z boleścią patrzył na żonę.

— Tyś jest nieszczerą, Jadwigo! Marta płacze, co nie jest do radości podobnem. Gdym się ją pytał o mieszkanie żyda, przeraziła się. Jadwigo! w tej sprawie jest jakaś tajemnica, której ja znieść nie mogę, a którą wiedzieć powinienem. Bóg wie tylko, co cierpię, jak niewypowiedzianie cierpię przez to, żem się zachwiał w przekonaniu, iż ty nigdy nie kryjesz przedemną, nigdy nie mijasz się z prawdą! Mów, dobry mój aniele! nie znajdziesz pobłażliwszego sędziego nad swego męża. Wiem, żeś ty jest samą dobrocią i niewinnością, ale rozwiej tę mgłę, która się między nami roztacza.

— Mężu! Baltazarze mój drogi—zawołała Jadwiga, ośmielona spokojem i miłością słów męża — poprzestań spokojnie na tej myśli, że jeżeli teraz milczę, jeżeli nie mówię, to dlatego tylko, że gdybym mogła cokolwiek powiedzieć, byłyby to tylko przypuszczenie.

— Dotychczas przypuszczenia twe nie były dla mnie tajemnicą. Twoja czysta, piękna dusza była dla mnie otwartą, jak święta księga, w której aniołowie zapisywali same szlachetne myśli.

— Jak była otwartą, tak i nie będzie nigdy księga ta zamkniętą dla ciebie, Baltazarze! lecz może to być wtedy tylko, gdy będą tam zapisane sprawy, które mnie się tylko dotyczą; skoro jednak dotyczą one innych, w takim razie przypuszczenia nie są dostateczną rzeczą, abyśmy na nich opierali jakie stanowcze wnioski. Dlatego pozwól mi milczeć do czasu.

— Czy dlatego oddaliłaś Martę — dla przypuszczeń?...

— Tak.

— Musiałaś mieć w każdym razie ważną jakąś poszlakę.

— Tak, Baltazarze. Ważną miałam przyczynę tak postąpić, jak postąpiłam. Czekajmy przecież, a wszystko się rozjaśni.

Baltazar rzucił się w krzesło i pogrążony w myślach, przypatrywał się żonie. Bolesć okrutna gryzła jego serce.

— Więc ciemna mgła staje pomiędzy nami! Więc nasze dusze oddalają się od siebie, więc nasze myśli nie płyną razem! Jest w życiu mej ubóstwiającej małżonki coś, czego mnie wiedzieć nie wolno: to pierwsza tajemnica między nami! Pierwszy cień nieufności!

— Nieufności! — Żona objęła gorącym uściskiem męża. — Nie, nie! — zawołała — tak być nie może długo. Nadejdzie chwila, może wkrótce, że ci wszystko objaśnię.

Kornis milczał, lecz ze spokoju jego widać było, że coś planuje. Wkrótce przybył hajduk w barwach Kornisów.

— No — zapytał pan — sam przychodzisz?

— Żyd przed godziną odjechał, mieszkanie jego jest puste.

— A dokąd się oddalił?—krzyknął, zrywając się z krzesła Kornis, a twarz jego pałała gniewem.

— Łaski waszej błagam, panie — odrzekł hajduk—ale tego nie wiem, nie pytałem!

— Bałwan jesteś! Wywiedz się o wszystkim, wynajdź tego handlarza pod ziemią.

Hajduk szybko się oddalił.

— Sprawa—mówił niespokojnie Kornis—zaczyna się wikłać. Nie pojąć nie mogę. Czy on te perły sprzedał z umysłu tak tanio, czy też perły skradzione są rzeczywiście? Muszę tego dojść... muszę...

— Mów!—dźwięczał w sercu Jadwigi jakiś głos tajemny.—O! nie... jeszcze milcz—radziła rozważa.—Baltazarze! nie przywiązuj zbytnej wagi do tej sprawy—rzekła tylko cichym, zmienionym głosem.—Dostawia tu wkrótce tego żyda! A jeżeli nie, dowiemy się o wszystkim od księcia.

— Ale jak? O pośrednictwie Imrefiowej pomyśleć nam nawet nie wolno.

— Poczekajmy trochę, mój drogi. Rozważmy ten wypadek, nie śpieszmy zanadto. Może być, że ksiązę naprawdę sprzedał perły, jak mówiła Helena. Gdyby to Szilasiego można było wybadać? On jest zawsze blisko księcia i wie dużo. Ale i ten sposób niezupełnie mi się podoba — dodała po namyśle biedna kobieta, która silnie podejrzewała, że Batory umyślnie przez kupca wsunął w ręce jej męża za tak niską cenę drogie perły.

— Czy nie byłoby dobrze do Imrefiego napisać?

— Nie, nie—zawołała porywczo Jadwiga—tylko nie do niego.

— Dłaczego tak sądzisz? Mnie się zdaje, że w tym wypadku najlepiej od niego możnaby się o wszystkim dowiedzieć, zostawiając zupełnie jego

zonę na stronie. Jedno tylko widzę tu złe, mianowicie, że ty, Jadwigo, nie mówisz ze mną szczerze.

— Imrefi! — zawołała gniewnie kobieta, sama przestraszając się własnej gwałtowności — jest nędnikiem! Gdyby go książę znał dobrze! Nigdy o nikim tak nie mówiłam, Baltazarze! ale o nim mogę to powiedzieć, zatem jego nie trzeba tu wtajemniczać. Nie mogę ci nic więcej dodać, póki czas nie nadejdzie, w którym się dowiesz o wszystkim.

— Imrefi — rzekł Kornis — jest to człowiek ani zły, ani dobry. Nie ma on żadnych zasad i okoliczność może go popchnąć na złą lub dobrą drogę.

— Ty go nie znasz. Czyś zapomniał?

— Wiem wszystko, Jadwigo! wiem przecież, że cię kochał kiedyś, wiem, jak się o twoją rękę starał, wiem, jak burzył przeciw mnie twego ojca. Ale ja, który cię tyle kocham, mam-że go oskarżać zato, że dopuścił się wszystkiego, aby cię posiadać?

— Nawet oszczerstwa?

— Dla namiętnego człowieka nie ma nic świętego. Jeżeli potwarz może przynieść szkodę jego wrogowi, użyje jej.

— Więc zostawmy Imrefiego na stronie — błagam cię.

— Jak chcesz. Chciałbym sam pomówić z księciem i przy tej to sposobności ofiarować mu mego bułanka.

— Czyń, co uważasz za odpowiednie. Najkrótsza droga jest najprostsza. Ale proszę cię, zaniechaj myśli ofiarowania księciu swego wierzchowca. Dzisiejsza historia zrodziła we mnie strach przed podarunkami i nie chciałabym, aby księciu przyszła myśl wynagrodzenia cię podarkiem za podarek!

— Czy sądzisz — zapytał Baltazar urażony — że dlatego nie mówiłbym tak swobodnie, jak pierwej?

— O, nie! Ale porzućmy już ten przedmiot. Mówimy do siebie tak, jak dotąd jeszcze nie mówiliśmy nigdy. Taki ton, jaki zabrzmiał przy tych osta-

tnich twych słowach, nie istniał dotąd dla nas, niechże nie będzie go i nadal. Baltarze, przytul mnie do swej ukochanej piersi. Czyż nie jestem twoją wierną, kochającą Jadwigą? Ta mała chmurka rozwieje się i znów nasze niebo będzie czystym błękitem, jak przedtem.

Kornis przycisnął żonę do serca.

— Tak, Jadwigo — rzekł wzruszony. — Pomówię z księciem i zwrócę jego skarbowi perły, jeżeli zostały skradzione, a ty zamiast sznura pereł, miej zapewnienie twego męża, że jesteś dla niego klejnotem nad klejnotami, najwyższem bogactwem jego życia...

ROZDZIAŁ VIII.

Młody lew i jego plany.

Inni też książęta pysznić się przed nim chcieli cnotą rycerską, życia surowością, siłą swych bark i pięści, ponieważ i on był mężem silnym.

Jan Kemény.

Książę Gabryel Batory był, podług zdania wszystkich współczesnych mu pisarzy, młodzieńcem pięknym, obdarzonym wielkimi zaletami ducha i ciała. Ojciec jego, Stefan, wychował go z wielką troskliwością, choć, niestety! nie zawsze w wyborze mistrzów był szczęśliwy. Książę szybko postępował w naukach. Mówił znakomicie po łacinie, znał i inne języki europejskie i w dyskursie, według ówczesnego zwyczaju, przeplatał je łacińskimi zdaniami. Ci, co go nie znali, słysząc, gdy mówił po włosku, francusku lub niemiecku, gotowi byli sądzić, że stoi przed nimi rodowity Włoch, Francuz lub Niemiec.

Jak młody lew z poczuciem wielkiej swej siły, z duszą pełną szerokich planów, wstąpił na tron Sie-

dmiogrodzki. Mocną ręką uchwycił ster rządu, ale niestety! nie gasił sobie w duszy pożarów złego, jak ten, który kocha dobro, ale tylko przeciw błędom ludu postawił swoje własne błędy, dawniejszym książętom nieznane.

W tem sercu, z natury wielkiem, było dość materalu na wielkość prawdziwą, było dążenie ku wszystkiemu, co wysokie i dobre. Gdyby był miał naokoło siebie innych ludzi, gdyby mu drogi prawdy wskazywano, zostałby był zapewne wielkim człowiekiem.

Lecz, niestety, brakło takich ludzi w otoczeniu Gabryela, prócz jednego może Betlena, którego wpływom jednak książę się opierał. Żądza sławy bez granic i bez wyboru środków, zbytek i przepych, rodzący zazdrość wokoło, były to niby drobne wady w dumnym mężu, któremu równego, od Macieja Hunyadego, Siedmiogród nie wydał.

Kiedy Gabryel wstąpił na tron, przedstawił się ludowi z najlepszej strony i zdawał się być godnym miłości, nawet podziwu.

Losy chciały, że tuż obok tronu książęcego, najbliżej młodego księcia stali dwaj ludzie nikczemni: Farkas Kamuli i Jan Imrefi, a ci nie cofnęli się przed najpodlejszemi środkami dla pozyskania łaski książęcej i podniesienia swego stanowiska. I lekkomyślne, płochy kobiety, pociągały go na złą drogę zbytku i wiekuistego używania. Serce Batorego nie przywiązywało może żadnej wagi do lekkich i przechodnich miłostek, ale cierpiała na tem jego powaga wobec narodu, a choć go nieraz nazywano w historii uwodzicielem, był on raczej uwodzonym. Dla celów pychy swojej dwie kobiety ambitne i władzy chciwe zarzuciły na niego sieć swych zalotnych uśmiechów, torując sobie w ten sposób drogę do najwyższych w kraju stanowisk, na którychby błyszczeć mogły, i po takich to stopniach Kamuli i Imrefi dostali się wysoko, strasząc nieopatrnego księcia złudnemi niebezpie-

czeństwami. Może i oni nie chcieli gubić ojczyzny, ale namiętności zaślepiają, pycha zaś i chęć władzy gubi nieraz nawet szlachetne dusze.

W chwili, gdy Baltazar Kornis przytulał do wzmuszonej piersi swą piękną, cnotliwą i kochającą żonę, młody książę oddawał się jakoby sprawom publicznym w pysznej pałacu swego komnacie. Ściany błyszczały od malowideł świetnego włoskiego pędzla z epoki Jana Zygmunta Zapolskiego. Wokoło ścian stały szeregiem bogato rzeźbione krzesła dębowe, błyszczały piękne weneckie zwierciadła, wzrok pociągały marmurowe stoły, o brązowych, złożonych nogach; dwa zegary, jeden ścienny, a drugi stołowy, wreszcie ozdobne chińskie szafy, dopełniały wielkiego, jak na owe czasy, wykwintu.

Batory stał we framudze wązkiego, wysokiego okna, z rękami na krzyż złożonemi. Jego atletyczną postać czysto węgierskiego typu łagodziła cokolwiek szeroka suknia domowa, z najdelikatniejszej purpurowej tkaniny uszyta. Tuż obok pana znajdował się jego zauszniak, Imrefi, z papierem w ręku i czytał:

„*Condentio Generosi Joannis Nadànyi, pro officio stabuli nostri Praefecti supremi.*

— *Per annum* dostaje on z łaski waszej księżęcej mości 500 fl.

— Napisz mu 600—rzekł książę—żeby nie było skargi.

Imrefi zrobił znaczek i czytał dalej:

— Na barwę dworską przeznaczono mu 10 łokci szkarłatu, łokieć po 10 florenów.

Atlasu albo kamlotu 9 łokci.

— Napisz mu 10.

Imrefi ciągnął:

— Na stół. Wina *per diem* 2 wiadra.

Białego chleba 24 bochenki.

Czarnego chleba 24 bochenki.

Obroku dla koni miar 400.

Siana 10 stogów.

Datum in civitate nostra Gywla Feyerwar, die 29 July 1610."

Batory przebiegł wzrokiem pismo i położywszy je na poblizkim stole, podpisał.

— Myślę — rzekł — że imci pan Nadanyi będzie zadowolony z płacy i, jak mi się zdaje, nie niechętnie przebywa on na naszym dworze.

— O, ma już dosyć — rzekł Imrefi. — Zygmunt Batory płacił masztalerzom nie więcej nad 100 fl.

Imrefi skłonił się i chciał się oddalić.

— Jedno jeszcze słowo — rzekł Batory. — Słyszałem, że piękna Jadwiga Kornisowa wyjechała z miasta.

— Mąż jest zazdrosny — rzekł krótko Imrefi.

— Dimon głupio sprawę załatwił...

— Po co było kazać handlarzowi, aby uciekał. Sam chciałem później powiedzieć pięknej pani, że to podarek odemnie.

— Ośmielę się przypomnieć waszej księżęcej mości, żem przepowiedział, jaki będzie skutek tej rzeczy. Dimon może być nie raz użytecznym, ale w takich delikatnych sprawach lepiej działać samemu.

Batory spojrział na mówiącego.

— Więc ty, Imrefi, chciałbyś mi w tem służyć za pośrednika?

— Owszem — rzekł po chwili namysłu — pierwszy magnat i pan z rodu dla waszej cześci wszystko zrobić może.

— Jeżeli potrafisz skłonić piękną Jadwigę, aby była łaskawszą na mnie, daruję ci rynek Fehérvàru! — zawołał młody książę gorąco.

— Wasza księżęca mość zapomina, że rynek, to jest dochody z niego, są już obiecane Kamulemu. On już na to liczy.

— Prawda, prawda, ale i ty, mój najlepszy przyjacielu, nie będziesz skrzywdzony.

— Łaska wasza, panie, zawstydza mnie...

— Jesteś przywiązany do mnie i nie pragniesz,

abyś się stał martwym i zimnym, jak glaz, dlatego że siedzę na tronie. Czyż serca panujących są z kamieni? Czuję ja w tej chwili, że nie...

— O! — odparł pochlebca podły — młodość jest porą miłości i kiedyż to wasza wielkość masz kochać?

Batory zasepił się.

— Ludzie prześladowają mnie i wiążą gorzej, niż powrozami... Co chwila słyszę za uszami: obowiązek... obowiązek panującego.

— Wasza książęca mość jest już mężem pełnym ducha i rozumu. Siedmiogród jest szczęśliwym, że dostał go na władcę. Nie wierz też, panie, tym, którzy chcą każdą uciechę serca, każdą radość przed nim zamknąć: są to ludzie złej woli.

— Otwarcie mów, Imrefi! Ci, którym ten zarzut robisz, mówiliby ze mną szczerzej, niż ty. Powiedz, kogo masz na myśli?

— Wasza książęca mość ich zna, nie zwraca uwagi na ich matactwa. Gdybyście, panie, zajrzeli do serca Betlena, Hallera, Sarmassagiego, odkryłyby się tam straszne tajemnice.

— Co? — wykrzyknął żywo książę. — Betlen także?

— On także, on jest najbardziej dwulicowy i pod maską łagodności kryje zazdrość i nienawiść. Ale ja już nie mówić nie chcę. Czas odkryje wszystko.

— Mów, mów wyraźnie!

— Pewnego nie wiem, gdyż inaczej czyżbym czekał zapytania? Ale mnie, sługę waszej książęcej mości, razi to zachowanie się dziwne, ten ton mentorski i protekcyjny, jakiego względem księcia pozwala sobie Betlen używać. Ludzie to widzą i mówią, że właściwie rządzi on, nie wy, panie.

— A jednak jest to mąż dobrej, rozumnej rady — rzekł Batory z taki wyrazem twarzy, jakby nie zaprzeczał Imrefiemu.

— O nieba! — wykrzyknął Imrefi—w sercu waszem, panie, jest tyle szlachetności, że zuchwalstwo, chytrłość, fałszywość tego człowieka tłómaczysz sobie jako cnotę szczerości i przywiązania do ojczyzny. Ja, o! ja wymiottiłbym ztąd precz Betlena, gdybym był — Batorym!

— I ja może takbym uczynił, gdybym był Imrefim—odrzekł ksiązę dumnie.

Imrefi przysunął się do księcia.

— Ja jednak wiem — rzekł zcicha — coby robił ten radca dobry, gdyby sam na tronie książęcym siedział. O, wie on, jak myślę—że to rzecz przyjemna...

— Czyż on może o tem myśleć? Wie aż nadto dobrze, że spiski i intrygi prowadzą zuchwalca pod miecz katowski.

Nastała chwila milczenia, którą przerwał nagle ksiązę.

— Jak słyszę, staje się on bardzo popularnym w kraju—rzekł ponuro.

— I dlatego ostrzegam waszą książęcą mość — dlatego o usunięciu go mówię.

— Jego usunąć... ale jak?... Lud go kocha... to wiem, używa wielkiego poważania.

— Niechętnie mieszam się do tych spraw, ale gdy, panie mój, pozwalacie na to, przemówię otwarcie. Betlena głównem zajęciem i staraniem jest, aby sobie jak największą przychylność jednać w Siedmiogrodzie. Czyż był rad, gdy was, panie, na książęcym tronie posadzono?

— Betlen! Ale to on, mogę powiedzieć, głównie to uczynił. Jego głos rozbrzmiewał tylko tego pragnienia wyrazem.

— O, wiem ja, jak on to czynił! Wtedy będę szczęśliwy — mówił — gdy Siedmiogród dostanie z rąk moich najlepszego księcia—zawołał Imrefi, jak gdyby z wybuchem gniewu. — Z jego rąk... i on to mówił o młodym lwie, w którym nowy Stefan Batory się odradza! Ja — dodawał — będę go wspierał ramieniem,

radą, duszą całą, aby mu wskazać drogę uszczęśliwienia narodu! Bezczelny... on ma wskazywać drogę wam, o panie mój, Gabryel Betlen ma wskazywać drogę perle rodu Batorych—on, faryzeusz?...

— Dość—zawołał Batory, lekko marszcząc czoło, bo wtedy jeszcze tkwił w nim ton wyższości, która pochlebstw nie znosi.—Zbyt wysoko podnosisz moje zasługi, mój zacny kasztelanie. Jest to skutkiem twej miłości dla mego rodu, wiernego zawsze krajowi... Skoro plany moje zostaną spełnione, wtedy dopiero słowa twoje będą prawdą. Kiedy rozszerzę granice Siedmiogrodu tak, jak o tem marzę, niczyja zazdrość, ani nিকেzmmość mnie nie osiągnie.

— Panie—rzekł Imrefi—ja jednak powtórzę, że tobą będąc, oddaliłbym Betlena! Jest tysiąc sposobów do uczynienia tego gładko.

— Ja nie widzę żadnego...

— Wysłać go jako posła, do Wiednia naprzykład.

Batory zamyślił się i po chwili potarł sobie czoło.

— Ach — rzekł — nie wiem, czy panować jest szczęściem? Ja naprzykład, czy użyć mogę młodości mojej? Kiedy myślę o tej cudnej istocie, o tej słodkiej Jadwidze, krew bije mi do serca i głowy. Gdybym był, jak każdy inny swobodny młodzieniec, powiedziałbym jej: Porwę cię, uwiozę, rozwód dostanę drogą prawą, czy nieprawą, ale moją być musisz.

Imrefi podniósł głowę.

— Piękną jest—rzekł—tak piękną jak Celesta...

— Celesta! — rzekł Batory z tęsknotą.—Wy jej nie znacie! tam dusza kocha. Celesta moja, o, to zupełnie co innego!—dodał poważnie, z okiem wpatrzonym w dal.—I nie wiem, żali tej nie kocham więcej i nawet, czy nie kocham jedynie?

— W sercu ludzkim więcej jest miłości, niż je-

dna — rzekł Imrefi. — Kochamy rodziców, przyjaciół, piękność kobiety...

— Wasza księżęca mość chwieje się między dwiema i to tylko w sercu jego niepokój budzi.

Batory podniósł oczy.

— Uważasz mnie za płochego... — rzekł krótko.

Widać było, że jest niezadowolony.

— Nie, panie mój, uważam cię tylko za młodego i wiem, co to jest, bo przecież nie jestem starcem zgrzybiałym. Kobiety nasze tak są piękne, że trudno wybierać. I gdyby ich mężowie byli tak rozumni, jak one urodziwe, cała Europa należałaby do nas.

W tej samej chwili wszedł Betlen w bogatym, wspaniałym stroju węgierskim, z wydrzym kołnierzem o bogatej spince i z wydrzą czapką w ręce. Z pewną dumą minął Imrefiego, który odchodził, a skłoniwszy głowę przed księciem, rzekł:

— Zanim się oddalę, chciałem ze czcią należną pożegnać Waszą Księżęcą Mość...

— Jakto, Betlenie. oddalasz się?... Co się stało? Co zaszło takiego?...

— Nie, cobym mógł powtórzyć Waszej Księżęcej Mości, chyba zwracając się do sprawy publicznej. Ze wszystkiego, co tu naokoło widzę i przeczuwam, sądzę, że pokój Siedmiogrodu nie jest trwałym... Będzie to wielką Waszej Księżęcej Mości i jego otoczenia zasługą, jeżeli zechcezczędzić ludzi i oręża.

— Panie bracie! — zawołał Batory niby rubasznie, lecz w gruncie rzeczy lekceważąco — jeszcze wojna nie jest otrąbioną.

Betlen uczuł się bardzo urażonym tym tonem księcia. Zimny głos wskazywał, że pod poufalością jego nie ma przecież przychylności. Widział, jak na dłoni, że księżę jest rad jego odjazdowi.

— Raduje mnie, że są w otoczeniu pana mego i księcia tacy mężowie, których umysł i siła poświęcenia pozwala im zająć miejsca wśród narodu wysokie i służby moje zbytecznymi czyni. Lecz gdyby

przyszła kiedy potrzeba, w której moje ramię, moja wierność, moje zdania, mogłyby się zdać na co Waszej Książęcej Mości, znajdzie ona we mnie najgodniejszego ufnosci jej sługę.

W postaci, w głosie i mężkim wyrazie twarzy Betlena było coś tak szlachetnego, że Batory zmienił mimowoli ton, jakim przemawiał, a nawet uczył coś, jak wzruszenie.

— Więc nie odjeżdżaj odemnie, bracie!— rzekł, wyciągając rękę do niego.— Nie odjeżdżaj. ..

Ale słowa Imrefiego nagle się w pamięci jego odezwały i znów przyszła inna jeszcze zmiana:

— Przyrzecz mi, Betlenie, że jeżeli potrzebnem byłoby kiedy twoje ramię, przypomnę ci daną teraz obietnicę. Kto wie, jak może to prędko nastąpić?..

Betlena twarz była poważna.

— Panie .. — rzekł spokojnie.—Przodkowie twoi byli wielkimi mężami; w potomku ich widzę wszystkie piękne i szlachetne przymioty, które rodowi Batorych przyniosły chwałę w ojczyźnie i zjednały ją w Europie. Mężowi przystoi szczerłość, a kto księcia swego kocha nieobłudnie, mówi mu prawdę, choćby nawet to, co chce powiedzieć, było gorzkim. Widzę koło Waszej Książęcej Mości ludzi, którzy są dla jego duszy, dla jego losu i chwały niebezpieczni!

— Ah! — rzekł żartobliwie Batory — nie lubisz, Betlenie, mego dworu, ale to rzecz poboczna. Bądź przekonany, że w gruncie serca nigdy o twojej wierności nie wątpiłem, a więc i o tem, że potrafisz mówić mi prawdę — że potrafisz mi radzić, gdy sądzisz, że jest potrzeba; ale zostawmy to do właściwej chwili. Czy wiesz, że wielkie łowy zapowiedziane? Rozporządzenia już wydano. Szilasi zajmie się wszystkim.

— Z największą radością przyjąłbym udział w tej zabawie — odrzekł Betlen, ukrywając o ile możności niezadowolnienie, które się wzmogło z powodu, że książę przerwał mu poprzednią mowę—ale sprawy moje, dla których wyjeżdżam, nie cierpią zwłoki. O je-

dno tylko Waszą Księżęcą Mość błagam, aby nie sądził nikogo zbyt prędko. Powietrze dworskie jest niebezpieczne, a są koło was, panie, ludzie, którzy na twej młodości i szczodroblowości ośmielają się najeżystsze nadzieje budować. Błagam cię, księżę, abys ufał więcej własnemu rozumowi i sercu, niżeli tym, którzy w łaskę pańską się wdarli, wyzyskują ją na swoją korzyść.

Księżę zagryzł wargi.

— Zatem, nie masz już do powiedzenia nic więcej, panie bracie!—rzekł z przymuszonym uśmiechem—więc do widzenia...

— Chwała Bogu!—mówił do siebie księżę—żem się tak łatwo pozbył tego twardego, sztywnego człowieka.

Poczem zadzwonił i wszedł młody chłopiec służebny.

— Imrefi, kasztelan mój, niech tu przybędzie natychmiast.

Sługa się oddalił.

Baltazara Betlena księżę wysłał później do Wiednia, dla wzmocnienia z Rudolfem II pokoju, jaki zawarty został z cesarstwem niemieckim, gdy Batory na tron wstępował. Ten pokój był bardzo użyteczny; ale Betlen, przeczuwając, jak widzieliśmy, że pokój Siedmiogrodu nie będzie trwałym, wczas zaczął tworzyć pułki, ówczyć i wprawiać je do służby, myśląc, że Siedmiogród zawsze potrzebuje karnego i dobrze wumustrowanego żołnierza.

Skoro przecież oddalił się od boku księcia, skoro innych też zacnych mężów Gabryel Batory pożegnał, jak: Pankracego Synyiego, Stefana Basę, Jana Borbelyego i innych, pozostał sam z tymi tylko, którzy starali się podsycać jego namiętności, podniecać jego zarozumiałość, podziwiać jego awanturnicze plany.

ROZDZIAŁ IX.

Jarmark.

Szeroka przestrzeń, która od bramy miejskiej Kronsztadtu prowadzi do Vidombaku, przedstawiała bardzo ożywiony obraz.

Z pobliskich wiosek zebrał się lud na jarmark. Kupcy nie siedzieli przed straganami, jak dziś, ale były to obszerne stoły bez żadnych dachów u góry, puste deski, na których składano towary. Promienie słońca dopiekały gorąco, mimo to jednak jarmark był bardzo świetny, gdyż takich kramów były całe szeregi na placu, a nawet i na innych szerokich ulicach miasta.

Rycerz, w którym łatwo poznać było Sewera, jechał przez miasto. Był teraz bledszy niż niegdyś i wyglądał na człowieka, który wstał niedawno z ciężkiej choroby.

— Dlaczego zasiadłyście z waszemi towarami w najniwygodniejszym miejscu? — zawołał na przekupki. — Zejść ztąd co prędzej! — dodał surowo, podnosząc w górę szpadę.

— Ba... ba... — zawołała na to głosem grubym i mocnym wysoka przekupka, młoda jeszcze, ale z męskim, surowym wyrazem twarzy.

Odzież jej była w największym nieładzie: miała fartuch podarty i suknię zabłoconą, tylko czepek ciemnej barwy, jasnymi wstążkami związany i trochę na bakier wykrecony, był nieposzlakowanej czystości. Kramarka zaśmiała się, spoglądając na Sewera, lecz nie ruszając się z miejsca, podczas gdy inne wnet kosze swoje gdzieindziej przeniosły.

— Ruszaj precz, babo! — krzyknął jeden ze straży, otaczający Sewera — albo cały kram pójdzie w błoto...

— Zapłaciłam za to miejsce, mój mospanku! —

krzyknęła kobieta basem. — Niech-no kto ruszy mi to, co mam... Popamięta mnie długo.

— Zbieraj się!—zawołał jednak Sewer rozgniewany zuchwalstwem przekupki.—Jeżeli nie chcesz sama tego zrobić, moi ludzie to uczynią.

— I ty, mój mości Sewerze, synu Hansa Sewera, wnuku Michała Sewera, sławetnego księgowiaza, świeży komeudancie Hermansztadu, słuchaj mnie! Znam całą przezacną radę Kronsztadu i, gdyby Weisz był tutaj, stanąłby po mojej stronie. Od pięciu lat sprzedaję w tem miejscu jabłka moje i nieraz piękna Celesta zatrzymuje się przed mym kramem i kosztuje moich smakowitych owoców. Czy nie prawda, siostruniu? — dodała, zwracając się do starej przekupki, która z podziwem słuchała jej zuchwałej mowy.

Widząc, że pachotkowie miejscy z długimi habardami przypuszczają prawdziwy szturm, przekupki zabrały się do odwrotu, prócz tej jednej, która była przyczyną wszystkiego, bo ona to podmówiła towarzyski, aby się tu roztasowały.

Bohaterka została na miejscu swego tryumfu sama jedna. Śmiało patrzyła przed siebie, a gdy już nie było nikogo, prócz niej, straży miejskiej i Sewera, rozgniewanego, że musiał wieść tę wojnę kokoszą, ona rozśmiała się do niego.

— Mościwy a mnie wielce miły panie! — krzyknęła — nie trudź pachotków swoich braniem mnie do ratusza. Pójdę tam sama, ale nie w tej chwili, ty zaś, panie, przystąp do mnie... Niech mam szczęście, nie pocałować cię, ale szepnąć ci coś do ucha. Słodki panie, luby panie... — kończyła, zeskoczywszy ze stołu i przepychając się między pachotkami, którzy nie wiedzieli, co robić z tą kobietą, przybliżyła się do Sewera i szeptała mu coś da ucha.

Ten osłupiał, ale się i nie rozgniewał.

— Co to znaczy? — zapytał. — Do czego to prowadzi?

— Do spotkania się mego z tobą, przezacny pa-

nie komendancie, ale mieliśmy świadków, nie było to żadne sam na sam, zatem nie rumienię się, nie boję o moje dobre imię... Lecz spotkamy się jeszcze, mam nadzieję... spotkamy się...

Lud, zebrany naokoło, milczał zdziwiony. Od czasu do czasu tylko przebiegały w tłumie jakieś szepty, rozmaicie objaśniające to zdarzenie. Wszystkie oczy zwrócone były na przekupkę, której już nikt się nie miał. Sewer powiedział pachółkom, że zna tę kobietę.

W tej chwili zabrzmiał zdala odgłos trąb i tłum wnet rozbiegł się w prawo i w lewo, spodziewając się nowego widowiska. Mała gromadka ludu została na miejscu i cicho przystanęła.

Z bram Kronsztadu poważnie i spokojnie wychodzili rajcy miejscy. Na przodzie szedł sędzia, za nim panowie, rada: Trausch, Misz, Huttern, bracia Closius i inni. Wszyscy byli w szerokich dolmanach, długich bogatych płaszczach i w litych pasach, na których zawisły miecze w złożonych pochwach. Na głowach mieli niskie, lecz szerokie czapki z niedźwiedziego futra, a w rękach laski z rączkami ze złota lub słonowej kości.

Towarzyszył im kwiat niewiast kronsztadzkich, w białych jak śnieg sukniach, w purpurowych aksamiennych kapturkach z długimi do ziemi welonami. Całe to zgromadzenie najzacieńszych obywateli i obywaterek miasta wyszło na powitanie wracających z Wołoszczyzny dygnitarzy saskich, Weisza i Benknera. Ci zaś siedzieli na wysokich rumakach z pysznymi rzędami; były to dary wojewody Serbana Raduła. Koło nich jechał stępa poseł mołdawski w tureckim stroju, w zielonym turbanie, z damasceńską szablą w ręce. Wszystko to było uroczyste i pełne powagi.

Po krótkim pozdrowieniu sędziego, na co Weisz również krótko odpowiedział, cały orszak wraz z gromem pięknych kobiet z kwiatami w ręku, ruszył

do miasta, gdzie okrzyki: — Niech żyją! rozległy się w powietrzu.

Skoro Weisz odprowadził posta moldawskiego do przeznaczonej mu siedziby, skierował konia ku swemu domowi. Lud biegł naokoło niego z okrzykami pełnymi miłości i zaufania w jego rozum i odprowadził go do mieszkania.

U drzwi domu czekał go sędzia królewski, Weinrauch, Weiszowa i Celesta; ciotka jej siedziała w oknie.

Sewer, powstrzymawszy tłum, który się tłoczył koło Weisza, pomógł mu zejść z konia.

Na pięknej twarzy Celesty błyszczała szlachetna duma i wesoly zapach. Ściskając ojca, słodko z nim rozmawiała, i wśród pytań i odpowiedzi, szła z nim na górę. Sewer wolniej postępował za nimi, gdyż rana jego nie była jeszcze zagojona.

Weisz był poważniejszy, niż zwykle, pewien czas zabawił sam na sam z Sewerem, który go o ważnych w kraju sprawach zawiadomił. Gdy się oddalił wreszcie, ojciec zwrócił się do córki i, głaszcząc jej lica, ze słodyczą rozpytywał ją: co się działo tutaj w czasie jego nieobecności?

— Drogie dziecko! gdy z Fehervaru powrócę do domu, co wkrótce nastąpi, zabiorę cię do siebie. Ciotka niełatwo na to przystanie, ale jam jest ojciec przecież i musi mi ustąpić, oddać cię.

Celesta dziękowała ojcu i opowiadała, jak ciotka i wuj byli dla niej dobrzy w jego nieobecności. Okazywali jej miłość i starali się, aby jej serdecznie było w ich domu.

Z zachowania się tego widać było, że ojciec nie tylko kocha, ale i szanuje córkę. Dlatego też uważał on za rzecz stosowną mówić z nią o wszystkim, co dotyczyło jego myśli, czynów i zajęć urzędowych, i nie, co się łączyło ze sprawami kraju, nie było dla niej tajemnicą. Była ona z tych kobiet, na których rozumie i sercu mężczyzna polegać może.

Weisz był człowiekiem uwielbianym przez wszyst-

kich Sasów. Uważano go za słup podpierający gmach ich interesów i swobód, otaczano go też czcią i miłością; nie było na jego charakterze żadnej skazy i tak Węgrzy, jak ci, z którymi go łączył węzeł plemienny, jednako go szanowali. Taką też miłością otaczał lud jego córkę i widział w niej odblask talentów i cnót ojca. Spartański duch mieszkał w tem delikatnem ciele kobiety i taką odznaczała się ona przytomnością umysłu, że nigdy strachu, tego czysto niewieściego uczucia, gdy działać trzeba było, nie znała. Umysł jej był tak inteligentnym, że każdy, kto z nią mówił, czuł, że go rozumie, że pojmuje myśli jego i zamiary, choćby najwyżej sięgające. Tak właśnie było z ojcem: były to dwie dusze, które się rozumiały.

Celesta kochała gorąco. Miłość jej była tak silną, że cała jej dusza należała do tego, który serce jej umiał zdobyć, bo też tak tylko mogła ona kochać. Ojciec jej wiedział, że w domu Weinrauchów bywał Ecsedi. Celesta donosiła mu o tem listownie; nie wiedział jednak, że dziewczyna kocha, nawet nie przypuszczał nic podobnego. Jakkolwiek nie miał on zamiaru sprzeciwić się skłonności serca córki, jednak dawno już istniało w nim życzenie, aby serce to posiadał młodzieniec, którego wysoce szanował, którego sam kształcił, Sewer. A długo on pokutował za gorące to uniesienie, które mu kazało skrzyżować miecz z Ecsedim; rana, leczona przez lekarkę z Köhalom, długo się nie goiła i dopiero po trzech tygodniach mógł na swe stanowisko do Hermansztadu powrócić.

Przed Celestą spotkanie Sewera z Ecsedim nie mogło pozostać tajemnicą, a skoro tylko wieść ją o tem doszła, zażądała od wuja, aby młodzieńca do domu sprowadził. Natychmiast uczyniono żądaniu jej zadość i Sewer przepędził najszcześniejsze może dni życia w pobliżu Celesty, która była dla niego tak tkliwa, tak dbała o jego zdrowie, jak siostra rodzona i zrodził się też teraz między nimi jakiś stosunek braterski. Mówili sobie już i dawniej po imieniu, bo

od dzieciństwa przywykli do tego wśród cicho i szczęśliwie pędzonych lat młodych pod jednym dachem, ale teraz zniknął między nimi wszelki przymus, który zaczął krępować Sewera, gdy wyrosłszy na młodzieńca, uczuł, że kocha tę, która dotąd jak siostrą dla niego była. Obecnie przecież usta jego rozwiązały się w połowie. Nie nie żądał, ale odkrył uczucia swoje, snadź, aby Celesta wiedziała, że ma obok poświęcone sobie i gorąco przywiązane do niej serce. Lecz gdy czasem rzucił jakie słowo o Ecsedim, Celesta milczała, nie chcąc słyszeć tego, coby Sewer mógł mówić o nim mniej przychylnie i w ten sposób zamykała rozmowę o przedmiocie, który ją bolał.

Na wiadomość o powrocie Weisza Celesta razem z wujostwem pośpieszyła do Kronsztadu, dokąd też i Sewer o jeden dzień wcześniej przybył.

Ciężko mu było opuścić Köhalm, gdzie był w cichy, łagodny sposób szczęśliwym. Przez dumę i szlachetne rycerskości uczucie ukrył, że bił się z Ecsedim; to też prócz Celesty, wszyscy inni wierzyli, że go napadli rozbójnicy i, że Ecsedi go od nich oswobodził; Sewer nikogo z błędu nie wyprowadzał. Nie chciał podstępnie walczyć z nieprzyjacielem, nie chciał zadać Celeście tej boleści, aby wiedziała, że Ecsedi postawił niemal nad grobem tego, który był jej miłym, jak brat. A postanowiła ona przypuścić ojca do najskrytszych tajników swej duszy. Z niecierpliwą radością oczekiwała sposobności do tego wyznania, i gdy tylko ojciec został z nią sam i rozmawiać poufnie zaczął, ona wyciągnęła ze wzruszeniem rękę do niego.

— Drogi ojcze! — rzekła, ale usta jej zadrżawszy, nie domówiły reszty.

— Cóż ci na sercu leży, dziecko ukochane, powiedz mi — zawołał Weisz. — Najlepszy przyjaciel, twój ojciec, stoi przed tobą.

Celesta otwarcie i szczerze opowiedziała mu wszystko o nowej znajomości i odkryła, jak kocha

Ecsediego, odmalowała ojcowi jego postać, jego cnoty i wady, jego charakter. Wreszcie usta jej dopowiedziały, że na związku z nim polega jej szczęście...

Na czoło Weisza wystąpiła zmarszczka, bo wszystkie jego marzenia zostały obalone. On tak przywykł widzieć w myślach swoich mężem Celesty Sewera, że nie przypuszczał nawet, aby inna miłość mogła się w piersi jej zapalić.

— Celesto! — rzekł poważnie i spokojnie — ty wiesz, że nie tylko kocham cię, jak córkę, ale też szanuję, jak przyjaciółkę. Wiesz, że nigdy sercu twojemu przymusu nie czynił. Zamiary me były inne; skoro jednak wybrałaś, pewnie wybrałaś dobrze. Jeżeli kochasz, kochasz pewnie człowieka godnego twojego serca. Ecsediego nigdy nie widział i, co szczególne, imię jego od ciebie usłyszałem poraz pierwszy; lecz nie wątpię, że ten, którego ty pokochałaś, musi być młodzieńcem wielkich zalet i człowiekiem honoru. Ale, dziecko drogie! i serce jest omylne, widzisz swego ukochanego tak, jak go miłość twa przedstawia, lecz pozwolisz ojcowi, aby spojrział na niego oczami rozsądku.

Kochająca dziewczyna zaczęła dokładniej jeszcze opisywać ojcowi drogiego jej młodzieńca, głos jej nigdy nie był tak dźwięczny i słodki, wyraz jej twarzy nie był nigdy tak anielsko tkliwy; opisywała Ecsediego takimi barwami, jakie tylko miłość w swej skarbnicy znaleźć może. Ecsedi był w tym opisie tylko zwierciadłem, w którym Celesta swoją własną duszę widziała: był podniosły, szlachetny, cnotliwy, mężny, łagodny, czuły, kochał gorąco!...

Weisz z uwagą słuchał mowy córki. Lecz z mężkiego jego czoła nie ustępowały zmarszczki, twarz mu pobraźla i wargi drżały. Zdawało mu się, że zna kogoś, co był podobny do tego opisu, i myśl ta ogromną siłą ciążyła mu na sercu.

Lecz dziewczyna mówiła z coraz większym za-

pałem, z coraz większą miłością, z coraz większym upojeniem.

— Może się mylę — mówił do siebie Weisz — może widmo jakieś przeszkadza mi cieszyć się szczęściem swego dziecka. Czemuż mam jej szczęście niszczyć niepewnem podejrzeniem?

Lecz wkrótce z ukrywanym niepokojem zapytał:

— Po oddaleniu się z okolic Köhalom, czy dał ci o sobie wiadomość?

— O tak, ojeze — odparła Celesta z promieniąjącym obliczem — niedawno miałam list od niego, a dziś właśnie drugi odebrałam.

— Dzisiaj?

— Tak, na kilka godzin przed przybyciem twem, ojeze. Dziwna to tylko rzecz, że jakaś kobieta oddała ten list jednemu z naszej czeladzi i odeszła zaraz.

— Nie rozumiem tego sposobu korespondencji — rzekł Weisz posępnie. — Czyś żądała, aby listy jego były przesyłane w tajemnicy?

— Nie... o nie! — odparła Celesta żywo i rumieniąc się — nie chcę kryć się z memi uczuciami.

— A w jaki sposób dostałaś list pierwszy?

— Umyślny posłaniec przyniósł go do Köhalom z Feherdaru.

— Czyś odpowiedziała na niego?

— Na pierwszy list tak, i oddałam go temu samemu posłańcowi, przez którego otrzymałam list Ecsediego.

— Czy masz te listy? — pytał w zamyśleniu ojciec.

— Oto jest dzisiejszy — odrzekła Celesta, zapłonawszy, bo były tu słowa pełne namiętnej tęsknoty rozkochanego młodzieńca.

— Niedługo to jest list jednak — rzekł Weisz, przypatrując się pismu z uwagą.

Charakter był mu zupełnie nieznamy. List zawierał tylko kilka wierszy.

— On zawsze tak pisze — rzekła. — List jego

jest gorący, lecz krótki, i widzę w tem dowód męskiej miłości. Pyta, czy kocham go jeszcze? Mówi, że sam kocha zawsze. Donosi, że w tych dniach go zobaczę. Czyż to nie dosyć?

— Zatem po trzech tygodniach macie się zobaczyć w Köhalom, dlaczego nie tutaj?

— Nie mógł on wiedzieć, że tu jestem, żem pośpieszyła do ciebie ojczel!

— Masz słusność, dziecko drogie. Niech ci Bóg da szczęście. Pamiętaj jednak, że mało znasz tego, którego kochasz.

— Wiem, że ojcu się będzie podobał. O, napewno się spodoba! — zawołała Celesta z żywością młodej, szczęśliwej dziewczyny.

— Córko moja! zdaje ci się, że wszyscy powinni na niego patrzeć twemi oczami.

Zastukano do drzwi i wszedł Sewer.

— Rada zebrała się — oznajmił.

Weisz pocałował córkę w czoło.

— Bóg z tobą! dziecko kochane — teraz spiesz się na ratusz, abym jutro rankiem mógł odjechać. Czy wszyscy już się zebrali? — dodał, zwracając się do Sewera.

— Wszyscy — brzmiała odpowiedź.

Weisz i Sewer oddalili się, lecz idąc rozmawiali, a była to poufna rozmowa.

— Będę miał dużo kłopotu z ludźmi i sprawami, które już nie mogą być odwleczone — rzekł Albinus Weisz, jak gdyby z troską na czole.

— Może wcześniej trzeba było zacząć? — dokończył.

— Czy nasz nowy szpieg jest rzeczywiście użyteczny? Co o nim myślisz, Sewerze?

— Od kiedy używam ludzi tego rodzaju, nie zdarzyło mi się widzieć równego mu, umie w tysiąc postaci się przedzierzgać. Gdybyś go widział dzisiaj przebranego za przekupkę!

— Taki człowiek właśnie nam potrzebny. —
Czy ma list od Nadanyego?

— Nie. Powiada, że pisać jest w takich rzeczach nierozsądkiem. Jego pamięć istotnie zadziwiająca, i słowa jego więcej mogą objaśnić niż sto listów. Chłopak bardzo oryginalny. Miał od Nadanyego wiadomość.

— Czy jest w blizkiem otoczeniu księcia?

— O, w bardzo blizkiem! ksiązę sam go używa.

— Jak każdy szpieg, jest to zawsze łotr, który na dwie strony działa. Trzeba go tylko w części do tajemnic naszych przypuszczać. Czy lubi pieniądze?

— Jak sądzę, jest bardzo cheiwy.

— To dobrze. Na nieszczęście, w obecnych okolicznościach tylko takiego łotra użyć możemy, bo potrzebujemy go koniecznie. Czy jest bardzo nieprzyjrzalny księciu?

— Księcia, zdaje się, że nie lubi, bo jest na niego obrażony; dumny to człowiek, a ksiązę obchodzi się z nim lekceważąco. Imrefiego, Kamuly'ego nienawidzi; jest to żywa kronika ich zbrodni. Będziesz go podziwiał, panie.

— Chciałbym tylko wiedzieć to, co dotyczy Sasów—rzekł Weisz poważnie.—Plotki dworskie nie obchodzą mnie. Pragnę też przyzwyczaić tego człowieka, aby donosił mi tylko o rzeczach ważnych i koniecznych, i nie mieszał do tego nowinek.

Właśnie weszli do bramy radnego domu i milcząc wstępowali na schody.

— Tam wszystko, o czem mówiliśmy — rzekł Weisz, zachowaj w tajemnicy nawet dla najbardziej zaufanych. Mamy powody ukrywania się.

Sawer podał mu rękę i dwaj ci ludzie zrozumieli się: weszli razem do izby radnej, gdzie miejsca swoje zajęli i gdzie rozpoczęły się rozprawy. Nie wyobrażamy sobie ówczesnego Siedmiogrodu takim, jakim jest dziś. Siedmiogród jest dziś obszerną prowincją Węgier, interesa jego łączą się ściśle z interesa-

mi państwa, bo w naszym stuleciu zniknęły po największej części te interesy pojedynczych rodów i miast, które niegdyś były powodem ciągłych rozruchów.

Nazajutrz o świcie Weisz z posłem mołdawskim skierował się w stronę Feherwaru.

ROZDZIAŁ X.

Okropności nocy.

Droga moja! gdybym był królem oddałbym państwo,
I tron mój, i berło, i lud, co kłęczy przedemną,
I purpurowe pałace, i moją złotą koronę,
I okręty wojenne, co po morzu płyną

 Za jedno twe spojrzenie!

Gdybym był Bogiem! powietrze dałbym i ziemię,
Chór demonów i aniołów, pochylonych przedemną,
Oddałbym wieczność, która nad chaosem stoi,
Oddałbym niebo i morze, i niebieskie światła
Za jeden twój pocałunek!

Wiktor Hugo.

Weisz, przybywszy do Fehervaru, znalazł tam wiele rzeczy nie w takim stanie, jakby sobie życzył. Mówiono, że księżę przyjął go bardzo łaskawie, lecz zimno.

Posel mołdawski przywiózł prośby o pokój i bogate dary, ale nie przywiózł 8,000 florenów. Batory, wbrew wszelkim prawom międzynarodowym, posła w więzieniu osadził. Tylko Weisz i Gabryel Betlen, który na krótki czas do Siedmiogrodu z Węgier powrócił, błagali go, aby tego nie czynił. Stało się to wskutek rad Imrefiego, który twierdził, że gdy Raduł pozwala sobie lekceważyć swoje zobowiązania względem księcia, tedy słabością byłoby posła jego puścić swobodnie, dodając, że przy dworze tureckim, któremu Raduł podlegał, nieraz już tak samo postępowano,

zatem rzecz ta nie będzie dla wojewody moldawskiego bezprzykładną.

Może jeszcze rok temu Batory nie uległby tak łatwo poduszczeniom ludzi chytrych, ale teraz potrafili go już tak opleść siecią intryg, tak opanowali jego umysł, że pod ich wpływem gotów był on do czynów najbardziej samowolnych.

Weisz w Fehervarze dowiadywał się o Ecsediego, ale większość obecnych mówiła mu, że nie znają tego rycerza, gdy inni ze szczególnym wyrazem twarzy odpowiadali pytającemu, że Ecsedi gdzieś pojechał, że go niema obecnie w Fehervarze i Weisz niezadowolony opuścił to miasto, uprosiwszy wprawdzie Batorego, ażeby zjechał na pewien czas do Kronsztadtu. Może chciał go wyrwać ze szponów nędznych pochlebców, bo właśnie za bytności jego w Fehervarze zdarzył się wypadek bardzo smutny, który złe światło rzucał na młodego władcę. Mówiono, że nie był zupełnie trzeźwy, gdy się go dopuścił, a przynajmniej, że mu dodano odwagi do szalonego kroku, podsuwając kielichy z ognistym tokajem, który dolał oliwy do ognia. Jednego dnia Batory pojechał w odwiedzinę do Stefanowej Kendy, a że właśnie nie było w domu jej męża, sama musiała księcia przyjąć i ugaszczać. Dwie godziny tam bawił i wieczór to już był dość późny, gdy na wieży pałacu Kendich zabrzmiał nagle dzwon alarmu. W owej epoce każdy dom narażony był na różne—prócz ognia—niebezpieczeństwa, i ztąd bywał zaopatrzony w dzwon, od którego długi i mocny sznur spuszczał się aż do dolnych komnat i w niespodzianych a groźnych wypadkach budzono jego dźwiękiem służbę w całym domu, bo rozbrzmiewał tak głośno, jak to było jego przeznaczeniem; otóż w czasie wizyty księcia dzwon taki zabrzmiał nagle i służba cała zbiegła się w oka mgnieniu do pani.

Księżę był tam jeszcze, blady i, jak się zdawało ludziom, zmieszany, gdy twarz Kendiowej była przeciwnie w płomieniach. Ale gdy stary marszałek dworu

wszedł do izby bawialnej, gdzie znajdowała się pani razem z dostojnym gościem, i stanął na progu, zostawiając resztę sług za drzwiami, nie znalazł tam nic przestraszającego. Kobieta stała obok stołu wyprostowana i dumna, z podniesioną głową.

— Ambroży!—rzekła do wchodzącego. — Książę nasz i pan zwątpił, aby służba moja zawsze gotowa była na moje rozkazy, gdy męża mego nie ma w domu, chciałam więc przekonać go o tem.

— Wasza książęca mość widzi—dodała—że Stefanowa Kendi ma dość siły ducha i dość ramion do obrony w razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa i nie jest bezbronną nawet wówczas, gdy jest w domu samotną...

— Rzeczywiście — rzekł Batory nie bez pewnej ostrej goryczy w głosie. — Czeladź pani zna służbę, i nie wątpię, że na jej wierności zawsze polegać można, jakkolwiek czasy są spokojne i nikomu z poddanych moich nie grozić nie może.

— Mości marszałku — dodał, zwracając się do starca i dając mu garść dukatów—oto nagroda za twą wierność.

— Jego książęca mość chce się oddalić—ozwała się Kendiowa do marszałka — niech więc szpaler służby utworzy się na jego drodze, a mnie niech wolno będzie odprowadzić go do drzwi domu...

Jak rzekła, tak uczyniła, towarzyszyła księciu do drzwi ostatnich i pożegnała głębokim ukłonem. Służba cała, wyjąwszy może Ambrozego, uważała wypadek za zupełnie naturalny i cieszyła się, że książę wie, jak w domu Kendich sprężystość prowadzone są rzady. Ale byli tacy, którzy wierzyć temu nie chcieli. Szeptano, że książę miał się odezwać słowem bardzo śmiałym do pani domu, która przyjmowała go z należytym panującemu szacunkiem, ale bez słodkich uśmiechów i miłych słówek, co obraziło Batorego.

— Gdybym chciał, byłabyś pani każdej chwili

w mocy mojej — miał się odezwać.—Porwałbym cię i zawiózł, gdziebym chciał, bo mąż twój nie może wiecnie być przy tobie...

Lecz ona miała potrząsnąć wyniośle głową.

— Wasza książęca mość się myli—odparła.—Na zawołanie waszej książęcej mości, na jej rozkaz wszystkie drzwi domu naszego są otwarte; ale nikt nie mógłby się dostać do mnie bez woli mojej, i mogę pokazać waszej książęcej mości, jaką to twierdzą jest dom mego małżonka.

Wtedy to pociągnęła gruby sznur jedwabny, który się spuszczał od sufitu, a nazajutrz rano skoro świt wyjechała z Fehervaru.

Nie było już tu i Kornisów, tak, jak nie było już Betlenów. Kornisowie pojechali do dóbr swoich w ziemi Szeklerów, gdzie w wielkiej włości, w Hemorod-Szet-Pal, zamieszkali wspaniały pałac Udwerhely.

Jednym z najznakomitszych zamków był Udvarhely, który w epoce naszego opowiadania już postarzał się od zębów czasu, ale był po większej części mieszkalny. Fundamenty jego trzymały się mocno, a wieżycy zwracały się ku północy. Wojewoda Stefan Batory zaczął go budować w r. 1403, ale dopiero Zapolya ukończył go w r. 1562. Za czasów Krzysztofa Batorego nazwano go Udvarhely.

Zamku udvarhelyskiego kasztelanem w czasie naszego opowiadania był Baltazar Kornis. Kroniki twierdzą, że Zygmunt Batory dał go w zastaw ojcu Kornisowej. Rzecz ta może być wiarogodną, gdyż Zygmunt znajdował się często w potrzebie pieniężnej.

Tu, przybyli Kornisowie z Fehervaru. O ile dostojną, dumną i czczoną była Kornisowa na dworze, o tyle miłą, szczerą i gościnną w domu. Rzadko była samą, ponieważ szlachta z okolicy chętnie tu żejeżdżała, a w domu Kornisów panował dostatek, jakkolwiek nie był to zbytek, który rządzi się zasadą, że lej... rozlej! jest dopiero cechą bogactwa i gościnności.

Tu wśród rozkoszy życia domowego, zapomniane

zostały smutne wypadki fehervarskie. Piękna Jadwiga była tak zawsze wesołą i na dawny sposób miłą, że mąż powoli o wszystkim zapominał, a i ona sama patrzyła na obrazy tych smutnych wspomnień, jak na rzeczy dalekie, ukazujące się już tylko przez mgłę, w niepewnych, bladych kolorach. Kto wie, czy książkę nie chciał tylko żartować — mówiła sobie — lecz jeżeli rozsądek ostrzegał ją, że takich rzeczy nikt się żartem nie dopuszcza, mówiła sobie, że kaprys to był chwili jednej, zapomniany, gdy minęła! Nieraz też zapytywała siebie, czy nie za surowo obeszła się z Martą?

Kornis, na krótko tylko dom opuszczając, po większej części obok żony przebywał. Nieraz siadawali wieczorem na górnej wieży starego zamku, lub przebywali w której ciepłej, obszernej komnacie dolnej, a serca ich otwierały się wtedy przed sobą, jak zwykle u ludzi, którzy się kochają głęboką a równą w obu sercach miłością. Kornis, nie czując już księcia w pobliżu, spokojny był i szczęśliwy na dawny sposób, to jest wierzący, że jutro rano słońce wejdzie na niebo tak jasno i wesoło, jak teraz spokojnie i cicho zachodzi, a gdy usta jego dały ukochanej kobiecie pocałunek dobrej nocy, oczy jego zamykały się spokojnie. Tak bywało z dnia na dzień, lecz nie tak było wieczorem dnia pewnego, który przyszedł orzeźwić i uspić ziemię po dniu bardzo upalnym; ciemność zwolna zstępowała na ciche doliny, otaczające zamek Udvarhely. Słabe światła na murach tu i owdzie rozpędzają cienie i tylko gwiazdy, te wieczorne lampy niebios lśnią srebrnymi blaskami nad uspioną ziemią. Zdała na szczytach gór ciemniejszą lasy dębów i buków. Naprzeciw nich wznosi się potężna twierdza zamkowa, z licznymi wieżycami i bastyonami. W niektórych oknach widać światło, odbijające się luną złotą w błękitnych falach jeziora Kükühlö, nad którego brzegami rozciągało się miasteczko.

Wszystko już wkoło śpi, lecz bezludną ulicą

miasta idzie jakiś człowiek wysoki. U bramy niektórych domów staje i uderza włócznią o ziemię. Na ten znak milkną wszelkie tam głosy, choćby to były dźwięki wesółych śpiewów i głośnie w rodzinnych kołach rozmowy. Postępował tak spokojnie i regularnie, gdy z cieniów ulicy wystąpiła druga postać ludzka i w podobny sposób zaczęła postępować — drugi jakiś dziwny stróż nocny szedł w kierunku przeciwnym na spotkanie pierwszego.

Gdy dwaj ci ludzie, cieniami nocy okryci, byli już blisko siebie, na wieżycze kaplicy udvarhelskiej zabrzmiał dzwon i dały się słyszeć poważne dźwięki modlitwy:

De profundis clamavi ad te, Domine!
Domine exaudi vocem meam!

Teraz ci dwaj stali już około siebie.

— Andorias! — zapytał jeden przyciszonym głosem.

— Słucham, kumie! — rzekł drugi.

— W kaplicy mnichy modlą się jeszcze. Patrz, w oknach Kornisowej świeci się lampa.

Karczma była w pobliżu i ztamtąd ozwał się nagle głos:

— Wina! wina! — wołano i jeden z rozweselonych biesiadników śpiewać zaczął zabawną piosenkę szeklerską:

Wpadł pan sędzia do strumienia,
I w piskorza się zamienia.
A gdy wyszło dno strumyka,
Złowili go do koszyka!

A z kaplicy zamkowej nanowo dał się słyszeć głos kapłański:

In te, Domine, speravi,
Non confundar in aeternum!

Dwaj strażnicy zdjęli czapki i przeżegnali się; ich proste serca były wzruszone, a ich usta zaczęły szeptać modlitwę.

W karczmie wesoły śpiewak ciągnął dalej swoją szaloną piosekę:

Bela wiódł na jarmark konia,
Lecz w bagniste zapadł błonia.
Z błota będzie twarda skała,
Z konia mydła góra cała!...

Umilkło na moment tylko i znów ozwał się śpiew.

Świnia trawę gryzie w rowie,
Endre bije dziurę w głowie.
Endre pójdzie na Szeklera,
Kucharz świński szmalec zbiera!...

W karczmie wzmogła się wrzawa głosów, gorętszych niż poprzednio. Krzyczano i klęto, bo kłóccono się i była bójka. Nagle drzwi karczmy otworzyły się i wyleciał z nich, jak z procy, młody, zwinny chłopak z czapką w ręce, z zaciśniętą pięścią drugą i kłął zapalczywie.

Uciekający, wymijając kałuże uliczne, spotkał się z dwoma strażnikami, którzy stali na miejscu, patrząc w stronę karczmy; przybysz chwilę milczał, na twarz wystąpił mu pewien wyraz śmiesznej dumy; czapkę otrząsnął z kurzu powoli, wreszcie zawołał:

— Te bestye szeklery nie umieją szanować uczciwego człowieka! Najładniejszą pieśń im śpiewałem! Myślę, że długo znów czekać będą na takiego drugiego, jak ja.

— Coś wasan za jeden? — krzyknął ze swego kąta Andorias.

— Człowiek. Cóż to za zuchwalstwo pytać o to?...

— Czego tu chcesz? Chodź do ratusza. U nas na włóczęgów są mocne postronki.

— Cicho, bracie! Jestem posłany od jednego wielmożnego pana do jaśnie oświeconego Baltazara Kornisa. Powiedz mi, bracie, którądy wiedzie najbliższa droga do zamku?

— Tam między domki idź wasan na lewo, tam dostaniesz się na najkrótszą, boczną drożynę. Widzisz, jak bieleje przez łąki!

— Warto jest dać na wino za taką dobrą radę, która oszczędza idącemu butów—ozwał się drugi strażnik ze swego stanowiska.

Odpowiedzi nie było, tylko nowe pytanie:

— Musi już być późno?

— W każdym razie pić wino jeszcze można — rzekł Andorias, upominając się znów o nagrodę za swoje objaśnienia. Widząc jednak, że to nie skutkuje, dodał:—Idź wasan z Bogiem! księża na zamku już nie śpiewają. Dziesiąta minęła.

Obcy chwilę myślał, szedł tuż za Andoriasem, lecz oglądał się wokoło, jak ktoś, co nie chce, żeby go widziano—i zniknął w ciemnościach.

Wkrótce potem z karczmy zaczęli wychodzić zapóźnieni biesiadnicy — szli do domów, jak kto mógł, nie jeden mocniej pijany, przespał się pod murem, nie trafiwszy do domu.

Strażnicy pozostali sami i otoczyła ich cisza.

W kilka chwil potem dał się słyszeć tętent koni i zjawili się nagle dwaj rycerze, odziani w fałdziste płaszcze; z ciemnego kąta ulicy wysunął się na ich spotkanie jakiś drab.

— Jestem tu, już nie mały czas—rzekł.

— Trzeba jechać cicho, bracie, lud jeszcze nie śpi.



Piękna pani zamku udvarhelskiego była smutniejsza, niż zwykle, dlatego, że mąż, wezwany bardzo nagłym rozkazem księcia, musiał jechać tego wie-

czora do Hermanstadtu, aby złamać opór Sasów i odebrać od nich podatki na wojnę przeciw wojewodzie wołoskiemu; a może też dziwne, tęskne przecucie ścisnęło jej serce. Prosiła męża, aby nazajutrz rano odjechał. Kornis sam był smutny i niespokojny. Czy rozkaz księcia jego pomieszenie spowodował, czy też inny list — gdyż Kornis tego dnia kilka listów z Fehherwaru otrzymał — nie wiemy; ale nie można było zmienić postanowienia i o pierwszych gwiazdach oddalił się; pożegnawszy męża, Kornisowa nie miała dziś chęci spać. Czytała więc ze starym księdzem z pięknie oprawnej, złotem i drogiemi kamieniami ozdobnej Biblii.

Podniosłe a proste wyrazy świętej księgi rozrzewniały i uspokajały duszę samotnej kobiety. Z cichą powagą spoglądała przed siebie, w oczach błysnęła łza, a wargi szeptały modlitwę.

W końcu braciszek zakonny oddalił się.

Kornisowa, włożywszy lekką szatę nocną, cicho przeszła do sypialni. Około godziny pierwszej po północy sen zaczął zamykać jej źrenice. Zaraz w drugiej komnacie spała wierna służąca, lecz reszta służby była daleko. Nad łóżem Jadwigi zwieszał się szeroki baldachim; w bliskości okna paliła się lampka nocna, zasnęła więc otulona ciszą i półcieniem, tylko na murach zamkowych słychać było kroki nocnego stróża. Nagle około godziny drugiej służąca się przebudziła. Zdawało jej się, że pod drzwiami słyszy jakieś kroki i szepty. Trochę przestraszona, wnet przyśzła do siebie, przypomniawszy sobie, że nieraz już przybywali o tak późnej godzinie goście z sąsiedztwa, lub ze stron dalszych. Mężnie więc ruszyła się z miejsca, zbliżyła się do drzwi i zawołała:

— Kto tam?!

— Cicho—odpowiedział głos nieznan. — Nie lękaj się, mości Klaro. W zamku jest pożar.

Kobieta się przestraszyła i krzyknęła.

— Cicho!—powtórzył głos.—Otwórz drzwi, lecz spokojnie, aby się pani nasza nie przestraszyła.

Kobieta nie ruszyła się z miejsca, nie dlatego, aby lękała się drzwi otworzyć, ale że przestraszyła się okropnej wieści o pożarze w zamku.

— Czy nie lepiej obudzić panią? — zapytała cicho.

— Nie! — odpowiedziano ostro. — Tylko prędzej otwórz. Ogień się rozszerza.

Drzwi zostały otwarte, przed osłupiałą kobietą stanęli dwaj nieznanzi ludzie. Jeden był wysoki, silny, drugi szczuplejszy i niższy. Za nimi stał sługa w domowych barwach, z otwartymi ustami, cały drżący.

— Sza... ani słowa! albo umrzesz...—rzekł wyższy z obcych przybyszy, kierując ku wylęknionej łufę pistoletu.

— Wiąż ją i wyprowadź ztąd — rozkazywał dalej, zwracając się do towarzysza.—Ty zaś—rzekł do sługi—stój tam na straży i bacz, aby jaki nieprzewidziany wypadek nie miał miejsca.

I rzucił mu do ręki woreczek z pieniędzmi.

Nim się to stało i niższy z dwóch obcych związał sługę, Jadwiga Kornisowa zbudziła się i przestraszona zawołała:

— Klaro!

W tej chwili oddalili się wszyscy. Wyższy widocznie pan, co tu rozkazywał, zamknął za nimi drzwi i schował klucz w zanadrze. Jadwiga wydała okrzyk przerażenia, bo w migającym świetle nocnej lampki poznała Gabryela Batorego.

Dawno już zbudzona, słyszała szepty, rozmowę i otwieranie drzwi. Przestraszona, zeskoczyła z łoża i narzuciła długą ciemną suknię poranną; tak zastała piękną kobietę Batory, gdy wchodził do jej sypialni.

Żadne pióro nie zdoła opisać przestachu nieszczęśliwej. Przedewszystkiem podniosła rękę i wcho-

dzącemu drzwi wskazała; twarz jej wyrażała oburzenie i gniew obrażonej dumy niewieściej.

Batory miał na sobie lekki, kamlotowy, zielony dołman z dyamentowemi guzikami; kołnierz był niezapięty i pokazywał piękną, białą szyję, na twarzy jego był wyraz pewnego podziwu i zawstydzienia wobec godności i imponującej postaci pani domu, który naszedł.

Zbliżył się jednak do niej, a ona nieszczęsna szukała oczyma drogi ratunku.

W pierwszej chwili przerażona była tak, jak nigdy w życiu. Lecz wnet myśleć zaczęła o sposobach ratunku. Ujrzawszy pistolety męża, zawieszzone na ścianie, chciała je porwać, lecz przypomniała sobie, że nie nabite; wtedy chciała dostać nóż, który leżał na stoliku w drugim końcu pokoju i skierowała się w tę stronę, jednocześnie wzywając służby.

Lecz Batory ją wstrzymał i ujął silną ręką.

— Jadwigo — szepnął. — Pocóż te wołania, pocóż te bezpożyteczne wysiłki? Najczarowniejsza, najrozumniejsza, najśłodsza kobieto, co czynisz? Czy chcesz, abym u twych stóp przysięgał ci tę płomienną miłość, o której upewnić ci mogę najlepiej tem, że wszystkie zawady zламаłem i tu doszedłem, dokąd ledwieby kto wejść się ośmielił?

— Oddal się, wyjdź ztąd, nędzniku! którego z całego serca nienawidzę! — zawołała Jadwiga.

— Jadwigo! jedno słowo tylko! — zawołał Batory prawie lękliwie. — To nie jest napad bezrozumny, jestem tu, aby ci wyznać swoją miłość, która cię chce uczynić księżną i panią tej całej krainy. Błagam cię o jedno tylko słowo! Uspokój się na chwilę, na jedno oka mgnienie. Spójrzj na mnie bez gniewu. Życie moje razem z koroną składam u twych stóp i z tryumfalną radością uwiozę cię, jako przyszlą małżonkę moją. Rozwód — to moja rzecz... Niechaj się kto ośmieli oderwać łagodną gołębicę od królewskiego orła! Jadwigo, powiedz, co masz przeciw mnie? Ko-

cham, jak nie umie kochać tamten zimny człowiek, którego prześlągam potem. Uczynię go pierwszym po sobie i musi odstąpić mi ciebie! O, bądź moją, bądź moją, niebianko! O! pójdę walczyć z całym światem o ciebie!

Gdy Batory to mówił, ona tymczasem cofała się zwolna wstecz i w taki sposób doszli do stolika, na którym leżał nóż.

— Niech Wasza Książęca Mość cofnie się, niech Wasza Książęca Mość opuści tę komnatę, ten zamek, gdzie w nieobecności jego pana nie przyjmuje się gości.

Ale Batory nie cofnął się, coraz goręcej mówił o swojej miłości, o przyszłości, jaką ta miłość stworzy wybranej kobiecie. Mając ją przy boku swoim, stanie się mężnym, jak nikt jeszcze na świecie, i zwyciężkim, jak ci męże starożytni, którzy w proch zburzyli mury Troi.

Mówił, mówił, potoki słów namiętnych płynęły mu z ust, a gdy kobieta blada, z pałającymi oczyma milczała jak posąg, jego zdjął razem gniew i żal.

— Milczysz...—zawołał—nie masz dla mnie ani jednego słowa odpowiedzi!... Ale wiem, co cię dotyka, co dumę twoją obraża, żem się tu wdartł wśród nocy, jak zbójca i łupieżca. Ale jam ci chciał uławić drogę, o ukochana. Serce twe dobre i tklive nie dałoby ci zerwać więzów, które cię dzielą ode mnie, które cię przykuwają do człowieka nie dość cię godnego... Tron mój...

— Cicho, panie!—krzyknęła Jadwiga.—Tamtego, któremu przysięgałam przed ołtarzem Boga, którego wybrałam dobrowolnie, tamtego nie opuszczę nigdy.

— Musisz...

— Nie, nie muszę. Jest węzeł, którego nikt i nie nie zrywa — ja go Kocham. Kocham męża tak, jak ciebie nienawidzę, panie, jak nienawidzić będę zawsze...

Kornisowa już wtedy trzymała w ręku nóż. Zbladła jeszcze silniej, niż poprzednio, ale oczy jej silniej świeciły.

— Boże! — zawołała — pochwalonem niech będzie imię Twoje! Ciężka to próba, lecz taka jest wola Twoja...

Wtedy podniosła nóż w górę. Czy go miała skierować ku piersi swojej, czy wbić między fałdy dołmana Batorego?

W tej okropnej chwili otworzyły się drzwi boczne. Batory tego nie słyszał, bo chciał wydrzeć nóż z rąk kobiety. Nie widział, że oto wszedł Baltazar Kornis i z nim kilku ludzi zbrojnych.

— Stań przy mnie, Jadwigo! — zawołał wtedy Batory, podniósłszy z ziemi nóż, który puściła teraz Jadwiga — nie lękaj się! ja ciebie bronię. Słuchaj mnie, kasztelanie udvarhelski, i wy, co ośmielacie się wejść tu i niewołani jawić się przed obliczem waszego księcia, słuchajcie: Nie Baltazarowa Kornis, ale Gabryelowa Batory stoi przed wami!

Tymczasem Kornisowa z wyciągniętymi rękami, jak gołębica śpiesząca do swego gniazda, padła do nóg męża; z godnością obrażonych uczuć kobiecego wstydu, z boleścią i łkaniem, wpatrzyła się w jego oblicze. Czyżby się lękała? Czyżby miała nie być pewną, że nie opuści on jej, nie sprzeda za godności żadne? W tej chwili była czarująco piękną.

— Jestem niewinna! — zawołała — ten człowiek wszedł tu gwałtem.

— Nie u nóg mych twe miejsce — rzekł dumnie mąż. — Stań przy mnie, żono moja, moja wierna i uczciwa towarzyszko. Żadne słowo obrazy nie wyjdzie z ust moich. Tyś jest tak moja, jak moją byłaś dotąd — to już wszystko, com miał ci powiedzieć. Przebóg! — mówił dalej z sarkazmem — sługi mojej nie podejrzewałbym o miłość dla takiego człowieka.

Mówiąc to, Kornis wyjął miecz z pochwy i przy-

glądał mu się uważnie, podczas gdy w piersi jego wrzała walka uczuć najdzikszych.

— Nędzny szpiegu! — zawołał Batory — obrażasz majestat mój książęcy tak, że to się karze śmiercią tylko! Śledziłeś kroki moje milezkiem, niegodny spiskowcze! Kto ty jesteś, że śmiesz tak mówić, jak przed chwilą, do Gabryela Batorego? Własnej twej służbie rozkażę cię związać — dodał z wściekłością w oczach, patrząc wokoło. — O chciałbym widzieć zuchwalca, któryby rozkazy moje pozwolił sobie lekceważyć!

— Sam jesteś spiskowcem przeciw godności księcia Siedmiogrodu, znikczemniały potomku tego dumnego rodu, który w Stefanie podniósł się do najwyższej sławy, a później tak się coraz niżej osuwał, aż w tobie zrodził chorego, nędznego awanturnika! Choćbym nie słyszał słów żony, to i tak wiedziałbym prawdę! Nie jak książę wszedłeś do mego domu, gdzie gościnne, niepodejrzliwe serce Węgry znalazłoby miejsce dla ciebie; podkradłeś się jak złodziej, jak zbójca, jak drugi Zygmunt, okrutnik i przeniwierca, który złamał złożone narodowi swemu przysięgi. Dom węgierski, to święta dla uczciwych ludzi twierdza, a tyś tu wszedł w nocy podstępem, który wiodła zbrodnia. Ale czy wiesz, coś uczynił? Idź wolny, puszczam cię, tylko oddal się prędko. Ale jeśli jest coś rycerskiej duszy w tobie, stańmy: mąż przeciwko mężowi, miecz naprzeciwko miecza! Żądam sądu Bożego — chcę się bić z tobą.

Batory gniewnem okiem spoglądał wokoło. Nie znać było na jego twarzy ani śladu strachu, malował się na niej raczej wstyd z powodu dziwnej roli, jaką grać był zmuszony. Gabryel Batory, ten Batory, który w Köhalm walczył z synem mieszczkańskim, który rycerskie życzenia tego młodzieńca tak chętnie wypełniał, zniknął; teraz pozostał rozgniewany tyran, dla którego nie masz nic świętego.

— Milczeć! — zawołał wyniosłe. — Miej książę

żęcą koronę na głowie, a będę walczył z tobą. Ale tyś jest majestatu bluźnierca, którego czeka szubienica.

— Nieba!—krzyknęła Jadwiga.

— O, nie lękaj się, droga! Ten człowiek słowami swemi nie szańbi mnie. On niechaj drży przed krwawą zemstą Siedmiogrodzian.

W tej chwili zastukano w drzwi ostatnie, które Gabryel sam zanknął; Dimon i drugi towarzysz księcia chcieli je wyłamać, lecz Batory sam otworzył,

Gdy weszli, wskazał na Kornisa, zwracając się zarówno do Kornisa, jak do służby, która też weszła teraz.

— Wiążcie tego zuchwalca!—zawołał.—My, Gabryel Batory, książę Siedmiogrodu, pan części Węgier, rozkazujemy wam wiązać tego człowieka, jako winnego głowy.

Dumna postawa i bezwzględny rozkaz księcia spowodowały ruch wśród nędznej czeladzi. Jak się zdawało, gotowi oni byli rozkazu posłuchać.

— Głowy wasze spadną, jeżeli nie posłuchacie!—zawołał jeszcze namiętniej Batory.

— Wiązać go!—krzyknął i krokiem postąpił ku Kornisowi.

— Jadwigo!—zawołał porywczy Baltazar, wyciągając rękę do żony i otwierając drzwi przed nią. — Śpiesz! koń stoi na dole. Ja z tobą jadę.

Ona przestraszona, cała drżąca, śpiesznie schodziła, oglądając się przecież po za siebie, czy mąż za nią idzie.

Kornis trzymał nad głową miecz.

— Precz, nędznicy — wołał — wy, którzyście chleb mój jedli, a teraz śmieliście słuchać rozkazów napastnika i wyciągaliście już rękę ku waszemu panu! Precz, komu życie miłe—i mieczem torując sobie drogę wśród przestraszonej gromady sług, która w duszy rada go była puścić i rozstępowała się teraz przed nim, wyszedł.

W miasteczku ludzie pobudzili się niezwykłym wśród nocy hałasem i dziką wrzawą. Zakonnicy wybiegli ze swych celek i przez wązkie okno klasztorne na gościniec patrzyli. Czeladź i inni mieszkańcy zamku zbiegli się także.

Dwa konie stały u schodów. Przestraszone niezwykłym hałasem, rżały niecierpliwie i biły ziemię kopytami.

Kornis i Jadwiga szybko wskoczyli na ich grzbiet i uszli z jednym tylko sługą, dawnym towarzyszem wędrowek Baltazara.

* * *

Aż pod zamek Udwarhely podsunęli się dwaj nocni strażnicy i zdumieni patrzyli na siebie.

— Andorias!—zawołał jeden—czy widzisz?

— Gegö, i cóż to jest?—odparł drugi.

— Słyszę tętent koni.

— I ja też słyszę. Niedobrzy to byli ludzie ci jeźdźcy, co weszli do zamku. Daję moją bułaną klacz, dwie kozy i moje babo ¹⁾, że podłożyli ogień pod zamek.

— Kumie!—zawołał nagle Andorias zdumiony.— Spojrzyj tam w górę.

Gegö spojrział w górę, a twarz jego wyraziła przestрах i osłupienie.

— Kumie!—zawołał—góra rośnie.

Rzeczywiście, mgły otaczające wierzchołki, kazały mniemać, że góra się podnosi.

Sine szczyty, oświetlone blademi promieniami jutrzni porannej, wyłaniały się z mroku ciche i nieruchome. Nagle od dołu dał się słyszeć głuchy szum i niebo pokryły ciemne chmury, czarne, ciężkie, ołowiane, nieprzeniknioną mgłą pokryły śnieżne wierz-

¹⁾ Płaszcz szeklerski.

chołki, szalony wichur wył wściekle, jakby chciał poderwać fundamenty gór, które jęczały głucho. Tego dnia nie widać było wschodu słońca, ani słysząc śpiewu porannych ptasząt. Czarny tuman spadł na nie i przykrył wszystko, jak płaszcz jakiś okropny.

Lud miejski, zbudzony wcześniej niż zwykle i przerażony jakimś przecuciem, biegał po ulicach, wołając, że nadchodzi dzień Sądu ostatecznego. W tej chwili Kornis razem z żoną wpadli na spienionych rumakach w ulice miasta i jak wiatr przelecieli.

CZĘŚĆ DRUGA.

ROZDZIAŁ I.

Żarty książęce.

...Wybuch iskier, wesołość
Krew burzy w żyłach młodocianego wieku
Szekspir.

— Szarańcza! szarańcza! — brzmiało ze wszystkich stron. Niezliczoną chmurą leciała ta straszliwa, niszcząca armia, niby morze huczące na wysokościach, czarnym jak zaraza obłokiem zakrywając niebiosa. Ostry, przykry brzęk ich skrzydeł napełnił powietrze. Nagle czarny tuman zaczął się zniżać, i pojedyncze owady osiadły na zielonych drzew gałęziach. Szarańcza opanowała góry, doliny, łąki, wioski, oblażyła ramiona ludzkie, zajęła dachy domostw, skacząc z jednego na drugi. W dwie godziny potem dolina Udvarhelska była podobną do pustyni Arabskiej. Nie zieleńiła się trawa, bezlistne drzewa ponuro trzęsły czarnymi gałęziami—wszystko było zniszczone!

Niby obłok śmierci, huczący głucho, przynosiły się z miejsca na miejsce, zaspakajały żar-

łocznie swój głód zbrodniczy, te pełzające i skaczące szeregi.

Śród tego szumu, przez stłoczony i osłupiały lud przerywali się ludzie Batorego, którzy, jak się zdaje, byli ukryci niedaleko w zaułku. Dimon był ich przewodnikiem; lecz śród ogólnego zamieszania nikt nie zdołał odkryć śladów Kornisa, bo ludność, zbudzona niespodzianie ze snu, biegająca tu i owdzie dla ratowania dobytku swego, wydeptała wszystkie drogi i drożyny, stratowała je, jak przeciągająca armia.

Kornis wyjeżdżał pośpiesznie, a pierwszą jego myślą było udać się do Homorod-Szent-Pal; lecz później zamiar zmienił i tak dobrze umiał ślad drogi swój zatrzeć, że książę, mimo wszelkich starań, nie wiedział, gdzie go szukać.

Zamożny ród Geczów posiadał na górach Lota zamek Letaivar, o cztery godziny drogi oddalony od Kolosvaru; leżał on w malowniczej dolinie, której kotlina dziś jeszcze jest jedną z najżyźniejszych miejscowości Siedmiogrodu. Otaczają ją urwiste góry, pokryte ciemnym lasem wysokich drzew jodłowych, które niby olbrzymie mury wznoszą się ku niebu. Wśród doliny na skalistym wzgórzu stał mały obronny zameczek, do którego prowadziła tylko kręta piesza droga przez gęste laski jodłowe. U stóp zameczku szumi ciche zwierciadło wód rzeki Jary, tak kryształowe, tak przezroczyste, że widać na dnie jej każdy kamyk i każdą muszelkę. Tysiące barwnych pstrągów i szczupaków igra w tych falach, a toń srebrzysto odbija czarnie zieleń trzciny i traw nadbrzeżnych.

Tu było pierwsze ukrycie się Kornisa, znane tylko Szilasiemu, Geczim i Kendim.

Kornis był mocno stroskany; wiedział, że jego czyn nie pozostanie bezkarnym. W sercu zaczęła mu kiełkować myśl zemsty; sam dość był silny, aby znieść skutki swego postępków i troskę w sercu swoim zamknąć, ale niema boleść ukochanej żony, której piękne obli-

cze mroczyła okrutna żałość, rozdzierała mu duszę i popychała do czynów rozpacznych. Szczęśliwy mąż, pan bogaty, przywykły do wygody, naraz wyparty z kolei życia, jakie dotąd prowadził, niby wygnaniec zmuszony szukać u obcych pomocy i dachu, mógł sprawcę cierpień swych znienawidzić i nazwać go tyranem.

Plan za planem rodził się w jego myśli wzburzonej, a gdy żona, którą nieszczęście stokroć droższą mu czyniło, lękliwie mu napomykała, aby się przenieśli na Węgry, gdzie sami ze swą miłością, zapomniawszy o wszystkim, żyć będą mogli, wzdychał tylko i dawał jej do poznania, że inne ma cele przed sobą.

Nieraz wśród walki wzburzonych uczuć sam do siebie przemawiał:

— Czyż Batory będzie bezkarnie dopuszczał się nieznanym w Siedmiogrodzie czynów samowoli i nieczemnego despotyzmu? Co godzina, co chwila rośnie jego wyuzdanie bezecne, jego dzikość tyrańska. Przebóg! niech ją znosi, kto chce i umie, ja nie. Niechaj słaby całuje żelazną różgę, która go ćwiczy, silny się przed nią nie ugnie.

Jadwiga cicha, łagodna—perła między niewiastami swej krainy, obejmowała wtedy ramionami rozdrażnionego męża i pocieszała swym słodkim głosem. Baltazar się uspakajał, lecz wnet ukrywana długo iza żony, bolesne drżenie jej warg, nową w nim wściekłość wzbudzały.

Kornis miał w Siedmiogrodzie wielu przyjaciół i krewnych, których niejeden raz przeklinał, snując w samotnych chwilach przymusowej bezczynności plany, układane na przyszłość. Kornis rozważał długo, lecz gdy coś postanowił, trudno go było sprowadzić z drogi obranej.

Niedługo mógł on pozostać w Lotaiwarze, gdyż często liczne drużyny gości nawiedzały zamek, choć

Gecziego w domu nie było. Cierpiącą Jadwigę należało co prędzej zawieźć w pewniejsze miejsce.

Wśród tych smutnych zdarzeń jesień otworzyła swój róg obfitości tam nawet, gdzie szarańcza spustoszyła okolice. Po błogosławieństwach jesieni nastąpiła wczesnie chłodna, ostro zapowiadająca się zima, śniegiem i szronem pokrywając góry i doliny, a mroźny powiew północnych wichrów zmienił wszystko w skamieniałość lodowatą.

Smutno i głucho zrobiło się w górach, smutno i głucho na całym Bożym świecie Węgier i Siedmiogrodu. Dnia 15 stycznia 1610 r. dwóch rycerzy jechało drogą hermansztandzką do Kronsztadu. Obszerne wilczury i niedźwiedzie czapki nadawały im wygląd surowy. Ale twarze ich były łagodne i spokojne, a w jednym z nich poznać było można komendanta hermansztadzkiego, Sewera, który, choć miał policzki od mrozu zarumienione, nie wyglądał jednak ani zdrowo, ani wesoło. Obok niego jadący człowiek wydawał się być starszym, a u brody jego błyszcząły soplek lodowe; brwi bielily się od szronu.

W chwili opisywanej, chociaż zima już była i słońce zachodziło, okolica wyglądała wspaniale, łącząc w sobie grozę i piękność romantyczną.

Gdy rycerze zbliżali się do Vidombaku, słychać było zdala wycie głodnych wilków, które weszły śród doliny około miejsce, gdzie znajdowali się pasterze ze stadami owiec.

Sewer to był, z towarzyszem przez Vidombak dążący do Kronsztadu. Rozmawiano smutno. Książę miał zjechać do Kronsztadu i tego obawiał się bardzo Sewer, bo wiedział, że książę nie lubił Sasów. Przyznawał to i towarzyszący mu Benkler. Póki Betlen był obok księcia, nie dopuszczał, aby wpływ Imreiego i Kamuly powodował Batorym. Ale teraz rzeczy stały gorzej: młody i namiętny książę, słabego charakteru, był całkowicie w rękach ludzi złych i tylko zysk swój mających na celu. Sewer objaśnił Benkne-

ra o zamiarach Weisza. Chciał on tak wspaniale przyjmować księcia, tak wyprawiać na jego cześć uczyć i igrzyska wspaniałe, aby zajęty zabawą, nie miał czasu na jakie okrutne akta ucisku, na jakie czyny gnębiącej samowoli.

— Jest w tem dobra i zła strona, bracie Sewerze — odpowiadał smutnie Benkler. — Rozbawiony książę może w szalonej wesołości popełnić coś, co lud rozdrażni. Ale patrz-no! co za jasność w Kronsztadzie. Przysiągłbym, że miasto się pali.

Rzeczywiście, wyglądało to jak pożar. Jeźdźcy nasi szybciej popędzili konie. Im bliżej byli miasta, tem czarowniejszy blask widzieli naokoło. Nad bramą unosił się łuk tryumfalny z czerwonych lamp chińskich, których promienie malowały wszystko naokoło barwą purpurową. Iluminacya to była wspaniała. Wszystkie ulice przedmieścia oświetlone były szeregami lamp wiszących, kolorowych, głównie czerwonych, i zdawało się patrzącemu zdaleka, że to jedna łuna, bijąca od ogniстых płomieni pożaru, obejmuje całe miasto. Wywierało to wrażenie przykre, zwłaszcza na ludzi, których umysły nie były wesołe, i nowoprzybyli skierowali się prosto do domów swoich na przedmieście, lecz lud kupił się coraz gromadniej koło bramy miasta, bo z innej strony widowisko było rzeczywiście niezwykajne.

Na prawo od bramy stał dom radny, a tak jego okna w ostrołuki, jak i sąsiednich kamienic gorzały światłem. Przed ratuszem wznosiła się przytem wysoka kolumna z zielonej jedliny, z powiewającą na szczycie chorągwią Siedmiogrodu, a i to wszystko było oświetlone z wielkim smakiem i sztuką, jak i na owe czasy niepospolitą.

Na lewo wznosił się dom Weisza, a pięknie zielenią ubrana długa baryera broniła od natłoku miejsc, przeznaczonych dla dostojnych gości właściciela kamienicy. Byli tam licznie zebrani panowie i panie — był tam książę z przybocznym swym orszakiem. Tuż

obok niego stał Imrefi, ale za nim w pobliżu było niemało magnatów węgierskich i szeklerskich rycerzy. Rozmawiano, przyglądano się ludowi, który cisnął się ku bramie, gdy naraz z bocznej ulicy wyłoniła się gromada postaci w fantastycznych ubiorach. Maski, zakrywające im lica, były podobne tym, które na rzymskich malowidłach widzieć można, a szaty były barw najjaskrawszych. Co jednak miały maski te przedstawiać, poznać nie było można. Wyglądały potwornie. Każda niosła w rękach zapaloną głownię.

Powoli stapał ten dziwaczny orszak ulicą, a zbiity tłum ludu, oczarowany, olśniony, rozstał się na dwa szeregi.

Za maskarami szedł niesłychanie wysoki olbrzym, z ogromną głową na grubym karku; ten był odziany we wschodnie szaty i ludziom oczy wychodziły z głowy, gdy patrzyli na niego. Nogi, które stapał z góry, równały się niemal wielkości człowieka, co budziło największy podziw w patrzących.

Okrzykami zadowolenia i podziwu witano tego olbrzyma. Za nim, po śniegiem zasłanej nlicy, sunęły się sanki, zaprzężone w siedem niedźwiedzi. Na grzbietach kudłatych zwierząt siedzieli mali rycerze szeklerscy, odziani także w skórę niedźwiedzią. Sanki ze wszech stron otaczały najrozmaitsze postacie: Saraceni, nimfy i Wołochy z Havasalföldu, a w sankach siedział król Saraceński z królową.

W drugich sankach był jakiś czcigodny starzec, mający perukę z konopi. Miał to być Jowisz, a obok niego Junona, w stroju wołoskim.

Lud, tłoczący się coraz bliżej, okrzykiwał głośno, że Jowisz, to Michał Huttern, a Junoną jest Fridelga Mondowa.

Gdy sanki te przejeżdżały, książe posunął się o ile mógł naprzód i ukłonił się. Zaczęto też powtarzać sobie na ucho, że książe za przeszłej bytności w Kronsztadzie tańczył dużo z Fridelgą.

— Czy ona, czy też Celesta Weiszówna jest naj-

piękniejszą kobietą między Saksonkami? toczyły się w tłumie spory.—Pytano się, czy Celesta jest obecnie w Kronsztadzie i potrząsano na to głowami przecząco. Mówiono, że mądry Weisz nie sprowadziłby tu teraz córki, której książe nie zna zapewne. Gdzieżby ją widział, skoro nigdy nie występowała w uroczystych, na cześć jego dawanych festynach?

Mnóstwo sanek jechało jeszcze, równie strojnych i dziwacznych. Można tam było widzieć cesarza chińskiego, tatarskiego chana, Eneasza, Achillesa, Odysseusza i wielu innych. Zakończyła się wreszcie uroczystość i pochód historyi starożytnej.

Książe był bardzo zadowolony z zabawy, ale Weisz chmurny, gdyż panowie węgierscy pozwalali sobie na zbyt wesołe żarciki z pięknych mieszczanek saksońskich. Buta szlachecka szła tu w parze z narodową odrazą Węgier do Niemców.

Trwało to ze dwie godziny, aż powoli tłumy ludu na ulicach zaczęły się przeredzać, a na wieżyczce ratusza zabrzmiał dzwon i różne grona przedniejszej publiczności ruszyły w tę stronę. Po kwadransie w wielkiem oknie ratusza zabłyśło światło i w izbie radnej na ławkach zasiedli ojcowie miasta.

Kobiety i dziewice kronsztadzkie przybrały się w najlepsze swe szaty, włożyły najpiękniejsze suknie, wstążki, klejnoty—wystroiły się najparadniej, aby godnie przedstawić się na radzie miejskiej i księciu pokazać, że i one, niemniej jak panie węgierskie, umieją dostojnie się prezentować.

Była godzina dziewiąta, gdy wszedł do sali Batory ze swą świtą. Była to sala obszerna, sufit jej był z prostych belek drewnianych, ale rzeźbionych i malowanych, gdzieniegdzie nawet złoconych. Przy ścianach umocowane były wysokie na cztery stopy pochodnie, a między nimi wisały portrety sławniejszych synów ludu saskiego, niewprawnym pędzlem malowane. Wzdłuż ścian ciągnęły się ławy, a w jednym rogu sali stało ozdobione kobiercami wzniesienie dla mu-

zyki. Na ławach siedziała już publika z najprzedniejszych rodzin miejskich złożona. Była tu między innymi piękna Fridelga z mężem Damianem Mondem, odziana w białą jedwabną suknię, na głowie miała kapturek, noszony przez patrycyuszki saskie, z długim srebrnym welonem. Piękna kobieta robiła wielkie wrażenie i była pierwszą, do której książe przemówił.

Imrefi, a z nim czerwony, jak rak, Kamuly, dwaj bracia Banfi, Sarmasagi, Kereszturi, Władysław Mikola i liczne jeszcze grono panów węgierskich i szeklerskich magnatów otaczało księcia w pysznych wschodnich ubiorach. Stanowili też silny kontrast z Sasami, którzy ani złotem, ani srebrem nie świecili, w ciemnych dołmanach, ze swobodnie spuszczonej na ramiona, równo ściętym włosem — wyglądali poważnie i surowo.

Księżciu ten wieczór był szczególnie miły. Niektórzy Sasi twierdzili, że nie był zupełnie trzeźwy, co miało mu się teraz dość często zdarzać. Ogólna ochota rosła. Wkrótce potem ruszono się do tańca, Batory przy poważnym tańcu polskim, biorąc piękne Saksonki i oddając je innym, umiał każdej z nich coś przyjemnego powiedzieć.

Przez pewien czas szło to statecznie, ale powoli rozweselali się biesiadnicy zanadto. Książe zażądał, aby zagrano tańca węgierskiego, ale jeżeli umieli go tańczyć panowie, tancerki nie znały go nawet. Lecz książe nalegał. Na szczęście muzykanci mieli między sobą kilku takich, którzy go grać potrafili. Zaczęto próbować, lecz to księcia drażnić mogło, więc panowie rajcy poprosili księcia na kolację do sali przyległej, na co chętnie przystał. Poszedł, ale nie pytając, czy godność pięknej Fridelgi odpowiada temu zaszczytowi, czy nie ma wśród zebranych kobiet wyższej stanowem i poważniejszej wiekiem pani, jej podał rękę i poprowadził z sobą.

Nie leżało to w programie Weisza, który chciał, aby książe został otoczony przy stole samymi

mężami; widziano wyraźnie, że już pił dość i Weisz pragnął nie dopuścić większej pijatyki, aby księżę z nadto nie przebrał miarki. W jego orszaku już nie było mężów mądrych i dostojnych, otaczały go głównie burzliwe i hulaszce żywioty, otóż Weisz lękał się, aby uczta w ratuszu nie stała się szaloną i wstydu nie przyniosła godności miasta.

W sali tymczasem nie chciało się węgierskim panom wyrzec czardasza, wydawali rozkazy muzykantom i zamawiali damy, lecz ton tych synów magnackich stawał się wobec mieszczanek saksońskich coraz śmielszy i zuchwalszy. Próżno proszono ich na wieczerzę do sali, położył na innem piętrze, nie chcieli się ruszyć pierwiej, aż przetańczą czardasza, wtedy pójda — każdy z damą swoją.

Ale damy zaczęły się czegoś niepokoić i skupiać w gromadki. Jedne bladły, drugie się rumieniły, bo wszystkie były silnie obrażone. Mówiono im takie komplementy, że byłyby rade uciec co prędzej do domów, że chciałyby uniknąć i czardasza i wieczerzy po nim.

Pięciu młodych Sasów stało w kącie sali.

Byli wzruszeni i gniewni.

— To zniewaga — mówili do siebie — ci ludzie nie postępowaliby tak, gdyby ich tancerki były z krwi szlacheckiej, gdyby były węgierskimi paniami!...

— Tak — rzekł jeden, gorętszy od innych. — Ja tu nie mam ani żony, ani siostry, a krew mi się burzy w żyłach. Jak oni zuchwale patrzą, jak potrzęsają niemi w tańcu...

— Dobrze, że się ociągają z wieczerzą — rzekł drugi. — Trzeba, aby kobiety wyszły, aby nie poszły do stołu, lecz cichaczem do domów się udały...

— Tak... trzeba odesłać kobiety do domów... — przyświadczyli wszyscy. — Gdy się popiją, będą zuchwalsi i bardziej lekceważący. Nie umieją szanować kobiety, jeżeli nie jest córką rycerskiego rodu.

Obrażona duma młodych Sasów jątrzyła się coraz

więcej i przesadzała może wagę rzeczy. Nie dopuszczano ich wcale do tańca i z nimi to pozwalano sobie więcej, niż należało. Rycerze popychali ich prawie łokciami i, nie zwracając na nich uwagi, brali do tańca kobiety, które odmawiać nie śmiały.

W tej chwili dało się słyszeć coś, jakby okrzyk przełkniętej kobiety, i zaraz potem Fridelga Mondowa ukazała się w drzwiach sali. Była blada, miała łzy w oczach, a gdy inne podbiegły do niej, rozplakała się...

Kobiety uprowadziły ją szybko do drugiej pobocznej sali, a w głównej rozeszła się wieść, że Batory miał ją bez żadnej ceremonii pocałować. Od stołu książęcego rozchodził się jeszcze śmiech, a i tu węgierscy panowie śmieli się.

— No i cóż tak wielkiego?—mówili—uszlachcił ją... Książę może całować tylko szlachcianki...

— Prawdziwi rycerze szanują kobiety!—krzyknął ktoś z pomiędzy Sasów i to stało się hasłem zamieszania.

Węgrzy się nasrożyli; Sasi zaczęli im wyrzucać grubiaństwo, w odpowiedzi na co tamci wybuchnęli klątwami i pogrózkami na niemieckich przybyszów, na wydrwigroszów i kramarzy. Słowa padały jak razy, bo były to ciężko raniące zniewagi i szczęście, że dworzanie księcia nie mieli oręża przy sobie. Wchodząc, odpinano od boku karabele i składano je w przybocznej izbie, która była w tej chwili z wewnątrz zamknięta. Tam to uciekły kobiety i zamknęły drzwi za sobą, zasuważąc je na grube rygle.

Farkas Kamuly podsyczał rozgniewanych i już ktoś zawołał, aby szukać oręży, gdy nagle światło w sali zagasło. Wyszło to z komendy Sasów. Gdy młodszy stawiali czoło Węgrom i na obelgi odpowiadali obelgami, starsi radcy skinęli na służbę. Tamci, uniesieni namiętnie, nie widzieli nic, jak kilkunastu ludzi, bo byli tu nawet i radcowie sami, podsunęło się do

lamp i pochodni — i w jednej chwili zapanowała ciemność.

Po chwilowym rozejmie, który powstał z zadziwienia, nie tylko języki zaczęły znów się miotać i wyzywać. Porwano się do pięści, ale Sasi, więcej obznajmieni z miejscowością i mając za sobą korpus pomocniczy, znaleźli się wkrótce po za zasięgą obronną. Z ław i stołów zrobiono sobie barykadę i z po za niej broniono się połamanymi stołkami.

Dimon, który od początku tej sceny śmiał się śmiechem szatana, teraz zaczął klaskać w ręce. Znał on po nazwisku rycerzy węgierskich i wywoływał ich teraz:

— Brawo, Batyani... brawo, Banfi... brawo, szlachetna krwi węgierska!

Nieszczęśliwe kobiety drżały tymczasem z trwogi i przerażenia. Co się stanie ostatecznie? Płakały, błagały Boga o litość, aż wreszcie jednej przysłała myśl okno otworzyć i wołać o pomoc.

W ten sposób miasto zostało wkrótce zawiadomione, co się dzieje w ratuszu. Tłumy ludu zebrały się wokoło zamkniętego gmachu i zaczęto radzić śród gwałtownego wzburzenia, aż w końcu przystawiono do okien kilka drabin i kobiety kolejno schodziły na ulicę, spiesząc się wśród wielkiej obawy, aby drzwi zbrojowni nie zostały siłą przez Węgrów otwarte.

Księcia już tymczasem tu nie było.

Przy pierwszym zgiełku, przy pierwszym podniesieniu namiętych głosów, kazał się wyprowadzić bocznymi drzwiami i powrócił spokojnie do zajmowanego przez siebie mieszkania. Położył się zaraz spać i byłby spał najwyborniej, gdyby nie jakiś niefortunny pokojowiec, który w chwilę po położeniu się księcia wszedł do jego sypialni.

— O, panie! — zawołał — tam w ratuszu mordują się...

— Kpy się biją z kramarzami — odpowiedział

Batory i zgromił tego, który mu przeszkodził zasnąć właśnie.

W podobny sposób oddalił się też z balu. Gdy po ucieczce Fridelgi śmiał się jeszcze, a otaczających go kilku Sasów było pograżonych w chmurnej zadumie, ktoś przybiegł z sali balowej, prosząc, aby ukazaniem się swoim uśmierzył rozdrażnienie, które ogarnęło obie strony, lecz on chłodnym okiem zmierzył niewczesnego mówcę.

— Od czegoż są gospodarze balu? — zapytał gniewnie. — Moi rycerze nie baranki, nie dadzą się łatwo zjeść...

Zrobiono mu uwagę, że tu nietylko chodzi o jego orszak; ale Batory zmarszczył się tylko i zwrócił do radców, pełniących przy nim jakoby szambelańską służbę, z żądaniem, że chce już wracać i spać się położyć.

Weisz, który wcześniej jeszcze powrócił do domu, niezadowolony z lekkomyślnego zachowania się Batorego, z jego hulaszczego tańca i niewłaściwego postępowania z tańczącymi kobietami, wrócił przecież natychmiast, gdy mu dano znać, że przyszło do walki między Węgrami i Sasami. Gdy stanął przed bramą ratusza, którą już otworzono, pierwszym jego słowem było:

— Gdzie księżę?

Niepokój jego był wielki i serce mu biło na myśl, aby Batory nie wmieszał się do walki, ale potem, gdy się dowiedział, jak księżę postąpił sobie, ogarnęło go dziwne uczucie smutku i prawie pogardy.

— Ach! — myślał — to już nie szalony młodzieniec, ale dusza dzika i sroga...

ROZDZIAŁ II.

Ciemność rozsiewa przerażenie i nawet silne duchy drżą z trwogi w ciemności, gdy Bóg stworzył ludzi do życia wśród jasności słonecznej.

Shelley.

Weisz, którego należy uważać za przywódcę Sasów Siedmiogrodu, liczył w epoce naszego opowiadania blisko lat pięćdziesiąt. Wysoki, muskularny człowiek, rysy twarzy miał prawidłowe, a wyraz ich był zwykle łagodny, przecież nakazywał uszanowanie, którem też był zawsze otoczony przez swoich i obcych. Ród jego nie był ani wysoki, ani zbyt niski, pochodził ze stanu średniego i można go było nazwać synem czynów własnych, bo głównie samemu sobie zawdzięczał stanowisko swe między współziomkami.

Żonę miał cichą i słodkiego charakteru, syna mu brakowało, aby przelał mu w pierś wszystkie uczucia swe i zamiary, ale córka jedynaczka zastąpiła mu zwolna jego miejsce. Kochał ją namiętnie, a gdy owdowiał, sam zajmował się jej wychowaniem i uczył z młodej dziewicy istotę niepospolitą, z umysłem oświeconym i otwartym dla każdej myśli wyższej i szlachetnej.

Sewer, sierota, był wychowany przez Weisza tak troskliwie, jak gdyby mu był rodzonym synem. Chciał go też zrobić swym synem, żeniąc go z Celestą, lecz los rozrządził inaczej i choć Weisz uczuł to boleśnie, nie zapragnął jednak łamać serca córki gwałtem, bo wedle przekonań jego, niczego się szczęśliwie nie otrzykuje w ten sposób.

I w polityce rządził się tem samym przekonaniem. Wiedział, że siła, gdy chce być bezwzględna, staje się dla rządzącego narzędziem czynu tak szkodliwym, jak słabość miękka, która się wszystkiemu poddaje. Będąc dla współrodaków takim niemal wodzem i kiero-

wnikiem, jak gdyby godność tę dały mu wybory jakieś, nigdy nie odstępował od tej zasady, która też mu dała miłość i wielki szacunek ogółu.

Księżę podbił go zrazu rycerskimi swemi przymiotami i bystrym, wyniosłym umysłem; sądził, że potrafi on być dla ludu swego, skołatanego poprzedniami rządami, mądrym i dobrym władcą, ale złudzenia te zaczęły teraz pierzchać. Weisz przekonał się, że Gabryel Batory nie będzie lepszym od Zygmunta i od tej chwili zaczął się troszczyć o los Sasów, których Węgrzy nie chcieli dotąd uznać rzeczywiście za swoich, dopuścić do jedności narodowej. Zatem trzeba im było przewodnika, któryby czuwał nad nimi i prowadził ich w takim kierunku, aby nie spotkał ich ucisk i rozbitcie swobód, obiecanych im w chwili, gdy Siedmiogród, potrzebując pracowitej i przemyślanej ludności, zawezwał ich do siebie. Weisz obrał się za takiego przewodnika ziomek swoich, nie pragnąc przecież nigdy oddzielać ich interesu od ogółu, z którym już tworzy i teraz całość jedną.

Wierność jego dla księcia i narodu węgierskiego była nieposzlakowaną aż dotąd. Pragnął pozyskać zaufanie Batorego, ale tylko dla dobra wspólnej mu z Węgrami ojczyzny; rzecz przecież była trudna, bo z jednej strony dumna szlachta Siedmiogrodu gardziła nierycerskim ludem, jak to w owych czasach było rzeczą powszechną, a Batory niezbyt lubił Weisza. Widział w nim surowego sędziego czynów swych i postępków, przenoszącego towarzystwo pochlebców lub małodusznych ludzi nad mężów szlachetnych, więc często prawdomównych, wtedy nawet, gdy chciał, aby milczeli.

Wypadki, zasłyły w dzień przyjęcia księcia w Kronsztadzie, dotknęły bardzo Weisza. Reszta żywionej w sercu nadziei, że Batory ma w sobie szlachetne, jakkolwiek tłumione instynkty, zaczęła go opuszczać. Czuł, że i Sasi byli tu winni, czuł, że nie umiano postawić się z należytą godnością wobec buty dworu

książęcego, ale to go bolało najwięcej, że książę z szyderstwem na ustach zostawił przypadkowi rozstrzygnięcie sprawy. A gdyby oręż dostał się rozszałym do ręki, krew byłaby popłynęła, a potem musiano by karać winnych!

I Batory się śmiał, a potem poszedł spać...

W chwili tej smutnej jego zadumy weszła Celesta z twarzą przerażoną.

— Ojczy, objaśnij mi, co zaszło wczoraj? — zawołała.

Nie była ona na balu i dopiero dziś rano doszły ją wieści o jego smutnem zakończeniu. Była jednak nad miarę wzruszoną i boleści pełną.

Ojciec to dostrzegł.

— Dziecko drogie — rzekł — uspokój się. Złe mogło być wielkiem, ale Opatrzność ustrzegła nas przedtem.

— O! tak — zawołała — tylko Opatrzność...

I teraz łzy trysnęły z jej oczu strumieniem, łkanie podniosło pierś i ojciec wziął rękę córki.

— Mów mi wszystko, dziecko drogie — rzekł prosząco. — Czyżbyś... czyżbyś widziała dziś Ecsediego?

— Ojczy! nie wymawiaj tego nazwiska — jęknęła. — Ty już wiesz wszystko i nie mów mi o nim.

— Celesto! tak jest... Przeczuwałem najpierw coś złego, teraz już wiem, że rzecz jest straszna.

— O ojczy! W jakich ja groźnych rękach byłam, nieszczęśliwa i nieświadoma doli swojej! Otoczono mnie intrygą i ci, co powinni byli mi być opiekunami, zdradzili mnie, czy przez bojaźń, czy przez chęć zysku, przez pragnienie dostojęństw i zaszczytów! Ciotka jest głównie winną, ciotka. Wuj był zalekniiony i nie wiedział, co czynić; teraz to wszystko widzę jasno, teraz rozumiem wiele rzeczy, dotąd ciemnych dla mnie biednej.

— Ach! — jęknął Weisz, a córka uchwyciła go za rękę.

— Lecz teraz, ojcze, już tu jesteś — zawołała — teraz bezpiecznym jest dziecko twoje. Pożegnałam tych zawodnych i niepewnych ludzi na zawsze, choć w chwili ostatniego rozstania mój żal do nich stopniał. Ciotka przysięgała mi na Boga, że myślała tylko o losie moim i marzyła o wyniesieniu najwyższym...

— I ja mam to przekonanie... kochała cię ślepo, uwielbiała zawsze urodę twoją i ambicya zawróciła jej głowę. O, Celo moja! dziękuj ty Bogu, żeś wyższą jest nad próżność taką.

— Tak — odparła dziewczyna, przyciskając ręką bolące czoło — mam za co dziękować Bogu...

W głosie jej brzmiała bolesna ironia, ale potok łez zmył ją niejako z jej serca.

— O! dobrze mówisz, ojcze — zawołała — dziękuję Bogu, że w piersi mojej jest dość mocy i silnej woli, abym się uratować mogła z przepaści, która się rozwierała przedemną. Tobie tom winna, ojcze, córka twoja nie może być słabą.

— Jak myślisz postąpić, dziecko drogie?

— Żadnego już z nim widzenia, żadnego już listu, nie! Ecsedi umarł! Nie ma go, nie ma go dla mnie na świecie...

Plakała, łzy lały się jej z oczu potokiem, a zacisnione ręce wykazywały, jak silna jest walka, która toczyła się w jej piersiach.

Ojciec ujął te biedne ręce, aby je tkliwie uściśnąć.

— Słuchaj — rzekł. — Musisz być teraz baczna i roztropna, musisz czuwać wciąż nad sobą. Nie oddalaj się ani kroku po za dom, gdyż dziś w nocy ztąd wyjedziesz.

— Dokąd, ojcze? Dokąd? Chcę być przy tobie i nigdy już nie rozstawać się z tobą.

— Biedaczko... twój ojciec przecież nie może cię przytulić w domu swoim, bo nie może być teraz dla ciebie dachem dobrze osłaniającym. Rzeczy poplątały się od wczoraj niezmiernie. Pragnę, abys je-

chała z wujem i ciotką i to zaraz, bez zwłoki. Już mówiłem o tem z nimi i teraz już jestem pewny, że postępowanie ich będzie uczciwe. Poprzednio nie znali człowieka i widzieli tylko wyniesienie swojego rodu, ale dziś... o dziś... i ich zdania są zmienione...

— Ojcie!...

— Na kilka tylko dni rozłączymy się z sobą, córko droga. Skoro tylko księżę opuści Kronsztad, sam po ciebie przyjadę, abyśmy już nie rozdzielali się nigdy... nigdy...

— Nie, ojcie, nie, nie pojedę... muszę, ach muszę zostać przy tobie. Czyż lękasz się z mojej strony słabości? Choć serce moje rozdarte, choć cierpię więcej niż słowa ludzkie wyrazić mogą, ale ufaj mi, że będę mocną i nie ulegnę pokusie ujrzenia tego... tego zdrajcy... Jestem dumna, ojcie, oh! dumna ja jestem i miłość, która poniża, nie jest ogniem, któryby mógł palić mi teraz serce.

— Ale on, Celesto!... on! Dowie się prędko, że tu jesteś, bo ma przy boku swoim nikczemnych dworaków, którzy go psują, aby nim rządzić. Oni wszystko wyszpiewują i doniosą mu, żeś jest w jego pobliżu.

— I unikając go, mam jechać do Köhalom?... Ojcie, mam jeden jeszcze list jego, przeczytaj go.

Podawała ojcu papier, który on rozwinął z dziwnem uczuciem wstrętu i żalu. I znów było tam tak, jak w poprzednich, tylko kilka, szybko nakreślonych wyrazów:

„Celesto, kochanko duszy mojej! Za dni kilka ujrzę cię, zobaczę lica twoje cudne, usłyszę głos twój słodki... Serce moje drży z miłości i niecierpliwości razem za tą chwilą.

Twój na zawsze Gabriel...”

— To nie jest pismo księcia — rzekł Weisz

smutnie. — Pisząc do ciebie, używa ręki cudzej..
Obłudnik!

Celesta zakryła twarz...

Ojciec ujął ją za rękę.

— Dziecko moje — zapytał — powiedz mi to, co jako ojciec powinienem wiedzieć: czy ty nie kochasz jeszcze?

Celesta zbladła jak trup, lecz zaraz potem licą jej oblał gwałtowny rumieniec dziewiczego wstydu. Dusza jej walczyła z sobą. Czyż ona nie powiedziała przed chwilą, że Ecsediego już nie było, umarł. Już nie istniał na świecie ten piękny rycerski, młodzian, którego duma, wyniosłość i szlachetność, złączona z tkliwą i gorącą miłością, podbiły jej niewinne dziewicze serce całą siłą pierwszego uczucia i teraz też na zapytanie ojca uczuła, jakby grom w nią uderzył. Dlaczego ją pytają jeszcze? Ecsedi nie istnieje, a Batorego nienawidzi przecież. Jest złym, okrutnym, dzikim panem Siedmiogrodu, a dla Sasów jest najgorszym, najsurowszym ciemiężcą!

I dlaczego ojciec zapytał o to nieszczęśliwą? Wraz z zapytaniem jego jakaś furja targnęła jej sercem, och! jak targnęła straszliwie i wszystka krew zbiegła jej do tego nieszczęsnego serca: ciężar okropny legł na niem.

— Ojcze! — zawołała po długim milczeniu, goryczy pełnym głosem — jakże nędznem stworzeniem jest kobieta! Ojcze, nienawidzę ja duszą całą ciemiężcę mego ludu, Batorego, i chciałabym go widzieć przykutym do łańcuchów w podziemiach tego domu, nienawidzę go... — Tu spojrzała smutnie wzrokiem zroszonym łzami, bo śmiertelny wyrok wydała na siebie. — Ale Ecsediego kocham — zawołała namiętnie. — O, nie mów ty, ojcze, że sama się oszukuję. Tak, na zawsze będzie istnieć dla mnie dwóch ludzi, może się to zmieni z czasem, ale jeszcze kocham Ecsediego więcej niż kiedy. O, gdybyś mógł zajrzeć w me serce, gdybyś wiedział, jak chciałabym

oderwać, oddzielić Ecsediego od Batorego, gdybyś wiedział, jak chciałabym wmówić w siebie, że Ecsedi to nie Batory. Nieba! gdyby to było tylko snem okropnym, gdybym się obudziła i ujrzała przed sobą dwóch ludzi, z których jeden jest Ecsedim, a drugi Batorym, gdybym się przekonała, że jest ich dwóch, a nie jeden umarłabym z radości!

— A lud twój poniewierany, Saksonko! a ojciec twój, Celesto? — zawołał Weisz ze zgrozą. — Więc i ty jesteś słaba! Więc i tyś małoduszna, jak wszystkie, o ile teraz widzę, kobiety! Więc nie jesteś tą rzadką perłą, której żaden ciebie nie kaził! Więc jesteś szaloną, która dla krótkotrwałej miłości poświęca szczęście całego życia i godność, i obowiązek, i cnotę, wszystko!

Celesta podniosła głowę: niewypowiedziana walka odzwierciedlała się na jej twarzy.

— Tak, tak! — mówiła — nie masz na świecie istoty nędzniejszej nad kobietę. Serce nasze słabe, wiecznie tęskniące za słodkim uczuciem miłości, a ze wszech stron otaczają nas głązy i lody!

Twarz jej przybrała wyraz niespokojny i gorzkie szyderstwo czuć się dawalo w głosie, gdy rzekła:

— Ja, Celesta, córka mądrego, przez cały swój lud uwielbianego ojca, ja Batorego igraszka? O hańbo, ja cię nie zniosę! Ja w jednym szeregu z Imrefiową i temi lekkomyślnemi kobietami, o których ludzie mówią szyderczo lub pogardliwie... Ja, której serce pokochało tak słodko i spokojnie, pokochało tak dumnie miłością jedyą, której ukochany przysięgał na kolanach, że jestem pierwszą i ostatnią jego miłością. Czyżbym ja sniła jego słowa, wzrok, tę jego tkliwość delikatną? O, poradź mi ojcze, jak postąpić i poczuj zarazem, co w mej duszy się dzieje...

Weisz, poruszony do głębi serca, wyciągnął rękę do córki.

— Celesto — rzekł smutno — znam ja cię le-

piej, niż ty sama siebie. Dusza twoja jest czysta! Ona będzie twą tarczą na przyszłość tak, jak nią była dotąd. Tyś niewinna! Świadectwem twej niewinności będzie przed ludźmi, żeś, nieświadoma prawdy, kochała tam, gdzie inne tylko rachowały!

— Czyż zamilkną mi przeto głosy uczucia, które jęczą we mnie? Czemu ja lepszą jestem od innych, gdy wiadomość prawdy nie zabiła miłości? Kocham nieszczęśliwa! jeszcze teraz go kocham!

Weisz ze współczuciem patrzył na nią.

— Dziecko drogie, pierwsze starcie miłości z boleścią wywołuje w tobie tę rozpacz, którą zwracasz przeciw sobie samej, ale ja cię znam! Będziesz ty wkrótce znów dawną Celestą. Piękna twoja dusza nie obłąka się nigdy pod siłą namiętnego szału. Celi moja, ja twą słabość pojmuje, pojmuje walkę, która w twym sercu się toczy. Tak, córko ma biedna, szanuję ja twoje uczucie. Pozostań wierną swej nieszczęsnej miłości... Kochaj Ecsediego, kochaj ten piękny obraz młodzieńca, jakiego sama sobie stworzyłaś. On cię obroni przeciw Batoremu, jako oblubienicę Ecsediego, który ujechał kędyś i nie wróci już do ciebie, niebogo. Czcij jego pamięć i bądź silna, bądź wierną miłości swej minionej.

— Ojcie! — zawołała Celesta, rzucając się mu w objęcia — ty mnie rozumiesz!

W tej chwili brzęk szabli i blizkie kroki słyszeć się dały. Weisz szybko otworzył drzwi sąsiedniego pokoju i ukrył tam Celestę; przeczuwał obcego, a nie chciał dać wiedzieć nikomu o jej obecności u siebie.

Imrefi to był, otworzył drzwi i wszedł wesóło, jak zwykle, lecz dumnie.

— Dzień dobry, mości Weisz—rzekł poufale. — Jak się waszmość miewasz po wczorajszym wieczorze?

— Bardzo dobrze — odparł Weisz z przymuszonym uśmiechem — a pan, panie kasztelanie książęcy, jak się czujesz?

— Jak najlepiej, panie rajco. Czy wiecie, że książę nie może się nachwalić dobrego wina, jakim uraczyliście go wczoraj. Macie widać dobre piwnice...

— Zawsze — rzekł Weisz dworsko — będzie to dla nas szczęściem podejmować gościnnie jego książęcą mość.

— Dobre to jest uczucie — rzekł Imrefi chytrze. — Książę życzyłby sobie, aby cały dzielny lud saski przemawiał przez usta waszmości. Dlatego bez długich wstępów przystąpię do rzeczy. Książę niezadługo odjeżdża.

— Wiem, za cztery dni. Rada już otrzymała rozkazy co do koni i wozów.

— Ale mości Albinusie, dodać mi jeszcze trzeba, że książę część świty jutro już odsyła i bagaże podróżne są już spakowane, więc i pokoje książęce stoją już próżne.

— Wnet rozkażę urządzić komnaty księcia pana tak, aby nie do jego osobistych potrzeb nie brakło. Nie wątpię, że będę w stanie odpowiednio jego książęcej mości usłużyć.

— Jest sposób prostszy, a nawet powiem otwarcie prawdę, to jest, że książę życzy sobie, aby uży tym został. Byłoby mu jednak rzeczą bardzo przyjemną, gdyby przedstawienie tego środka wyszło z ust waszmości.

— Z radością to uczynię — rzekł Weisz z pewnem zakłopotaniem, że zobowiązuje się do niewiadomej mu rzeczy.

— Masz waszmość dom obszerny i jest tu kilka pięknych komnat z widokiem bardzo wesołym na góry i doliny. Batory chętnieby w domu waszmości tę parę dni zabawił.

Weisz uczuł się mocno zmieszany, lecz nie pokazywał tego po sobie, bo nazbyt dobrze wiedział, o co rzecz idzie; Imrefi z wielką uwagą patrzył mu w oczy.

— To pragnienie księcia mego i pana — rzekł

też zaraz Weisz — jest dla mnie najwyższym zaszczytem. Wykonanie życzeń jego książęcej mości i zaspokojenie najdrobniejszych jego chęci, będzie mi zawsze nagrodą, choćby za najcięższe trudy, a tu nie poniosę ich nawet. Żałuję tylko, że dom mój jest za ciasny, aby książę pan znalazł tu to, do czego w pałacach swych przywykł.

Zdawało się, że Imrefi tem odrazu przyjętem a szczerem na oko zgodzeniem się Weisza na propozycje księcia sam z początku się zmieszał.

— Jesteś waszmość całkiem wylany na usługi księcia, jak widzę — rzekł. — Jednak nim się tu przeniesiemy do waszmości, ja zapraszam do mojej kwatery na wieczór dzisiejszy. Trzeba mi objaśnić wam, mości rajco, powody wczorajszego niepokoju. Tam w mieście bajki plotą, a waszmość nie byłeś przy całej tej sprawie obecnym.

Weisz uśmiechnął się. Po kilku chwilach Imrefi odszedł, a Weisz natychmiast otworzył drzwi boczne, po za któremi znajdowała się Celesta. Wyszła z nich, a była blada jak liść rośliny, wyrosłej w ciemnościach, lecz twarz jej nie wyrażała niepokoju, lecz przeciwnie, widniało na niej szlachotne jakieś postanowienie i zamknięta już w sobie boleść.

— Czy słyszałaś? — zapytał Weisz — książę chce...

— Słyszałam — przerwała Celesta spokojnie — i mam do ciebie, ojcze, prośbę.

— Mów, biedne dziecię.

— Do Köhalom nie powrócę więcej: jest to moja wola stanowcza. Ty, ojcze, rozumiesz to. Książę zabawi tu tylko dni parę. Mam sposób, aby napewno uniknąć spotkania się z nim tak tu, jak w Köhalom, a ty przyrzecz mi, ojcze, że mnie nie zdradzisz.

— Zdradzić? — zapytał Weisz zadziwionym i prawie surowym głosem. — Ja, zdradzić ciebie!...

— Spokojnie, drogi ojcze! nie gniewaj się na

mnie, że życzę sobie, abys przysięgł, że w żadnym wypadku mnie nie zdradzisz.

— Po cóż taka przysięga? Czynię zawsze to, co za obowiązek mój uważam, a myśl o zdradzeniu ciebie przezemnie jest szczególną. Zkąd ci przysłała do głowy, biedne dziecko?

— Ojcze, jestem może szalona, bo pogněbiona przez boleść, ale czuję, że dusza moja będzie zupełnie spokojną, jeżeli moje ukrycie zapewni mi przysięga ojcowska.

— To rzeczywiście jest szale.. Lękam się, że uczucia twe wzburzone wprawiają cię w gorączkowy niepokój.

— Nie nazywaj, ojcze, tego szale. Wiem, że mnie nie zdradzisz, ale przysięga twoja mnie pokrzepi.

— Nie przysięgam na to, czego nie znam. Jakże chcesz ukryć się przed księciem?

— Tak, aby się ze mną nie spotkał.

— Celesto! — rzekł Weisz. — Jakaż to myśl powstaje w twej głowie? Czy chcesz wejść do klasztoru? Ale nie jesteś katoliczką i czy zechcą dać ci tam chwilowe tylko schronienie? Co myślisz, powiedz mi. Bóg ci dał życie; czyż chcesz je przerwać?

— Samobójstwo? o nie — odparła spokojnie Celesta. — Nie, ojcze, dopóki niebo pozwala, żyć będę. Będę żyła i, jak myślę, długo jeszcze — dodała ze smętnością dziwnie bolesną dla tego, który ją słuchał. — A także nie uczynię nic przeciwnego zasadom lub religii mojej. Proszę cię tylko, ojcze, upewnij mnie, że w żadnym razie nie zdradzisz mnie i ukrycia mego nie wydasz.

— O dziecko, jakże dziwnie do mnie przemawiasz! Ale niech będzie, jak chcesz. Upewniam cię, że schronienia twego nie wydám.

— Przysięgnij.

Weisz niespokojnie patrzył na córkę, ale zdecydował się wkrótce i podniósł rękę do góry, tak, jak się czyni zwykle przy akcji przysięgi u luteranów.

— Jako chcę, ażeby Bóg dopomógł mi w życiu, tak przysięgam, że nie zdradzę cię i miejsca pobytu twego nie wydam nikomu.

— Dość—rzekła Celesta łagodnie.—Teraz, ojeze, posłuchaj mnie. Pod domem naszym, głębiej aniżeli piwnice, są, jak wiesz, lochy ciągnące się daleko i nieznanne prawie nikomu. Za dawnych czasów tak się ludzie kryli przed rabującym i mordującym wrogiem i ja się tak ukryję. Trzy dni przesiedzieć tam, nie jest trudno, i lżej, łatwiej to, niż błąkać się między obcymi ludźmi, drząc co chwila, że mogę zdradzoną zostać, lub odkrytą...

— W tem ciemnem, zimnem, samotnem podziemiu, w tej okropnej, głuchej jak mogiła samotności chcesz się ukryć, Celesto! Na Boga, nie pozwolę! A jeżeli ksiązę ten właśnie pokój wybierze, z którego do ciebie dostać się można, i jeżeli dłużej pozostanie, toż ja nieszczęśliwy nie będę miał przystępu do ciebie?

— Jeden, dwa dni dłużej nie znaczy tu nie wielkiego. Zresztą, w razie koniecznym, odszukam drugie wyjście z ukrycia.

— W razie koniecznym, Celesto! O! ja nie będę czekał ostateczności.

— Liczę na twą przysięgę, ojeze, że tego nie uczynisz. Gdybyś lękał się o moje życie i zdrowie, zdradziłbyś mnie! Bądź spokojny. Ja tylko nie chcę widzieć na oczy Batorego... Ojeze, patrz na mnie, patrz uważnie w twarz moją, gdy wymawiam te wyrazy, które są prawdą. Nie chcę za żadną cenę widzieć Batorego, choćbyś miał to nazwać słabością. Chcę wierzyć i wiem, że spojrzenie jego zniosłabym bez niebezpieczeństwa, ale na długo potem spokój mej duszy zostałby zburzonym i to, co bym przecierpiała, odpychając go odemnie, możeby złamało mnie na życie całe, a nie chcę tego, ojeze, bo i to jest słabością. Ale, ach! kobietą jestem...

— Rozumiem cię — rzekł Weisz, ściskając córkę. — Celesto! nie dziwię się twej słabości, która mi

każe tylko twoje męztwo podziwiać. Pamiętam swoją przysięgę. Bądź spokojna...

Turkot powozu dał się słyszeć.

— Książę—zawołał Weisz przerażony.

— Nic, nic, ojcze! nie troszcz się... W sąsiednim pokoju jest kosz chleba i dzbanek wody, więcej jest tego, niż potrzeba na trzy dni. Bóg z tobą, ojcze!

Słowa te były powiedziane jednym tchem i Celesta zniknęła za drzwiami pobocznej komnaty. Była ona długa i wązka, miała jedno tylko okno, wychodzące na ulicę. Na lewo od drzwi blisko okna, stało łóżko gościnne, na prawo w samym kącie izby był posąg miedziany, wydobyty ze starych kopalni soli, wyobrażający Pana, a który Weisz cenil bardzo wysoko. Sprzętów nie było tu wiele: stół, kilka krzesel i szafa z książkami, oto wszystko, czem przebywający tu gość zadowalać się musiał i co na owe czasy starczyło. Weisz w tym pokoju pomieszczał zwykle przybywających doń w gościnę mężczyzn, co się jednak nie często zdarzało, bo miasto miało kilka gospód i zwykle też pustą izbę gospodyni Weisza obracała na spiżarnię. Nieraz składano tam kosze z zapasami pożywienia, sprzęty gospodarskie i bieliznę stołową.

Celesta szybko zbliżyła się do łóżka, pochwyciła zeń poduszkę i kołdrę i pośpiesznie zwróciła się w kierunku posągu, za którym znajdowały się drzwi skryte we framudze, cichuteńko otworzyła je i rzuciła w przejście tajemne to wszystko. Równie szybko wróciła na powrót i pochwyciwszy ze stołu kosz świeżo od piekarza przyniesionego chleba i cynowy dzban z wodą, także tylko co zaczerpniętą ze źródła w ogrodzie, gdzie woda lepszą była niż w studni; wreszcie lampę i hubkę — zniknęła za drzwiami. Lekka, jak gdyby niosły ją duchy i nie czyniąc prawie szmeru za sobą, biegła po schodach. Wszystko to było sprawą jednej minuty.

Mrok ją otoczył, wilgoć napelniająca powietrze

czuć, się dawała, niemniej odważna dziewczyna biegła szybko, aż wreszcie znalazła się na gładkim gruncie ziemi. Tu postawiła kosz i dzban blisko siebie i siadła na ostatnim stopniu schodów. Przestrach, jakim zawsze napelnia samotność i ciemność, zdrętwił jej nerwy wśród tej ciszy grobowej i grobowych mroków.

Celesta jednak krzepiła się na duchu, bo chciała być mężną.

— Nikt się tu mnie nie domyśli — mówiła do siebie.—Czyż jestem dzieckiem, aby się lękać ciemności?

Po chwili wydostała z kieszeni hubkę i krzesiwo i wkrótce zapaliła lampę. W tych czasach wszyscy umieli obchodzić się z tym jedynym sposobem niecenia ognia i światło wróciło jej słabnącą w piersi odwagę. Ukryciem jej był obszerny loch, jakie podówczas znajdowały się nie pod jednym domem. Ściany pokrywała zielona pleśń, panowała tu chłodna wilgoć; od ulicy znajdowało się maleńkie, żelazną kratką opatrzone okienko. Podłogą była już ziemia, gdzieniegdzie deskami pokryta. Celesta spojrzała wokoło.

— Więzienie!—mówiła do siebie.—O, szczęśliwy, kto w promieniach słońca może żyć, jeżeli życie jego nie jest walką sprzecznych uczuć, nie jest szamotaniem się z okrutnym losem i ludźmi, często okrutniejszymi od zwierząt..

Myśl jej błąkała się w kole smutnych wspomnień i smutniejszych jeszcze przypuszczeń, co będzie z nią, z ojcem, z Sasami? Czyż Batory nie rozsróży się, gdy jej nie znajdzie już nigdy i nigdzie? Zapłakała może i nad sobą, ale pierś drżała jej głównie trwogą o los jej ludu i w tej chwili własne jej cierpienie, własne rozczarowanie traciło głos.

Na deskach położyła poduszkę i urządziła sobie postanie. To będzie moje łóże—rzekła z uśmiechem—trzeba mi będzie doń przywyknąć.

Lampa paliła się dobrze, sądziła jednak Celesta, że należy ją zgasić, choć strach jej było w ciemności

pozostać. Wreszcie zwyciężyła bojaźń i jeszcze raz uważnie rozejrzawszy się wokoło, zadmuchiła płomień i zmęczona legła na postaniu. Noc ciemna otoczyła ją, a gdy świat zewnętrzny zniknął jej z przed oczu, odżyły mary wspomnień i ciągnący się za niemi świat rojeń i przypuszczeń. Że była zmęczona, a w samotności człowiek zawsze upada na duchu, musiała się bronić silnie przed niepokojącą myślą, iż to są przeczucia mających spaść na nią i jej lud okropności.

ROZDZIAŁ III.

Szpieg i tyran.

Często słowo obrazu rani silniej, niż czyn i zadaje razy cięższe, niż pchnięcie szpady lub sztyletu. Niech więc umie strzedz słów swoich ten, który ma ważne sprawy do spełnienia.

Juliusz Lacroix.

Dusza Batorego od wypadków w zamku udarhelskim była jakoby nową duszą. Nieuczciwi doradcy pchali go do złego, przecież aż do chwili starcia się z Kornisem nie popełnił on jeszcze nic takiego, coby go głośno i jawnie oskarżało o gwałcenie praw i tyranję; z drugiej strony nikt dotychczas nie rzucił mu w oczy takich słów, jakie wyszły z ust Kornisa, słów, które rozżarzyły mu w piersi ogień, iście piekielny. Wiedział niewątpliwie, że i inni znać będą te słowa, więc gniew, uczucie upokorzenia, pragnienie zemsty, złożone z chęcią okazania władzy swojej i możliwości czynienia co zechce, w szalony sposób zagnieździły mu się w sercu. Można było powiedzieć naprawdę, że ten Ecsedi, którego znała i kochała Celesta, już nie żył.

O zameźciu z Celestą nie myślał nigdy poważnie, choć kochał ją silniej i inaczej, niż wszystkie inne kobiety, tak, że miłość ta wpłynęła znacząco na całe jego życie. Książę, który był najwyższym pomiędzy nimi, nie mógł się poniżyć do córki mądrego Weisza, gdyż w ich oczach najuboższy szlachetka szeklerski, był nieskończenie wyższym od mądrego dyplomaty, którego rozum przyniósł krajowi korzyść niejedną.

W ostateczności wolanoby prostą chłopkę węgierską, a po za miłością dla Celesty pojęcia te i uczucia podzielał i Batory. Ale miłość bywa mistrzynią w kazuistyce. Kiedy Gabryel Batory, ujrawszy piękną Saksonkę, rozkochał się szalenie w jej spokojnej i słodkiej piękności, przyszła mu poetyczna chęć powtórzenia starej legendy i ukrycia swej książęcej godności pod nazwiskiem prostego rycerza, ale zbliżenie się do Celesty sprowadziło na niego rzecz bynajmniej nieprzewidywaną. Szlachetna dziewczyna obudziła w nim miłość nieznaną dotąd: prawdziwą i głęboką, złączoną z uczuciem czci dla jej charakteru, dla tej czystej duszy dziewiczej, która nie ukrywając wzajemności, pozostała dla niego istotą anielską i jak gdyby otoczoną świetlanym jakimś obłokiem. Wszakże go kochała i mieliż oboje pozostać nieszczęśliwymi przez to właśnie, co szczęściem ich było?

Ecsedim nie mógł on pozostać na zawsze, a jednak nie mógł się rozstać z tą postacią, która dała mu zakosztować słodyczy nieznanych dotąd, aż dusza jego, rozdarta na dwoje, zaczęła w nim pragnąć wytworzenia podwójnego żywota. Jan angielski i król polski, Kazimierz Wielki, nastęrczali mu przykład takich dwóch różnych istnień. Sielanka miłośna, urządzona w ustroniu, dalekiem od spraw księcia Siedmiogrodu, mogłaby mu dać niezakłócone szczęście słodkiego, rodzinnego życia. Celesta kochała... Ecsedim może przeciągnąć dla niej istnienie swoje aż do śmierci...

Kornis zaraz tego samego dnia po ucieczce z Fehervaru kupca perelę zwrócił się wprost do Batorego z zapytaniem, co może być prawdą w historii, którą usłyszał z ust Imrefiowej? Kornis mówił to spokojnie, ale bardzo poważnie, i księżę mimowoli się zarumienił i zmieszał tak, że poniżył się do kłamstwa. Odpowiedział, że perły zostały przez niego zastawione i kupiec chciał widać otrzymać wcześniej swoje pieniądze, więc je zbył przy zdarzonej sposobności... Chciał dodać, że nie uważa tego za stratę, skoro się dostały osobie godnej, ażeby je nosiła, ale Kornis nie dał mu dokończyć.

Ani on, ani jego żona nie mogą korzystać z wybiegu chciwego handlarza i pozbawiać skarb księcia drogocennego klejnotu — rzekł — a że perły miał przy sobie, zwrócił je natychmiast Batoremu, który był błydy z gniewu. Kazał zaraz sekretarzowi wypłacić sumę, za jaką Kornis kupił perły, i rzecz została skończoną, ale nie pozostała w tajemnicy. Mówiono o niej głośno w całym mieście i nazajutrz rano Kornisowie wyjechali.

Na porannem posłuchaniu Kornis pożegnał księcia w imieniu swoim i żony, a tłumacząc się nagle otrzymaną wiadomością z dóbr swoich, która nakazywała mu tam wrócić pośpiesznie, wyjechał natychmiast po wyjściu z pałacu.

Księżę kipiał z gniewu, a oddalenie wzmogło jego uczucia dla Jadwigi. Rozwód musi nastąpić i ona musi być jego... Ażeby rzecz przyspieszyć i ułatwić, postanowił ją porwać. Że dziki ten czyn dokonany nie został, stało się to przypadkiem jedynie. Wśród panów, którzy pozostali jeszcze na dworze Batorego dla wypełniania piastowanych urzędów, był Szylasi, człowiek zany i przyjaciel Kornisa od ławy szkolnej. Doszedł go posłuch cichy, że Kornis dostał rozkaz książeący jechania do Kolosvaru, jakoby w sprawie odbywających się tam sądów, z których relację chciał księżę mieć od niego, przecież Szylasi usłyszał przy-

tem wyszeptany mu do ucha sekret, że Batory zamierza w nieobecności męża odwiedzić żonę.

Rzecz wydała się Szylasiemu niebezpieczną, bo mówiono przytem, że ksiązę gniewny jest na Kornisa, jakoby zato, że jakkolwiek zamek udarhelski dostał mu się ze szczodrośliwości poprzedniego księcia Zygmunta, jako dar za przystojnie odbyte poselstwo na dworze polskim, jednak Kornis niewdzięcznie się wyraża o nim i pamięci jego uwłacza surowym sądem postępków w grobie już spoczywającego księcia. Że rzecz ta wyszła z ust Imrefiego, Szylasi się zląkł o przyjaciela, bo widział, że się coś knuje przeciw niemu i że mowy te są zdradnem oddziaływaniem na opinię publiczną.

Dimon był teraz najprzebiegłym służalcem złych namiętności Batorego—był jego kusicielem, jego szatanem. Może, gdyby był znalazł w księciu duszę wyższą i serce szlachetne, byłby został sam cnotliwym, stałby się wiernym i przywiązany razem służką i bratem, bo stał on jakoby na rozstajnych drogach życia i powiedzieć można, że piekło i niebo walczyły o jego duszę. Ale gdy u tego, który był namaszczony na władcę i pana tysięcy ludzi, znalazł tylko pychę i namiętności, kipiące chęcią użycia, piekielne uczucie zawiści opanowało mu serce, a szyderstwo i pogarda ludzi zatrąła mu duszę do głębi.

Czasem też czynił sobie z tego demoniczną igraszkę, że on, najniższy podnózek wśród tego książęcego dworu—coś między błaznem a pacholkiem, mógł tak grać na namiętnościach Batorego, jak na harfie dobrze nastrojonej. Wiedział, w którą strunę uderzyć, ażeby odezwała się muzyka, którą pragnął usłyszeć. I on to pierwszy podszeptał Batoremu, ażeby jeszcze dni kilka pozostał w Kronsztadzie. Ponieważ Imrefi, który był z natury tchórzem, byłby rad po wczorajszych awanturach w ratuszu wyjechać precz z pomiędzy Sasów, Dimon złośliwie podszeptał w ucho

księcia imię Celesty i zamigotał mu nadzieją, że ją tu ujrzyć może.

On to był szpiegiem, który zdradzał księcia, odkrywając Sasom tajemnice jego polityki, tak jak byłby gotów każdej chwili wydać Sasów zemście Batorego. Ta dzika i złośliwa natura czuła pewną rozkosz w szkodzeniu ludziom i nie miał też żadnego osobistego planu w tem, czego się dopuszczał. Coś z dzikiej żartobliwości niedorostka, chęć płatania figli przez mieszanie nici długo obmyślanych zamiarów, łączyła się w nim z nienawiścią do tej ludzkości, wśród której znalazł się wydziedziczony: bez ojca, matki, bez jednej istoty, któraby się przyznawała, że mu jest krewną.

Jeżeli wypłynął nieco na wierzeh, to sobie tylko był to winien. Jak młody kot, zwinny i zręczny, wydrapał się za pomocą własnych pazurów na drzewo, gdzie znajdowało się parę gniazd ptasich, i bawił się myślą, że może w każdej chwili sprawić w którymkolwiek z nich pisk i wrzask trwogi.

Teraz zagrała w nim chęć udręczenia Sasów, dłuższą między nimi bytnością księcia i zarazem takich tehórzów, jak Imrefi, który mimo cheiwości swojej byłby dał niejednego dukata zato, aby znaleźć się co prędzej za rogatkami Kronsztadu. I nawet z jego to podmowy kasztelan książęcy został wysłany do Weisza z poselstwem, że książę raczy stanąć gospodą w jego domu.

Bawił się też myślą, jak twarz szanownego obywatela przedłuży się, usłyszawszy o spotykającym go zaszczycie. A jeżeliby rzeczywiście Celesta znajdowała się dotąd w mieście, czego zupełnie pewnym być nie mógł, bo z ciotką odjechać już mogła, co za komplikacya! Wszystkie inne Saksonki pochowały się dziś w kąty, jak wystraszone przez jastrzębia kury, ale najważniejsza między niemi osobistość wystąpiłaby teraz na scenę.

I ledwo też książę przestąpił próg domu Weisza,

już oczy jego zaczęły z pewną tęsknotą rozglądać się dokoła. Zanim przemówił, już Dimon wiedział, co mu jest. Tak był pewnym swej sztuki wyciągania z pierśsi ludzkich tego, co chciał, że wprost od rozmowy z Weiszem rozpoczął swój rekonesans. Że to Dimon był ową burzliwą przekupką, która ku ucieście tłumów jarmarcznych wyprawiała taką tragikomedję z kometantem Kronsztadu, czytelnik już się domyślił zapewne, więc też domyślać się może, z jaką przykrością uczciwy Weisz spotykał się z nim teraz, jako z pokojowcem księcia. I Dimon to czuł również, co przecież nie szkodziło mu wcale, a raczej pomagało w rozmowie, przez którą ten dziki chłopak zaczął go sondować.

— Ukryła się więc tak dobrze — szepnął półgłosem, przychylając się ku Weiszowi, ale ten cofnął się i odpowiedział jeszcze raz głośno i dumnie, że Celesty nie ma w mieście i Dimon zrobił ruch zakłopotany.

— Nie wiem, zali to dobrze? — odparł. — Batory będzie zły...

— Skończmy rozmowę, mości dworzanie księżęcy! — zawołał Albinus niecierpliwie.

Przestał być dyplomata, gdy chodziło o rzecz najdroższą mu na świecie. Że podejrzewał w fałszywej korespondencyi Ecsediego rękę Dimona, nienawidził go dwukrotnie i nie mógł się wstrzymać, aby zachować z nim krew zimną.

— Córka moja wyjechała do Köhalom — powtórzył dobitnie, jak gdyby chciał położyć koniec rozmowie, ale przebiegły chłopak wiedział, że to nieprawda i tylko czując dla siebie wzdargę w duszy Weisza, przejął się dłań mściwą nienawiścią.

— Szwabie... — pomyślał, kłaniając się Weiszowi układowie — nie zawsze będziesz ty tak dumnie mówił do mnie, nie zawsze będziesz tak wysoko nosił głowę...

ROZDZIAŁ IV.

Pod ziemią i nad ziemią.

Opatrzność czuwa w dzień i w nocy.
Opiekuje się tworem wszelkim na ziemi
i w ziemi.

Lessing.

Celesta przebyła w podziemnej swej kryjówce wszystkie te stopnie od radości do rozpączy, o których mówi Dante. Najpierw była to trwoga ciemności, naturalna w każdym człowieku, lecz większa jeszcze w kobiecie, niż w mężczyźnie, bo istota jej delikatna, jest więcej nerwową i mniej na takie próby zahartowaną od silnej natury męskiej. Ale zwolna oswoiła się z położeniem, lecz nie widząc nic, zaczęła mimowoli wyteżać słuch i wkrótce usłyszała głosy na górze.

— Ach!—drgnęła—czyż *on* tu jest... *on*?...

Długo, długo walczyła z sobą, aby pozostać na miejscu, nie narażając się na próbę przekonania się, zali usłyszy Ecsediego... Zrazu, gdy pierwsze odgłosy na górze dały jej się domyślać, iż księżę już przybył, ogarnęła ją taka trwoga, że lękała się poruszyć na łóżu swoim, aby się nie zdradzić, ale to, niestety! był stan, który nie trwał długo.

Ogarnęła ją jakaś halucynacya. Wyobraźnia przedstawiała jej różne sceny, któreby były następstwem tego kroku. Jakby on wykrzyknął... jakby wyciągnął do niej rękę...

Widziała jego całą postać, oczy i ich spojrzenia—widziała go uniesionego radością, tak prawie, jak gdyby stał przed nią.

Ale słyhać było zarazem kilka głosów i to ją wytrzeźwiło. Ach! niestety... Ecsedi zniknąć musiał wobec księcia i Batory otoczony swoim dworem, dygnitarzami państwa, czyżby całował jej ręce, czyżby ją nazywał swoją, swoją na śmierć i życie?

Łzy polały się jej z oczu — wszystko, wszystko inne zniknęło dla niej w tej chwili i pozostała tylko nieszczęśliwa, opuszczona kochanka!

Wspomnienie ostatniego z nim widzenia przywiodło jej to wszystko na myśl i jęknęła, ściskając biedną, ciężko bolącą głowę. Zaczęła też uczuwać pragnienie i po kilka razy przykladała usta do dzbanka z wodą. Lękała się przewrócić go, bo myśl powrotu między ludzi wydała się jej teraz straszna... Za nic... za nic... gdyby brakło jej wody i chleba, gdyby przechodziła przez najcięższe cierpienia głodu i pragnienia, nie weszłaby tam, gdzieby go spotkać mogła.

Czy to była taka silna nienawiść dla Batorego, jaką usiłowała uczuć i okazać ojcu?

Tak, czy nie, zaciskając kurczowo rękę, mówiła sobie z głuchą rozpaczą:

— Nigdy... nigdy...

Gdy, jak sądziła, na świecie Bożym słońce już musiało pochylać się ku zachodowi, uczuła nagle jakąś mdłość, której się przelekła, ale przypomniała sobie prędko, że musi to być osłabienie z braku pożywienia, skutek głodu i smutnie odłamała sobie część jakąś bułki chleba, uniesionego w koszu. Jedząc go, zalewała się łzami, nieszczęśliwa!

Gdy po jakimś czasie wróciła na miejsce, usiłując trafić do swojej pościeli, położyła się na niej zmęczona i usnęła wkrótce.

Spała zapewne twardo i spała długo. Natura wyświadczyła wyczerpanej tę łaskę, że ją oddała w opiekuńcze ramiona stanu, w którym istota ludzka żyje w nieświadomości życia i zasila się u źródła tajemnych sił swojej istoty. Zato przebudzenie nastąpiło nagle, niosąc z sobą przestрах. Znow to były głosy ludzkie, ale nie od tamtej strony — nie od schodów, wiodących w stronę jej domu. O wiele dalej, po za przepierzeniem drewnianem, które zamykało

loch od strony wyjścia, jak sądziła, usłyszała hałas rozmowy wielu ludzi.

Mówiono bez obawy podsłuchania przez czyjeś uszy — głośno. Mówiono po niemiecku i po wołosku.

Słuchała drząc, słowa niektóre pochwyliła nawet wyraźnie; słyszała, jak wymówiono kilkakrotnie: książe... Batory...

Leżała jednak, jak zdrętwiała; teraz jej trwoga nie była działaniem nerwów, nie była urojeniem... Jacyś ludzie byli blisko, lecz co za jedni?

Coby się z nią stało, gdyby tu zechcieli wejść? gdyby ją odkryto?

Nikt nie wie, że jest tu ukrytą, zatem szukać jej nie będą.

Wśród tych myśli uczuła nagle wielką radość: poznała w sobie przymiot bardzo cenny, poznała, że może mieć zimną krew.

Nie krzyknie, gdy ci ludzie tu wejdą... Wyjdzie naprzeciw niebezpieczeństwa, aby je zmylić i nie krzyknie...

Wśród tego przygotowania na spotkanie z niewiadomymi wrogami znów wróciła do myśli: kto oni jednak są? Ucho jej, podobnie jak oczy do patrzenia w ciemności, zaczęło się przyzwyczajać do słuchania w tym zacieśnionym, głucho dźwięki odbijającym lochu. Cichutko, jak duch, stąpając po miękkiej wilgotnej ziemi, szła odważnie ku przepierzeniu, kierując się za światłem, które teraz przedzierało się mocniej przez wszystkie szczeliny przepierzenia.

Aż wśród tego wszystkiego podniósł się jeden głos, przed którym ucichły inne. Mówił po niemiecku i dźwięki rodzinnej mowy wlały jej teraz w piersi dziwne uspokojenie. Zdawało jej się, że tam są jej bracia, jej krewni. Uczucie braterstwa narodowego nigdy nie dało się uczuć jej sercu mocniej, wyraźniej. Trwoga znikła też znów, a przeciwnie, szła

ku przepierzeniu z jakimś uczuciem tęsknoty, z pragnieniem zbliżenia się do tych istot ludzkich, które tam były.

Naraz doznała wrażenia, którego nie umiała sobie określić. Ona znała ten głos...

Znała go dobrze, ale nie mogła wierzyć uszom swoim. To złudzenie, to podobieństwo jakieś zwo-dnicze...

Tak, ona znała głos mówcy! poznała wkrótce i głosy inne, które mu odpowiadały. Teraz namiętne uniesienia sprzeczek nie miały już miejsca, teraz nastąpiła zgoda—okrutna!

Mówcą był Johan Dixel, syn jednego z radców miasta, młodzieniec poważny i szanowany, którego znała od dziecka, znała go jako łagodnego, dobrego, tkliwych uczuć człowieka; teraz oto przemawia on za zabiciem, za skrytobójczym mordem księcia!

Nieszczęśliwa odkryła spisek młodzieży saskiej! Postępowanie księcia i Węgrów na uczie w ratuszu, dolało oliwy do ognia, który już tlał nie od dziś. Deptano po nich niejako, szlachta urągała im dumnie, z kobietami postępowano w sposób zuchwały—upokarzano ich, strącano w proch, jak robaków nędznych, i młodź saska uczyła wzburzoną w piersiach gniew. Oni tu przyszli na ziemię węgierską z zaufaniem spokojnem, że ich narodowość uznana i uszanowana zostanie. Przez interes wspólnej ojczyzny czuli się współobywatelami Węgier i czego chcieli od nich? Buta, buta szlachecka urągała im, że są pracownicy i przemysłni, choć ten przemysł i ta praca wytrwała i spokojna pomagała do rozwoju pomyślności w całej krainie Siedmiogrodu i Węgier. .

Tak mówił Dixel, współtowarzysz młodych lat Celesty, aż wymówił na koniec słowo przerażające:

— Precz z Batorym!... precz z okrutnikiem i szaleńcem, z zuchwałym ciemieżycielem swobody Sasów!...

Ojciec Johana był radcą i syn wiedział, jak

rozporządzenia księcia coraz to więcej podkopują stare prawa Sasów, jak coraz to więcej uchylają dawne ich przywileje.

— Niech zginie! — zawołał namiętnie, a siedem głosów młodych i gorących powtórzyło za nim:

— Niech zginie!

— Niech zginie!—dodał jeden jeszcze głos, wydając ten okrzyk po wołosku.

Tym dziewiątym wśród spiskowców był suchy, silny mężczyzna. Nosił na sobie płaszcz mołdawski, a na głowie czerwony turecki. Był to Ivor z Hadasalföldu — harambasza Ivor, czyli herszt bandy zbójckiej, żyjący z łupieztwa i gwałtu. Zaczajony w górskich przesmykach, spadał na podróżnych, na kupców głównie, jak jastrząb i obdzierał, brał do niewoli za wykupem, który musiał być mu wypłacony zawsze złotem najlepszym, choćby ofiara prosiła o łaskę ze łzami, choćby to było ruiną całego istnienia nieszczęsnego, który dostał mu się w ręce. Węgrzy dawali takim nikczemnym opryszkom nazwę harambaszy; Słowacy zwali ich wojewodami i było to coś pośredniego między rycerzem a łupieżcą i złodziejem.

— Niech zginie Batory!...

— Ecsedi... Ecsedi ma ginąć...—jęknęło w piersi serce Celesty.

Nie zemdląła przecież. Ujęła się za żelazną sztabę, która zasuwała dębowe deski przepierzenia, i utrzymując się tak na nogach, dosłuchała wszystkiego do końca. Gdy Batory zginie, gdy zginie Imrefi i jeden z Banfich, który wczoraj najzuchwalej lżył Sasów, spiskowcy wycofują się z walki. Banda harambaszy dokona reszty; składało ją pięćdziesięciu opryszków wprawnych w te rzeczy i choć orszak Batorego był dwakroć liczniejszy, nie obawiano się tego. Zaraz po pierwszym strzale z po za skał zrzucą z koni najpierwszych i najdzielniejszych rycerzy. Reszta, rajtary gwardyi książęcej, to już sprawa mniejszej wagi—gdy głowa spadnie, tułów nie nie znaczy.

Współdział zbrojców usuwał wszelkie podejrzenie od tych, którzy tu byli ręką kierującą. Wszyscy oni byli związani przysięgą na dochowanie tajemnicy.

I ona to wszystko słyszała — nieszczęśliwa! Cały straszliwy obraz, ukartowany mądrze i przebiegle, wydanym jej został. Trzymała w ręku wszystkie nici tej zbrodni, której ofiarą miał się stać Ecsedi!

Po za przepierzeniem wszystko ucichło, podziemia były znów puste i tlejące jeszcze ognisko świadczyło, że ona nie śniła tych okropności, pod którymi jej silna natura ugięła się tak, że złamać się mogła.

Była chwila, że zmysły jej zdawały się mieszać. Gdyby nie wykazała Batoremu ludzi imiennie, nie wydała Dixla i Fryderyka Monda, branoby i więziono setki...

A jednak ona nie może dopuścić spełnienia mordul! Zrobiła postanowienie, była zatem spokojną. Skrzesała ogień i zapaliła lampę, napila się zimnej wody i umoczywszy róg chustki, obtarła nią pałające skronie, potem włożyła na siebie ciemny sukieny płaszcz, który tu uniosła z sobą, jako ochronę przed zimnem i wilgocią. Szata to była podróżna, długa aż do stóp i luźno okrywająca, więc kryjąca kibić i jej kształty, a kapturek, który spadał na plecy, mógł zostać zarzucony na głowę i okryć ją również.

Kapturek był wyłożony fałdami z gęstej, czarnej gazy i miał przeciągnięty przez fałdy sznur jedwabny, zakończony ozdobnie chwastami. Kapturek zarzucony głęboko na głowę, jeżeli został przez ten sznur ściągnięty, zakrywał twarz całą, jak maska. Kobiety w czasie podróży ukrywały się pod taką szatą.

Celesta dokonała uważnie przybrania swego. Kapturek został zarzucony na piękne jej włosy, sznur ściągnięty i zawiązany starannie na węzeł. Nie mógł opaść, choćby nawet ruch jej kroków był śpiesznym, choćby sięgnęła ku niemu ręka zuchwała i musianoby

użyć już niegodnego gwałtu, aby twarz dziewczey uka-
zała się ciekawemu wzrokowi.

Gdy skończyła, przystanęła na chwilę, jakby zbiera-
jąc siłę i odwagę. Szła na niebezpieczeństwo więk-
sze, niż rycerz wjeżdżający w szranki zaciętej walki
z wrogiem nienawistnym.

Siła jej wroga była w tem, że był on, jak Pro-
teusz, mogący się mienić dowolnie. Batory i Ecsedi!...
ach! jakież czarownik zdołał sprządz razem takie dwa
widma jednego kształtu istoty ludzkiej?

Poszła jednak. Cicho, jak pod dotknięciem du-
cha, ustąpiła sprężyna i znalazła się za posągami Pa-
na. Nad światem panowała noc zupełna, w pokoju
gorzała tylko jedna kolorowa lampa nocna, wisząca
u sufitu, oblewając pokój łagodnym błękitnawym świa-
tłem. Dla innych byłby to mrok, lecz oczy Celesty,
tak długo patrzące w ciemność, radowały się tej wdzię-
cznej jasności i widziały w niej wszystko. Lękliwie
obiegły wzrokiem komnatę całą i zatrzymały się na
łożu księcia, którego spokojny oddech słyszeć się da-
wał z pod kotary, osłaniającej teraz nie to już łożo
proste, jakie Celesta widziała uchodząc. I łożo i ko-
tara były wspaniałe; kotara naśladowała namiot ture-
cki; purpurowy ze złotem przetykaniem tywytk two-
rzył draperye, przewiązywane jedwabnymi sznurami,
złoty półksiężyc świecił w górze, odbijając się w błę-
kitnem świetle lampy nocnej.

Serce Celesty biło gwałtownie; po pewnej chwili
wzrok jej zdołał dostrzedz na poduszkach głowę śpią-
cego, widziała jego bujne włosy czarne, jego rysy
męskie i złożyła ręce, przyciskając je silnie do piersi.
Ecsedi to był, ten ukochany, najdroższy—ten, którego
wzrok przenikał ją tak miłostnie, topiąc się w jej
oczach—ten, którego oczy jej wyglądały nieraz z utę-
sknieniem, a którego widok tak je radował, tak na-
pełniał radością, błogością najwyższą. I teraz nie-
szczęśliwa! wiedziała, że na tego człowieka dybie skry-

tobójca, słyszała głos, który sobie zastrzegał, że on, a nie kto inny, przebiję tę pierś ciosem śmiertelnym!

A jednak ona nie może przyjść i obudzić go, aby mu wydać wszystko—nie! Nie zdradzi Sasów, nie poświęci swego ludu na ołtarzu już dziś grzesznej miłości. Wczoraj była ona niewinną i uczciwą, dziś stawiała się występłą i hańbiącą, gdyby uczyniła się słabą!...

Ale to było obowiązkiem, aby przeszkodzić dziekiej zemście uniesionej namiętnie młodzi. Nie Batory sam był tu przedmiotem nienawiści: uderzając w niego, uderzano w pogardliwą wyniosłość, w butę węgierskich i szeklerskich rycerzy i szlachciców, urągającą spokojnym, cichym pracownikom, użytecznym mrówkom przemysłu, z którego korzystano, rzucając im w oczy pogardę, że żyli uczciwie w pocie czoła, któremu kazano być wiecznie pochylonem.

Celesta czuła to i, broniąc księcia, broniła razem swój lud, aby nie zmazał sobie rąk krwią zdradnie, podstępnie wytoczoną.

Chwila przystanku wzmocniła i ją i jej postanowienie. Co bądź miałyby się stać z nią, dokona swego. Ona sama niknęła ze sprawy—niknęła i ten ukochany dotąd, mimo oporu jej rozumu i woli, zostawał tylko człowiek, na którym miano się dopuścić mordu, oraz władca Siedmiogrodu i Sasi!... jej ziomkowie... i lud... to powinno stanowić jej najpierwszą myśl, być jej najwyższą treską.

Odwaga wstąpiła jej nagle w serce. Z nią może się stać, co los spuści, co Bóg przeznaczy! Ona powinna była tylko spełnić obowiązek!

Pokój został na przyjęcie księcia pośpiesznie wybity grubem czerwonym suknem i kroki jej nie czyniły żadnego szelestu, gdy ona przechodziła, tak dziwnie teraz spokojna, jak gdyby nie było tu nikogo, co mógłby się obudzić. Ale nagle przystanąła i serce uderzyło jej w piersiach. Do przyległej komnaty schodziło się ztąd po trzech schodach i oto spostrzegła nagle,

że na ostatniem z nich ktoś siedział, ale znać usnął i ujrzała tylko głowę, opartą na schodku najwyższym.

Mogła jednak przejść mimo i nie zawahała się w tem. Tylko z progu zapuściła wzrok przed siebie i przekonała się, że owa przyległa izba była pusta. Zstąpiła więc ze schodów i już była niemal u drzwi przeciwnych, gdy naraz usłyszała po za sobą jakiś szelest. Śpiący sługa obudził się teraz.

Uchodzić przed nim, byłoby to dać mu hasło do pogoni, a cóż mogła znaleźć w tym dalszym pokoju, od którego drzwi były zamknięte. Obróciła się więc tak śmiało i dumnie, jak się godziło na panią tych miejsc; przelękniony jej widokiem pokojowiec księcia przeraził się mimowoli tej czarnej maski, która ukazała się z pod kaptura. Zanim mógł ochłodnąć z podziwienia, Celesta podniosła rękę i nakazująco położyła palec na ustach.

Znaczyło to: milcz... i teraz chłopak, bo chłopak to był jeszcze młody, uśmiechnął się.

Z tym dwuznacznym uśmiechem porozumienia na ustach posunął się ku postaci w czarnej masce i drzwi przed nią cicho otworzył.

Była chwila, w której ogarnęła Celestę rozpacz. Uśmiech sługi przeszył jej pierś, jakoby ostrzem zatrutego sztyletu, ale tylko to, coby ją zatrzymało na miejscu, mogła nazywać ciosem.

W następnym pokoju, który był już w tym skrzydle domu ostatnim i wiódł prosto do sieni, ujrzała dwóch gwardzistów miejskich. Stali jak wyprostowane posągi z gołemi pałaszami w ręku, ale postać w czarnej masce wypuszczał z komnat księcia sługa jego, więc znów tylko uśmiech szyderezy ujrzała Celesta na ich twarzy. Nie żądali żadnego hasła i pozwolili jej wyjść.

A szła tak dumnie, jak gdyby była królową całych Węgier; lica jej pod zasłoną palił rumieniec, bo przyglądające jej się oczy były zuchwałe, ale dlatego właśnie podniosła głowę tak wyniosłe, przeszła mimo

żołdaków, a przytomność tak jej nie opuściła, że nacisnęła klamkę zlekka, aby się otworzyła cicho. Gdyby Batory obudził się w tej chwili i zawołał: — Kto tam?... cóżby się stało?

Może nie prędko mogłaby się spotkać z ojcem, a tu chodziło więcej, niż o jej życie.

Ale Opatrzność czuwała nad nią i bez wypadku znalazła się nakoniec w sieni i skierowała się szybko na ganek, który prowadził już wprost do sypialni jej ojca. Ach! tam niedaleko była jej własna komnata, cicha, zatulna, lecz nie dla niej już był wczas wygody i sen kojący... Zdawało się też biednej w tej chwili, że już nigdy oczy jej nie będą w stanie zmrużyć się cicho i oddać ją spoczynkowi.

Na lekkie jej zastukanie do drzwi, Weisz zerwał się szybko z łoża, na którym sen snadź mu powiek nie skleił, bo czyż ojciec mógł spać, gdy wiedział, że jego dziecko jedyne, jego córka ukochana, przepędza noc w wilgotnym strasznym lochu podziemia? Jakżeż się przecież zląkł, gdy ją ujrzął.

— Ty tu! — wykrzyknął.

Ale ona podniosła znów palec do ust, nakazując milczenie. Nie padła na pierś ojcowską skarżyć się i płakać, ale opowiedziała szybko i treściwie, co ją tu przywiodło. Książę spał mocno i ona przeszła szczęśliwie, nie zbudziwszy go.

Ale w czasie czynionego wyznania napadła ją nagle myśl, zali ma prawo zdradzić Dixla, Monda i ich towarzyszków? Przypadek dał jej w rękę klucz tajemnicy i czyż mogła ją odkryć nawet ojcu? Zapobiedz nieszczęściu... to było jej obowiązkiem, ale nie nadto nie wolno jej było uczynić, bo czyż ci ludzie byli prości zbrodniarze? A przytem ogarnęła ją trwoga i o ojca. Jakaż odpowiedzialność zwali się na jego głowę, w jakiż odmęt zawikłań okrutnych wtrąci go nagle odkryciem tej nieszczęsnej sprawy?

Wymieniła tylko nazwisko harambaszy Ivora

i drząc ze wzruszenia zapytała ojca, jak postąpi, aby mord nie został wykonany?

— Książę pojedzie inną drogą—odrzekł Weisz.— Jest to najlepszy sposób uniknięcia wszelkiego rozruchu i zamieszania, bo Batory jest gwałtowny i nikt nie wie, jakby postąpił, gdyby poznał choć część prawdy. Wyprawa na zbrojców mogłaby się nie skończyć prędko. Pociągnięto by mnóstwo ludzi, szukając tego, kto Ivorowi doniósł, o którym czasie książę wyjechać zamierza i w jakim kierunku oberze drogę? Mnie samego uderza mocno ta zagadka, jak to mogło dojść już do Ivora?

Celesta poznała teraz dopiero, jak splątany ten węzeł mógłby się straszliwie zagmatwać, gdyby zbudzonemu Batoremu była musiała wyznać prawdę, jak to zamierzała uczynić na przypadek, gdyby przemoc kazała jej się odstąpić. Aby nie pomyślał, że krąży koło niego z tęsknoty miłosnej — chciała mu to powiedzieć! Chciała to uczynić z podniesioną głową, z dumnie patrzącymi oczyma, że ona, Celesta, ukryła się przed jego obecnością w lochy podziemne, gdzie przebywają tylko płazy i gdzie nocą wciskają się zbi-ry okrutne.

Cóżby przecież była sprowadziła na miasto, cóżby nieszczęśliwa sprowadziła na siebie? Ludzie byliby w niej widzieli zdrajczynię i donosicielkę!... Gdy przecież ochłonęła z przerażenia, jej ręce wyciągnęły się do ojca.

— Ojcze!—rzekła—teraz potrzeba mi się ukryć tak, aby nie tylko już książę i jego służba, ale żadna istota ludzka nie mogła się domysleć, że ja tu przebywałam tej nocy.

— A to dlaczego, dziecko drogie? Gdy, jak wiesz, książę wyjeżdża jutro i teraz już sądzi, że rzeczywiście tu cię niema, dlaczego tajemnica ma być tak ścisłą? Sługi nasze i ludzie w mieście nie będą ci się dziwili, żeś mu się pokazywać nie chciała. Od tego smutnego balu w ratuszu wszystkie nasze kobie-

ty zamknęły się w domach. Najadły się dość wstydu i upokorzenia i żadna przez cały dzień wczorajszy nie przestąpiła progu wewnętrznych swych komnat. Pozostań tu, biedne dziecko moje, w tej sypialni, zamknięta bądź aż do chwili, gdy Batory dom mój opuści. Wiem z pewnością, że już teraz wierzy w twój wyjazd z ciotką. Podły szpieg jeden dość szperał i badał, rozsypał niemało złota nadaremnie i wierząc, że potrafi wszystko odkryć, czego szuka, doszedł do przekonania, że cię nie ma.

Celesta potrząsnęła głową.

— Ojczy—rzekła z boleścią—ani dziś po wyjeździe księcia, ani jutro nawet nie ukazę się w domu twoim oczom ludzkim, bo byłby to wydany na mnie wyrok hańby. Mogę tylko, a nawet muszę uciec się do nędznej sztuki fałszu i udawania, muszę jakoby przybyć zdaleka: wyglądam jak ktoś, co przyjeżdża z drogi, mam na sobie szatę podróżną, za co dziękuję Bogu.

Weisz zadziwiony sądził, że Celesta stała się nad miarę nieufną i lękliwą, ale ona, nie mogąc powstrzymać łez, opowiedziała mu teraz w szczegółach już drobnych, jaką była ta jej nocna droga z lochu do jego komnaty. Opowiedziała mu, jak ją palił wstydem wzrok sługi książęcego, jak ją raniły zuchwałe spojrzenia gwardzystów, chcące przebić jej maskę. To nie byli żołnierze z orszaku książęcego, to gwardziści miejscy. Dziś rano, w kilka godzin po wejściu słońca, miasto będzie sobie opowiadać ciekawą historię o kobiecie zasłoniętej, i czyż mają się domyśleć, że to była ona?

Weisz jęknął teraz i załamał ręce, bo Celesta miała słuszość. Nie widziano wyjeżdżającej, ale łatwo można było przypuścić, że wymknęła się z domu ukradkiem, lecz teraz już nie mogła się znaleźć pod tym dachem zbyt prędko i wychodząc z komnaty, choć ojcowskiej...

Do lochu już też nie można było wracać ani te-

raz, ani później nawet. Teraz powrót jużby nie był tak gładki i spokojny, jak poprzednie wyjście ztamtąd, a gdy księżę raz się ztamtąd ruszy, już będzie dzień biały i ona musiałaby przebyć cały ganek, obiegający na zewnątrz podwórza pół kamienicy. Wdziecby ją musiały niejedne oczy.

Musiła przecież gdzieś się podziąć i Weisz, pełen boleści, sprowadził ją co prędzej na dół, aby przebyła ganek nim świtać zacznie. Mógł ją tylko umieścić w izbie Sewera, bo jemu jednemu mógł odkryć prawdę, i on jeden, jak był pewny, nie zwątpiłby nigdy, że Celesta jest istotą wyższą nad wszelkie podejrzenia. Pozory mogły być przeciw niej, ale prawda była za nią — za nią była godność niewieścia i ta skromna przystojność dziewczyna, która patrzyła z jej anielskiej twarzy, z jasnego spojrzenia jej oczu cudnych, z jej poważnej, w ruchu każdym wdzięcznej postawy.

Choć Sewer, jako komendant miasta, miał do urzędu swego dodane mu pomieszkanie, jednak w domu Weisza pozostawioną mu zawsze została jego dawna izba, położona na dole, z wejściem zaraz z bramy. Miała ona przecież tę dogodność wielką, że było z niej wyjście jedno jeszcze — na ogród, z którego można się było dostać na boczną ulicę.

Sewer prowadził życie tak spokojne i regularne, że za czasów przebywania swego w domu Weisza rzadko z tej dogodności korzystał, ale dziś przypomniało się to Weiszowi, gdy rozbierając nieszczęśliwe położenie Celesty, w myśli swej znalazł jednego tylko powiernika, z którym mógłby był naradzić się szczerze nad jej losem i szukać dla niej jakiejś obrony.

Sewer od chwili, gdy księżę zajął dom Weisza, przeniósł się do swego dawnego pomieszkania, gdzie nic z jego sprzętów dawnych ruszonem nie było i zdawało się oczekiwać go zawsze, jak gdyby sierota był tu synem domu. Sewer czuł, że niejednokrotnie może się zdać na co Weiszowi; pod pozorem lepszego

czuwania nad księciem, już się tu znajdował teraz na miejscu dawnem i Weisz z radością przypomniał sobie o tem.

On jeden może uratować Celestę, bo tylko w jego ręce spokojnie oddać ją może. Przez jego izbę wyprowadzona z domu ująć zdoła ztąd niewidziana przez nikogo.

Trzeba się było śpieszyć, bo ubiegł już nocy kawał duży i biedny ojciec nie mógł dać córce nawet spokojnego pod jego strażą odpoczynku. Co prędzej wyprowadził ją na ganek, a ztamtąd do bramy, aby zspukać do drzwi Sewera, który natychmiast zerwał się i poznawszy pukanie Weisza, drzwi otworzył.

Co uczuł, gdy ujrzał Celestę?... Co uczuł, gdy w szybkiej opowieści dowiedział się, co zaszło? On nawet nie wiedział o jej ukryciu, nie było chwili sposobności, aby Weisz miał czas mu to powierzyć i teraz dopiero wszystko mu wyjaśniono. Nie odjechała, była tu i w jakimże okrutnem położeniu?

Ona, dotknięta pozorem hańby i upadku, ona, wydana na pastwę obmowy — ona, ta najszlachetniejsza między szlachetnemi!

O! w tej chwili mógłby być pójść i zadusić własnymi rękami Batorego!...

A jaki ból przenikał jego serce na myśl, że ona — ta aniołka, ta czysta dziewica, kocha go jednak i gotowa jest w każdej chwili ratować go, choćby ofiarą życia własnego!

Po krótkiej naradzie stanęło na tem, że on wyprowadzi ją osłonioną przez wyjście boczne, że ją zawiedzie aż za bramy miasta, które dla niego zawsze otwarte będą, i odszedłszy jeszcze kawał drogi w bok, odszuka w znanej mu dolinie, między skałami, wejście drugie do podziemi, któremi zawiedzie Celestę do lochu pod własnym jej domem.

Na szczęście, Sewer znał te podziemia trochę; był w nich raz, przebywał je z ciekawości jeszcze za

dni chłopięcych i sądził, że potrafi doprowadzić Celestę do celu.

Weisz dał im jeszcze pewne wskazówki, razem ze sztucznym kluczem, który jedynie mógł otworzyć przejście wśród przepierzenia z bardzo grubych dębowych desek, umocowanych na wewnątrz sztabami żelaza. Trzeba było znać tajemnicze słowo i kombinację głosek i zgłosek, według których kierując się, można było odnaleźć miejsce, gdzie klucz trafiał na potężną sprężynę, a ta usuwała wtedy jedną ze sztab i kazała wyskakiwać tajemniczej klamce, za której pokręceniem uchylała się wśród przepierzenia wążka furtka, a raczej szpara, przez którą pojedyncza osoba mogła się była precyzyjnie wgłąb lochu, będącego już wśród posiadłości Weisza. Zamknąć ją za sobą było łatwo osobie, której sekret tej czynności został wydany.

Koło godziny drugiej w nocy Sewer wyprowadził Celestę przez ogród w uliczkę, z której wydostali się wkrótce na inną, już dla nich bezpieczną i spokojną, bo tu już zakryta kobieta mogła się nie lękać zwrócenia szczególnej uwagi.

Niebo było jasne i gwiazdzone, mróz niezbyt wielki, choć śnieg skrzypiał im pod nogami, gdy przebywszy szczęśliwie bramy miasta, za wymówieniem hasła, znaleźli się wśród wolnej przestrzeni, a wkrótce potem zagłębili się w długą, wąską dolinkę między skałami, w wąwóz prawie, który wiodł ich do celu. Tu zwolnili nieco kroku, bo tu uczyli się jakoby spokojniejsi, niż wśród murów miasta. Są chwile, w których człowiek musi się lękać bliźnich swoich więcej, niżeli pustyni odludnej ze wszystkimi groźbami jej samotności, i takim było uczucie Sewera i Celesty. Nie widząc i nie słysząc nic, coby zwiastowało obecność człowieka, odetchnęli.

— Ach!—rzekła Celesta—jakże tu spokojnie pod namiotem nieba i strażą tych gwiazd, którym Bóg kazał rozjaśniać ciemności! Gdyby ludzie nie płatali

szalenie nici swego losu, gdyby umieli być szczęśliwymi cicho i spokojnie, jakżeż życie mogłoby być pięknem.

Westchnęła, myśląc, czyż ona nie zamąciła podobnie istnienia swego własnowolnie? Dlaczegoż nad wierne, szlachetne, przywiązane do niej tak tkliwie serce Sewera przeniosła miłość inną, zdradliwą i niebezpieczną, z którą kryć się musiała, jak z czynem zbrodniczym, choć nie splamiła przez nią niezem duszy swojej?

Odwieczna i nigdy dla człowieka na ziemi nierozwiązana zagadka!

Celesta czuła przecież, że obecnie przeniosłaby uścisk śmierci nad dotknięcie ręki Batorego, jakkolwiek rzuciłaby się natychmiast i bez namysłu w objęcia tej śmierci, aby zasłonić go przed nią.

Czuła zarazem i to, że Sewer, choć inaczej kochany, był jej jednak drogim—drogim jak brat rodzony, że ufała mu ufnością najwyższą, tak jak najwyższym był jej szacunek dla jego charakteru. Gdy milcząc, szli cicho wśród cichej natury, jej przyszła myśl, że jemu może powtórzyć to nawet, co zamilezała przed ojcem.

Sewer, wiekiem równy, był nieszczęsnym szaleńcem, któremu uczucie doznanego poniżenia odebrało tę świadomość moralną, że zbrodnia mściwego mordu jest grzechem wobec najświętszych przykazań natury ludzkiej—Sewer mógł skuteczniej działać na nich od jej ojca, na którego głowie siwiejący włos mógł rzucać podejrzenie, że wychłócił i zagasił w sobie przez wiek iskrę gorętszego uczucia. Skrytobójstwo do czego przecież doprowadzić mogło? Nie było tu nawet tej wspaniałej nieustraszoneści, która podnosi duchy w sercach współbraci, byłaby więcej tylko wylana grzesznie krew ludzka.

Gdy u końca doliny świeże ślady, niknące po za skalistym załomem, obwieściły Sewerowi, że znajdują się już u wejścia do podziemia, które następnie wska-

zał jeszcze wyraźniej znak niedawno odwalonego głazu, Celesta zatrzymała go.

— Bracie!—rzekła—prócz tego, co dotyczy bezpieczeństwa mej osoby, mam ci jeszcze odkryć rzecz jedną, wagi najwyższej. Zamilczałam o tem nawet przed ojcem, i ty tylko dowiesz się tego odemnie.

On się prawie przeląkł, ale takim było jego zaufanie w zaćność duszy i serca Celesty, że nie posądził jej nawet jedną minutą podejrzenia, że wstyd to był, który usta córki wiązał przed ojcem. Celesta doznawała naturalnego istocie ludzkiej wstrętu do lochów podziemnych i chwilę jeszcze zapagnęła pozostać pod światłem gwiazd. Mówić rzeczy straszne w miejscach strasznych, to znaczy okropność ich podwoić, a że nie mogli tu mieć nigdzie świadka, któryby ich podsłuchał, że ona mówiąc, mogła przyłożyć usta do ucha Sewera, zatrzymano się tu i gdy siedli na jednym z rozrzuconych głazów, z którego Sewer śnieg odgarnął, jedno tuż przy drugim, Celesta wydała Sewerowi trapiącą ją tajemnicę. Choć Weisz mógł skrzyżować zamiary spiskowców przez zmieniony nagle plan podróży, choć mógł mu dodać orszak miejskiej siły zbrojnej, kto wie, czy pogoń nie zostałaaby równie szybko zorganizowaną? Celeście spadł z serca kamień, gdy wiadomością swoją podzielała się z mężnym i rozumnym młodzieńcem.

Ale on załamał ręce:

— O biada, biada ludziom zawsze i wszędzie, gdy przesąd i samowola jednych wywołuje w piersi drugich dzikość zwierzęcą!—zawołał z goryczą.

Przyrzekł Celeście, że wprost po przebyciu bram miasta uda się do Fryderyka Monda i wywrze na niego cały nacisk wymowy swojej, aby zmienić szalone jego plany. Byli sobie przyjaźni oddawna i zostawali w zażyłości poufałej jeszcze od ławy szkolnej, sądził też, że zdoła szczęśliwie odwrócić spełnienie mordu, któryby nie został odosobnionym. Takie rzeczy zo-

stawiają po sobie zawsze ślad jakiś i dochodzi się do kłębka od pierwszej uchwyconej nici.

Na miejskich zegarach uderzyła godzina czwarta, miasto jeszcze było pogrążone we śnie i milczeniu, gdy Sewer, przebywszy bramy miasta, szybko się skierował do domu Monda, w którego oknach błyskało jeszcze tajemnicze światło kaganka. Sewer dał się poznać i wpuszczony został, bawił długą, długą godzinę, a gdy wyszedł znów na miasto, piękna jego twarz była zmęczona i smutna. Zdawała się mówić: — Ileż nędz, ile słabości trapi ludzkość, ile sprzecznych z sobą uczuć rozrywa serce człowieka!

BIBLIOTEKA

Wyższe! Szkoła Państw. - Wych.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

h. nr. 4407 1405





7 I

5992

7